

Laurent Gaudé

Słońce Scortów

Przełożył: Jacek Giszczak

Dla Elia –
trochę słońca tej ziemi
płynie w twoich żyłach,
niech rozjaśnia twe spojrzenie.

*Camminiamo una sera sul fianco di un colle,
In silenzio. Nell'ombra del tardo crepuscolo
Mio cugino è un gigante vestito di bianco
Che si mouove pacato, abbronzato nel volto,
Taciturno. Tacere è la nostra virtù.
Qualche nostro antenato dev'essere stato ben solo
– un grand'uomo tra idioti o un povero folle –
per insegnare ai suoi tanto silenzio.*

*W cichy wieczór w milczeniu wchodzimy na wzgórze.
W cieniach zmierzchu mój kuzyn kroczy jak olbrzym w bieli,
ogorzały i niemy. Milczenie jest naszą cnotą.
Tak, któryś z naszych przodków musiał być odludkiem
– wielki mąż wśród idiotów lub nieszczęsny głupek –
by przekazać potomnym tak wielkie milczenie.*

Cesare Pavese, *I mari del Sud*
w zbiorze *Lavorare stanca*

I

Gorące kamienie losu

Ziemia pękała od słonecznego żaru. Nawet listek nie zadrżał na drzewach oliwnych. Stały nieruchomo. Zapach wzgórz omdlewał. Kamienie krzyczały, wydane na pastwę upału. Sierpień władał niepodzielnie masywem Gargano¹. Nie do wiary, że kiedyś mogło tutaj padać. Ze woda nawadniała pola, poila oliwki. Nie do wiary, by roślinne czy zwierzęce życie mogło – pod suchym niebem – znaleźć pożywienie. Była druga po południu i wyrok już zapadł, ziemia miała płonąć.

Po zapylonej ścieżce włókł się osiołek. Obojętnie pokonywał każdy zakręt drogi. Tego uporu nic nie mogło złamać. Ani palące powietrze, które wdychał. Ani ostre kamienie, rysujące kopyta. Parł naprzód. Jeździec zaś był jak cień człowieka skazany przez antycznych bogów. Mężczyzna tkwił w siodle. Odurzony upałem. Pozwalał zwierzęciu nieść się do kresu drogi. Osioł wypełniał to zadanie, głuchy na wszystko, urągając słońcu. Krok po kroku, nie mając siły przyspieszyć, pochłaniał kilometry. A jeździec cedził słowa ulatniające się w skwarze. „Nic mnie nie pokona... Słońce może wypalić jaszczurki na wzgórzach, ja wytrzymam. Czekałem zbyt długo... Może spopielić ziemię, może mi spalić włosy, jadę i wytrwam do końca”.

Mijały godziny, jak w piecu, który przetapia kolory. Wreszcie, za zakrętem, pokazało się morze. „Jesteśmy na końcu świata – pomyślał mężczyzna. – Piętnaście lat marzyłem o tej chwili”.

Morze. Stojące jak kałuża i odbijające potęgę słońca. Po drodze nie było wiosek, żadnego skrzyżowania, droga zdawała się prowadzić donikąd. Widok nieruchomego morza, lśniącego w upale, był wyraźnym dowodem, że droga wiedzie na manowce. Ale osioł szedł dalej. Gotów wejść do wody i brodzić tym samym wolnym i upartym krokiem, gdyby mu kazano. Jeździec tkwił w siodle nieruchomo. Poczuł się nieswojo. Może się pomylił? Jak okiem sięgnąć, tylko błękit morza za wzgórzami. „Wybrałem złą drogę. Powinienem już widzieć wioskę. Chyba że się cofnęła. Tak. Musiała wyczuć, że się zbliżam, i weszła do morza. Pojadę przez wodę, ale nie ustąpię. Do końca. Dalej. Przyszła godzina zemsty”.

Osiół stanął na szczycie wzgórza, które musiało być ostatnim wzniesieniem na świecie. Właśnie wtedy ujrzeli Montepuccio. Mężczyzna uśmiechnął się. Całą wioskę widać było jak na dłoni. Niewielka biała osada, skupisko domków na skalistym cyplu, wysoko nad spokojną głębią wód. Dla osła obecność ludzi w pustynnym pejzażu musiała być komiczna, ale nie parsknął śmiechem, szedł dalej.

Gdy dotarli do pierwszych domów, mężczyzna szepnął: „Jeśli kogoś zobaczę, jeśli ktoś zechce mnie zatrzymać, oberwie pięścią”. Obserwował uważnie każdy róg ulicy. Lecz szybko się uspokoił. Dokonał właściwego wyboru. O tej porze osada była martwa. Uliczki puste. Zamknięte okiennice. Nawet psy gdzieś zniknęły. Była pora sjęsty i choćby zatrzęsała się ziemia, nikt nie wychylił nosa na ulicę. Krążyła w wiosce legenda, że ktoś o tej porze wracał z pola i musiał przejść na drugą stronę rynku. Nim znalazł schronienie w cieniu pierwszych domów, oszalał. Promienie słońca musiały wypalić mu czaszkę. W Montepuccio wszyscy w to wierzyli. Plac był nieduży, ale przemierzyć go o tej godzinie znaczyło wydać na siebie wyrok śmierci.

Osiół i jeździec pięli się pod górę ulicą, która wówczas, w 1875 roku, nosiła nazwę via Nuova – później zaś przemianują ją na korso Garibaldi. Jeździec dokładnie wiedział, dokąd zmierza. Nikt go nie widział. Nie było nawet chudych kotów, które zazwyczaj szukają resztek po rynsztokach. Nie starał się znaleźć ocienionego miejsca dla osiołka, nie przysiadł na ławce. Brnął dalej. I ten żarliwy upór był przerażający.

„Nic się tu nie zmieniło – szeptał w duchu. – Te same nędzne ulice. Te same brudne ściany”.

Właśnie wtedy dostrzegł go ojciec Zampanelli. Proboszcz Montepuccio, którego wszyscy zwali don Giorgio. Na małym poletku przy kościele, które służyło mu za warzywnik, zapomniał modlitewnika. Spędził tam dwie poranne godziny i teraz nagle zaświtało mu w głowie, że to tam, na pewno, na krześle przy altance, w której trzymał narzędzia, musiał zostawić książeczkę. Wyszedł tak, jak wychodzi się w czasie burzy, zgięty w pół, mrużąc oczy, zdecydowany działać szybko i nie wystawiać starych kości na żar, który pozbawia zmysłów. I ujrzął na via Nuova osła z jeźdźcem na grzbiecie. Don Giorgio zamarł i przeżegnał się odruchowo. Po czym skrył się przed słońcem za ciężkimi drzwiami kościoła. Najdziwniejsze jest jednak to, że zamiast bić w dzwony, zamiast spytać obcego, kim jest i czego tu szuka, wrócił do celki i przestał zaprzętać sobie tym głowę. Położył się i zapadł w ciężki sen bez marzeń, typowy dla letniej sjęsty. Na widok jeźdźca przeżegnał się, jakby chciał opędzić się od koszmaru. Don

Giorgio nie rozpoznał Luciana Mascalone. Jakże mogło być inaczej? Ten człowiek nie był już taki jak kiedyś. Miał czterdzieści lat i policzki zapadły mu się jak u starca.

Luciano Mascalone parł naprzód wąskimi uliczkami starej uśpionej wioski. „Minęło wiele czasu, lecz oto jestem. Wróciłem. Jeszcze o tym nie wiecie, śpicie. Mijam wasze domy. Wasze okna. Nie macie o tym pojęcia. Jestem tu, wróciłem po zapłatę”. Jechał, aż wreszcie osioł przystanął. Ni stąd, ni zowąd. Jak gdyby stare bydło przez cały czas wiedziało, dokąd zmierza, że właśnie tu skończy się jego zmaganie z ogniem słońca. Stał przed domem Biscottich i nie ruszał się z miejsca. Mężczyzna nadzwyczaj zwinnie zeskoczył na ziemię i zapukał do drzwi. „Znowu tu jestem – pomyślał. – Piętnaście lat odeszło w zapomnienie”. Płynął czas. Luciano już miał zamiar zastukać po raz drugi, gdy drzwi się uchyliły. Zobaczył czterdziestoletnią kobietę. W szlafroku. Długo przyglądała mu się bez słowa. Jej twarz nie wyrażała niczego. Ani strachu, ani radości, ani zdziwienia. Patrzyła mu prosto w oczy, jakby chciała ocenić, czego się może spodziewać. Luciano stał nieruchomo. Czekał na jakiś znak z jej strony, na byle gest, na zmarszczenie brwi. Cekał, spięty do granic możliwości. „Jeśli spróbuje zamknąć drzwi, jeżeli nie ustąpi, wtargnę do środka i ją zgwałcę”. Pożerał ją oczami, z nadzieją na znak z jej strony, który przerwie tę ciszę. „Jest piękniejsza, niż myślałem. Nie zginę dziś na darmo”. Próbował wyobrazić sobie, jak też wygląda jej ciało, i od tego patrzenia narastało w nim pożądanie. Kobieta nie odzywała się słowem. Przeszłość powoli wynurzała się na powierzchnię. Rozpoznała mężczyznę, który stał naprzeciw. Jego obecność tutaj, na progu jej domu, była zagadką, której nawet nie próbowała rozwiązać. Pozwalała przeszłości zawładnąć sobą na nowo. Luciano Mascalone. Oto on. Piętnaście lat później. Przyglądała mu się bacznie, bez nienawiści i bez miłości. Patrzyła na niego tak, jak patrzy się w oczy swemu przeznaczeniu. Już mu uległa. Opór był bezcelowy. Należała do niego. Bo po piętnastu latach wrócił i zapukał do jej drzwi. Może żądać, czego zechce, da mu wszystko. Tu, na progu swego domu, zgadza się.

Chcąc przerwać martwą ciszę, puściła klamkę. Ten gest wystarczył, by Luciano przestał się niepokoić. Czytał z jej twarzy, że jest wszystkiego świadoma, że nie ma w niej strachu, że może z nią zrobić, co zechce. Lekko wsunął się do środka, jakby nie chciał zostawiać po sobie zapachu.

Brudny, okryty pyłem mężczyzna wkradł się do domu Biscottich w porze, gdy jaszczurki śnią, by być rybami, a kamienie najchętniej poszłyby ich śladem.

Luciano wkroczył do domu Biscottich. Miał za to zapłacić życiem. Wiedział o tym. Wiedział, że kiedy opuści ten dom, ludzie znów będą na ulicach, życie będzie się toczyć na nowo, przywrócone zostaną prawa, odżyje wieczne zmaganie i będzie musiał zapłacić za wszystko. Wiedział, że go rozpoznają. I zabiją. Za to, że wrócił do wioski, za wejście do tego domu musi zapłacić życiem. Przemyślał wszystko. Wybrał nieludzką porę, gdy koty ślepną od słońca, wiedząc, że gdyby ulice nie były puste, nie dotarłby nawet do głównego placu. Wiedział to wszystko, lecz teraz, na myśl o pewnej zgubie, zadrzał. Wszedł do domu.

Oczy długo przywykały do mroku. Odwróciła się plecami. Szedł za nią korytarzem, który zdawał się nie mieć końca. Wreszcie dotarli do małej izby. Żadnego szmeru. Chłód ścian był jak pieszczota. Wziął ją w ramiona. Nie odezwała się. Zdjął z niej ubranie. Kiedy była już naga, nie mógł powstrzymać szeptu: „Filomena...” Jej ciało przeszedł dreszcz. Nie zauważył tego. Delektował się tą chwilą. Robił to, co sobie poprzysiągł. Przeżywał scenę, którą oczyma wyobraźni widział tysiące razy. Przez piętnaście lat w więzieniu rozmyślał tylko o tym. Myślał, że gdy wreszcie rozbierze tę kobietę, nie będzie to zwykła rozkosz. Będzie to rozkosz zemsty. Ale się mylił. Nie było żadnej zemsty. Były jej ciężkie piersi, które trzymał w dłoniach. Czuł jej zapach, wszędzie, odurzający i ciepły. Tak marzył o tej chwili, że teraz zanurzał się w niej cały, zatracił, zapominał o świecie, zapominał o słońcu, o zemście i posepnych spojrzeniach wioski.

Kiedy posiadł ją na wielkim łożu, w chłodnej pościeli, westchnęła jak dziewica i poddała się bez walki, a na jej wargach pojawił się uśmiech zdumienia i rozkoszy.

Luciano Mascalone całym swym życiem zasłużył na miano „bandyty”, słowo, które ludzie z tych okolic wymawiają, spluwając na ziemię. Włamywał się do domów, kradł bydło, napadał podróżnych. Może i zabił parę niewinnych dusz na szlakach Gargano, choć co do tego nie było pewności. Opowiadało się tyle niesprawdzonych historii. Jedno było jasne: zszedł na „złą drogę” i należało trzymać się od niego z daleka.

W czasach swej świetności, gdy jego hultajska sława sięgała zenitu, Luciano Mascalone często odwiedzał Montepuccio. Nie urodził się tutaj, ale lubił to miejsce i właśnie tu spędził najlepsze chwile swego życia. Tu po raz pierwszy ujrzał Filomenę Biscotti. Dziewczyna ze skromnej, ale szanowanej rodziny, stała się jego obsesją. Wiedział, że opinia łotra przekreśla nadzieje na to, by kiedyś mogła należeć do niego, toteż pożądał jej tak, jak to złoczyńcy pożądamy kobiet. Posiąść, choćby przez jedną noc: na tę myśl jego oczy błyszczały mocniej niż światło jasnego dnia. Jednak los pokrzyżował te brutalne plany. W pewien niezbyt chwalebny poranek pięciu karabinierów schwytało go w oberży, gdzie miał nieszczęście się zatrzymać. Bez ceregieli zakuli go w kajdany. Dostał piętnaście lat. W Montepuccio szybko o nim zapomniano, wszyscy odetchnęli z ulgą, że pozbyli się wreszcie tego szatana, który chciwie zerkał na okoliczne dziewczęta.

Luciano Mascalone miał w więzieniu dość czasu, by przemyśleć całe swoje życie. W sumie obciążały go drobne kradzieże. Cóż takiego uczynił? Nic. Czy przeżył coś, co mógłby wspominać w więziennej celi? Nic. Życie minęło, nijakie, pozbawione celu. Niczego nie pragnął, niczego nie utracił, bo nie miał żadnych planów. W miarę upływu czasu, na rozległej równinie nudy, jaką stała się teraz jego egzystencja, pragnienie Filomeny Biscotti było jedyną wysepką, której mógł się uchwycić, jak rozbitek. Chwile, gdy cały drżał, idąc za nią uliczką, gdy czuł, że naprawdę żyje, aż do utraty tchu. To mogło usprawiedliwić wszystko. Zatem tak, poprzysiągł sobie, że gdy tylko stąd wyjdzie, zaspokoi brutalne pożądanie, jedyne, jakie znał. Bez względu na cenę. Posiąść Filomenę Biscotti i umrzeć. Reszta, cała reszta nie miała znaczenia.

Luciano Mascalone wyszedł z domu Filomeny Biscotti, nie zamieniwszy z nią słowa. Zasnęli przytuleni do siebie, znużeni miłością. Już dawno nie spał tak dobrze. Błogim snem, który ogarnia całe ciało. Głębokie ukojenie, sjesta bogacza, który nie zna trosk.

Osiółek stał u drzwi, pokryty szarym pyłem. Luciano zrozumiał nagle, że odliczanie już się rozpoczęło. Zmierzał w ramiona śmierci. Bez wahania. Upał nieco zelżał. Miasteczko ożyło. Staruszki, całe na czarno, wychodziły przed domy, siadały na chybottliwych krzesłach i komentowały szeptem niestosowną obecność osła, zastanawiając się, kto też może być jego właścicielem. Na widok Luciana umilkły spłoszone. Uśmiechnął się w duchu. Wszystko było dokładnie tak, jak sobie wyobrażał. „Ci durnie z Montepuccio nic się nie zmienili. Co oni sobie myślą? Że się ich boję? Że będę próbował uciec? Nie boję się nikogo. Dziś mnie zabiją. Ale nie zdołają mnie przestraszyć. Przebyłem zbyt długą drogę. Nie mogą mnie dosięgnąć. Czy kiedyś zrozumieją? Drwię sobie z ich ciosów. Przeżyłem rozkosz. W ramionach tej kobiety. Dała mi rozkosz. Lepiej, by wszystko skończyło się już teraz, bo życie będzie odtąd jałowe i smutne, jak dno pustej butelki”. Przemknęło mu przez głowę, że trzeba je sprowokować, bezczelnie rzucić wyzwanie badawczym spojrzeniom, pokazać, że się nie boi, i stojąc na progu domu, zaczął bezceremonialnie zapinać spodnie. Wskoczył na osła i ruszył w powrotną drogę. Słyszał za plecami wielkie poruszenie. Plotka już żyła i zaczynała krążyć od domu do domu, z tarasu na balkon, niesiona przez bezzębne, stare usta. Gwar wciąż narastał za jego plecami. Znowu przemierzał rynek Montepuccio. Stoliki kawiarni stały już na zewnątrz. Tu i ówdzie widział mężczyzn pochłoniętych rozmową. Na jego widok milkli. Za plecami narastała wrzawa. Kto to taki? Skąd się tu wziął? Niektórzy już go rozpoznali, ale nie dawano im wiary. Luciano Mascalone. „Tak. To ja – myślał, patrząc w osłupiałe ze zdumienia oczy. – Patrzycie jak sroka w gnat. To ja. Bez wątpliwości. Róbcie, co do was należy. Widzę, że was korci. Tylko przestańcie się tak gapić. Przejeżdżam obok. Powoli. Nie uciekam. Dla mnie jesteście jak muchy. Wielkie, natrętne muchy. Które odpędzam dłonią”. Luciano zjeżdżał w dół via Nuova. Milczący tłum utworzył już orszak. Mężczyźni z Montepuccio opuścili tarasy kawiarni, kobiety stały na balkonach, wołając: „Luciano Mascalone? To ty?” „Luciano, świński ryju, masz czelność tu wracać?” „Luciano, spójrz na mnie, rogaczu, niech no ci się przyjrzę”. Nie odpowiadał. Ponurym

wzrokiem patrzył wprost przed siebie i nie poganiał osła. „Kobiety będą wrzeszczeć – pomyślał. – a mężczyźni uderzą. Wiem to”. Tłum był coraz bliżej. Dwudziestu mężczyzn deptało mu po piętach. I na całej długości via Nuova kobiety krzyczały z balkonów, stojąc na progu domu, z małym dzieckiem u nóg, żegnały się na jego widok. Gdy mijał kościół, gdzie parę godzin wcześniej zobaczył don Giorgia, rozległ się głos silniejszy niż inne: „Mascalzone, nadszedł dzień twojej śmierci”. Dopiero wtedy odwrócił głowę i cała wioska mogła zobaczyć, jak jego usta wykrzywia uśmiech, który mroził krew w żyłach. Ten straszliwy grymas mówił wszystko. Że wie i gardzi nimi nade wszystko. Że dostał to, po co tu przyjechał, i że zabierze tę rozkosz do grobu. Kilkoro przerażonych dzieci wybuchnęło płaczem. A wszystkie matki wyszeptały żarliwie: „Diabeł!”

Wreszcie dotarł do granic wioski. Ostatni dom był o parę metrów. Potem już tylko ta długa, kamienista droga i oliwki, jak okiem sięgnąć gubiące się na wzgórzach.

Mężczyźni wyłonili się nagle nie wiadomo skąd i zagrodzili mu drogę. Mieli w rękach łopaty i motyki. Surowe oblicza. Stali jeden przy drugim. Luciano Mascalzone ściągnął cugle. Zapanowała cisza. Wszyscy zamarli. „Więc tutaj zginę. Przy ostatnim domu w Montepuccio. Który rzuci się na mnie pierwszy?” Poczul, jak długie westchnienie rozciąga żebra osła, i poklepał go po łopacie. „Czy te kmiotki napoją chociaż moje zwierzę, kiedy już skończą ze mną?” Siedział nieruchomo i patrzył na zgromadzonych mężczyzn. Kobiety ucichły. Nikt nie śmiał wykonać najmniejszego gestu. Wdychał gorzki aromat: ostatni, jaki poczuje. Silną woń suszonych pomidorów. Na balkonach kobiety kładły szerokie deski, na których suszyły się krojone w ćwiartki pomidory. Słońce je prażyło. Kurczyły się godzinami, jak owady, wydając mdłą, kwaśną woń. „Pomidory na balkonach będą żyły dłużej niż ja”.

Naraz poczuł, jak kamień uderza go w czaszkę. Nie miał sił się odwrócić. z trudem utrzymał się w siodle. „A więc to tak – zdążył pomyśleć. – Tak mnie zabijają. Ukamieniają, jakbym był obłożony klątwą”. Drugi kamień trafił w skroń. Tym razem aż się zachwiał. Upadł w pył, ze stopą uwięzłą w strzemieniu. z oczu sączyła się krew. Słyszał krzyki wokół. Mężczyźni poczuli się raźniej. Każdy chciał uderzyć. Grad ciosów spadł na jego ciało. Czuł, jak ranią go nagrzane kamienie. Były jeszcze gorące od słońca, i poczuł suche tchnienie wzgórz. Koszulę miał całą splamioną gęstą, ciepłą krwią. „Leżę na ziemi. Nie bronię się. Bijcie. Bijcie. Nie zabijecie

niczego, wszystko jest we mnie martwe. Bijcie. Nie mam już sił. Płyń krew. Kto ostatni rzuci kamieniem?” O dziwo, ostatniego kamienia nie było. Pomyślał przez chwilę, że ci ludzie z czystego okrucieństwa chcą przedłużyć jego agonię, ale nie. To proboszcz przyszedł mu z pomocą, stając między ofiarą i wioską. Wyzywał chłopów od zwyrodnialców i kazał natychmiast przestać. Potem Luciano poczuł, że ksiądz klęka tuż obok. Szeptał mu do ucha: „Jestem z tobą, mój synu. Jestem z tobą. Wytrzymaj. Don Giorgio się tobą zajmie”. Deszcz kamieni ustał i Luciano Mascalone z chęcią odepchnąłby proboszcza, by mieszkańcy Montepuccio mogli dokończyć dzieła, ale nie miał już sił. Wkroczenie księdza było bezcelowe. Przedłużało tylko agonię. Niech go ukamienują, z zaciekłością, brutalnie. Niech go zdeptają, niech to się już skończy. Właśnie to chciał powiedzieć don Giorgiowi, ale żaden dźwięk nie mógł przejść mu przez gardło.

Gdyby proboszcz Montepuccio nie stanął między tłumem i jego ofiarą, Luciano Mascalone umarłby szczęśliwy, z uśmiechem na ustach. Jak zdobywca syty chwałą, który zginął w boju. Ale trwało to za długo. Życie wyciekało z niego zbyt wolno i zdążył usłyszeć to, co powinno na zawsze pozostać dla niego tajemnicą.

Mężczyźni stanęli kręgiem wokół ciała, a że nie wolno im było dokończyć jatki, obrzucali go wyzwiskami. Do Luciana docierały ich krzyki, ostatnie odgłosy tego świata. „Odechce mu się przyjeżdzać”. „Mówiliśmy ci, Luciano, to dzień twojej śmierci”. Aż wreszcie zabrzmiało to ostatnie zdanie, przekleństwo, od którego zadrżała pod nim ziemia: „Immacolata jest ostatnią, którą zgwałciłeś, świński ryju”. Bezwładne ciało Luciana przeszył dreszcz, od stóp po głowę. Za zamkniętymi powiekami jego dusza wirowała. Powiedzieli „Immacolata”? Kto to taki? Kochał się przecież z Filomena. Przed jego oczami przemknęło pasmo wspomnień. Immacolata. Filomena. W obrazy z przeszłości wdierał się drapieżny śmiech tłumu. Nagle zobaczył wszystko. Zrozumiał. I nie zważając na ludzkie złorzeczenia, myślał:

„Tak mało brakowało, a umarłbym szczęśliwy... Ledwie kilka sekund. O kilka za dużo... Czułem, jak ciało ranią gorące kamienie. I tak było dobrze... Tak miało być. Krew. Życie, które wycieka. Uśmiech do końca, żeby im pokazać... Niewiele brakowało, ale pozbawiono mnie tej satysfakcji. Życie raz jeszcze spletało mi figła... Te śmiechy. Mężczyźni z Montepuccio śmieją się ze mnie. Ziemia pije moją krew i też się śmieje. Nawet osioł i psy się śmieją. Patrzcie, oto Luciano Mascalone. Myślał, że był z Filomena, a rozdziewiczył jej siostrę.

Spójrzcie na Luciana Mascalone. Myślał, że umiera w chwale, a leży na drodze w pyłach z komicznym grymasem na twarzy... Los ze mnie zadrwił. Taki miał kaprys. Nawet słońce śmieje się z tej pomyłki... Zmarnowałem własne życie. Zmarnowałem swoją śmierć... Nazywam się Luciano Mascalone i spluwam na los, który kpi sobie z ludzi”.

Luciano był w łóżku z Immacolata. Filomena Biscotti zmarła na płuca niedługo po aresztowaniu Luciana Mascalone. Jej młodsza siostra Immacolata, ostatnia z rodu Biscottich, wciąż żyła i została w rodzinnym domu sama. Czas mijał. Piętnaście lat więzienia. A Immacolata coraz bardziej upodabiała się do starszej siostry. Miała twarz Filomeny, gdyby tej ostatniej dane było się zestarzeć. Immacolata została starą panną. Doszła do wniosku, że życie przestało się nią interesować i że pewnie nie zazna innych przygód, poza zmianami pór roku. Przez całe te nudne lata nieraz myślała o mężczyźnie, który uwodził jej siostrę, gdy ona sama była jeszcze dzieckiem, i to wspomnienie budziło zawsze przyjemny dreszczyk. Był straszny. Prześladował ją ten szelmowski uśmiech. Na samo wspomnienie omdlewała z rozkoszy.

Gdy w piętnaście lat później uchyliła drzwi i ujrzała przed sobą milczącego mężczyznę, było dla niej jasne, że musi poddać się ślepyemu siłom losu. Ten drań stał przed nią. Przyglądał się. W jej życiu nic się nie zdarzyło. Rozkosz była na wyciągnięcie ręki. Później, gdy na widok jej nagiego ciała wyszeptał imię siostry, zbladła. Uświadomiła sobie, że to nieporozumienie. Wahała się przez chwilę. Odtrącić go? Powiedzieć, że się pomylił? Nie miała zamiaru. Był tak blisko. A jeśli sądził, że jest z siostrą i właśnie to sprawiało mu przyjemność, była gotowa do poświęceń. Nie było w tym żadnego oszustwa. Godziła się spełniać jego zachcianki, by poczuć się jak kobieta, która należy do mężczyzny, ten jeden jedyny raz w życiu.

Don Giorgio udzielał umierającemu ostatniego namaszczenia. Ale Luciano go nie słyszał. Skręcało go ze złości.

„Nazywam się Luciano Mascalone i stałem się pośmiewiskiem. Całe życie, by wreszcie dostać takiego kopniaka. A zresztą, niczego to nie zmienia. Filomena czy Immacolata. Nieważne. Liczy się tylko rozkosz. Tak trudno to zrozumieć?... Piętnaście lat marzyłem o tym uścisku, o uldze, jaką mi przyniesie. Wyszedłem na wolność i zrobiłem co należy. Trafiłem do tego domu, kochałem się z kobietą. Dotrzymałem obietnicy. Przez piętnaście lat nie myślałem o niczym innym. Lecz los postanowił zadrwić sobie ze mnie, czy jest ktoś, kto może walczyć z losem? Nie zawrócę biegu rzek i nie ugaszę gwiazd... Byłem tylko człowiekiem. Zrobiłem to, co może

zrobić człowiek. Przyjechać tu, zastukać w drzwi i kochać się z kobietą, która mi otworzy... Byłem tylko człowiekiem. Co do reszty, los zadrwił ze mnie, nic na to nie poradzę... Jestem Luciano Mascalzone i wpadam coraz głębiej w objęcia śmierci, nie chcę już słyszeć ludzi, którzy się ze mnie śmieją...”

Umarł, nim proboszcz dokończył modlitwę. Gdyby wiedział przed śmiercią, jaki ten dzień wyda owoc, śmiałyby się zapewne...

Immacolata Biscotti zaszła w ciążę. Nieszczęsna kobieta urodzi syna. I tak zacznie się historia rodu Mascalzone. Od pomyłki. Od nieporozumienia. Za sprawą ojca łotryka, zamordowanego w dwie godziny od chwili miłosnych zapałów, i starej panny, która pierwszy raz w życiu oddała się mężczyźnie. Oto początki rodu Mascalzone. Mężczyzna, który się pomylił. I kobieta, która przystała na to kłamstwo, bo z pożądania trzęsły jej się nogi.

W ten dzień palącego słońca powstał ród, bowiem los postanowił igrać sobie z ludźmi, tak jak bawi się kot, końcem łapy, z rannymi ptakami.

Wieje wiatr. Pochyla zeschnięte trawy i gwizdże wśród kamieni. Ciepły wiatr, niosący gwar wioski i zapach od morza. Jestem stara, moje ciało trzeszczy jak drzewo pod naporem wiatru. Cięży mi zmęczenie. Wieje wiatr, muszę się na księdzu wesprzeć, by iść prosto. Opieram się na księdza ramieniu. Mężczyzny w sile wieku. Czuję to zdecydowanie, pewności moc ciała. Pójdziemy tak do końca. Mając to oparcie, nie poddam się zmęczeniu. Wiatr świszczę w uszach i urywa słowa. Nie słysząc, co mówię. Bez obawy. Nawet tak wolę. By wiatr unosił słowa. Tak będzie mi łatwiej. Nie przywykłam mowie. Jestem z rodziny Scortów. Ja i moi bracia jesteśmy dziećmi Niemowy i całe Montepuccio zwało nas „milczkami”.

Wiem, to dziwne, że mówię. Po raz pierwszy od dawna. Jest ksiądz w Montepuccio od dwudziestu lat, może dłużej, i pewnie pamięta, kiedy przestałam mówić. Myślał ksiądz, jak wszyscy w Montepuccio, że pogrążyłam się w lodowate nurty starości i że już stamtąd nie wrócę. A jednak tego ranka przyszedłam do księdza, prosząc o rozmowę, aż ksiądz podskoczył ze zdziwienia. To jakby przemówił pies lub nagle odezwała się ściana. Nie mógł ksiądz uwierzyć, to było niemożliwe. Dlatego właśnie doszło do tego spotkania. Ciekawi księdza, co też stara Carmela może mieć do powiedzenia. Chce ksiądz usłyszeć, dlaczego ściągnęłam go tutaj, w samym środku nocy. Służy mi ksiądz ramieniem, a ja prowadzę księdza ubitą ścieżką. Mijamy kościół. Wioska została za plecami, a ciekawość narasta. Dziękuję za tę ciekawość, don Salvatore. Pomoże mi nie zmienić zdania.

Powiem księdzu, dlaczego znowu przemówiłam. To dlatego, że wczoraj zdałam sobie sprawę, że tracę głowę. Proszę się nie śmiać. Dlaczego ksiądz się śmieje. Pewnie ksiądz myśli, że nie można być aż tak przytomnym, by stwierdzić, że coś jest nie tak, kiedy się traci pamięć. Myli się ksiądz. Mój ojciec na łożu śmierci powiedział „umieram” i umarł. Ja tracę pamięć. Zaczęło się wczoraj, i wiem, że mój czas jest już policzony. Wczoraj przebiegłam myślą całe moje życie, jak często mi się zdarza. I nie mogłam przypomnieć sobie nazwiska mężczyzny, którego dobrze znałam. Myślę o nim co dzień od sześćdziesięciu lat. Wczoraj jego nazwisko zniknęło. Przez kilka sekund moja pamięć była białym bezmiarem, nad którym straciłam wszelkie panowanie. Nie

trwało to długo. Nazwisko wypłynęło na powierzchnię. Korní. Tak się nazywał. Korní. Odnalazłam je, ale jeśli zapomniałam choć przez chwilę, to znaczy, że mój umysł skapitulował i że teraz wszystko może mi się wymknąć. Wiem. Dlatego przyszłam do księdza dziś rano. Muszę mówić, nim wszystko zniknie. Dlatego też coś przyniosłam. Proszę przechować ten przedmiot. Opowiem księdzu o nim. Opowiem jego historię. Proszę, by ksiądz zawiesił go w nawie kościoła, między wotami. Ten przedmiot ma związek z Kornim. Niech wisi w kościele. Nie mogę dłużej trzymać go u siebie. Może się zdarzyć, że któregoś ranka obudzę się, nie pamiętając jego historii, nie wiedząc, komu go oddać. Proszę, by ksiądz przechował go w kościele, a gdy moja wnuczka dorośnie, przekazał go właśnie jej. Będę już wtedy martwa. Albo niedołączna. Gdy tak się stanie, przemówię do niej poprzez lata. Proszę spojrzeć. Oto on. Zwykły kawałek drewna, wygładzony i pociągnięty lakierem. Na środku kazałam umieścić stary bilet na statek z Neapolu do Nowego Jorku, a pod spodem wprawić miedziany medalion z wygrawerowanym napisem: „Dla Korniego, który pokazał nam ulice Nowego Jorku”. Powierzam go księdzu. Niech ksiądz nie zapomni. To dla Anny.

Będę mówić, don Salvatore. Muszę jednak zrobić coś jeszcze. Przyniosłam papierosy, chcę, by ksiądz przy mnie zapalił. Lubię zapach tytoniu. Proszę palić. Wiatr uniesie obłoki dymu na cmentarz. Moi bliscy umarli lubią woń tytoniu. Proszę palić, don Salvatore. Obydwojgu nam dobrze to robi. Papieros za wszystkich Scortów.

Boję się mówić. Taki ciepły wieczór. Niebo nastawia ucha. Opowiem wszystko. Wiatr unosi me słowa. Wolę myśleć, że opowiadam to wszystko właśnie jemu i że ksiądz prawie mnie nie słyszy.

II

Przekleństwo Rocca

Po porodzie Immacolata nie doszła już do siebie. Jak gdyby wielki wysiłek fizyczny wyczerpał siły starej panny. Narodziny dziecka okazały się wydarzeniem zbyt wielkim dla tej słabowitej kobiety, którą życie przyzwyczaiło do nudy, bezbarwnego spokoju codzienności. Jej ciało poddało się już w kilka dni po rozwiązaniu. Chudła w oczach. Cały dzień leżała w łóżku. Bojaźliwie spoglądała na kołyskę z niemowlęciem, z którym nie wiedziała co począć. Starczyło jej tylko czasu, by nadać imię nowo narodzonemu dziecku: Rocco. Nie zrobiła nic więcej. Nawet nie zadawała sobie pytania, czy będzie dobrą, czy złą matką. Dla niej było to znacznie prostsze: obok leżała istota wiercąca się w pieluszkach, istota, która ciągle czegoś od niej chciała, ona zaś najzwyczajniej w świecie nie wiedziała, jak zaspokoić ten apetyt na wszystko. Najprostszym wyjściem była śmierć – i to wyjście wybrała w pewien wrześnieowy, pochmurny dzień.

Wezwano don Giorgia, który całą noc czuwał, jak przystało, nad ciałem starej panny. Sąsiadki oferowały pomoc przy myciu i ubieraniu ciała. Małego Rocca umieszczono w pokoju obok i noc upłynęła na modlitwie i czuwaniu. O świcie, kiedy zjawilo się czterech młodych mężczyzn, żeby zabrać ciało – wystarczyłoby dwóch, tak była chuda, ale don Giorgio nalegał, dla przyzwoitości – czuwające kobiety zbliżyły się do ojca Zampanellego i któraś zapytała:

– Jak będzie, proszę księdza, czy ksiądz sam to zrobi?

Don Giorgio nie zrozumiał.

– Co takiego? – zapytał.

– Przecież ksiądz wie.

– O czym wy mówicie? – niecierpliwil się proboszcz.

– No, zgasi dzieciaka... Czy ksiądz sam to zrobi?

Proboszczowi głos uwiązł w gardle. Stara kobieta, ośmielona tą ciszą, wyjaśniła, że zdaniem całej wioski tak będzie najlepiej. Ten dzieciak to sprawka hultaja. Jego matka zmarła. Czy to nie znak od Pana, że chce pokarać związek wbrew naturze. Lepiej zabić to małe, co przyszło na świat niewłaściwymi drzwiami. Więc wszyscy pomyśleli o nim, o don Giorgiu. By nie było wątpliwości, że nie idzie o żadną pomstę czy zbrodnię. Ksiądz ma czyste ręce. Oddałby tylko Panu ten płód, który i tak jest tu zbędny. Stara wyłożyła to wszystko w jak najlepszej wierze. Don Giorgio zbladł jak trup. Wpadł we wściekłość. Wybiegł na rynek z krzykiem:

– O, bando bezbożników! Diabeł w was mieszka, skoro roicie w głowach tak wstrętne pomysły! Syn Immacolaty jest stworzeniem bożym. Bardziej niż ktokolwiek z was. Stworzeniem bożym, słuchajcie uważnie i bądźcie przeklęci, jeśli spadnie mu choć włos z głowy! Nazywacie się chrześcijanami, ale jesteście jak bydło. Powinienem zostawić was w tym bagnie, na pokaranie boże. Biorę to dziecko pod opiekę, słyszycie? a kto tknie włos z jego głowy, dowie się, co to gniew Pana. O, brudna ciemnota. Wracajcie w pole. Pocić się jak psy, tylko to potraficie. I dziękujcie Bogu, że od czasu do czasu zsyła tu deszcz, jak na was to i tak zbyt wiele.

Skończywszy tę przemowę, don Giorgio zostawił oniemiałych mieszkańców Montepuccio i wrócił po dziecko. Jeszcze tego samego dnia zawiózł je do San Giocondo, najbliższej wioski, trochę dalej na północ, jadąc wzdłuż wybrzeża. Obie osady od zawsze żyły w nieprzyjaźni. Wrogie bandy staczały ze sobą legendarne bitwy. Rybacy stale mieli zatargi na morzu, nawzajem rozdzielali sobie sieci lub kradli dzienny połów. Powierzył dziecko rodzinie rybaków i wrócił do parafii. Gdy pewnej niedzieli jakaś biedna dusza zagadnęła go, co zrobił z dzieciakiem, odparł:

– A co ci do tego, kmiotku? Najpierw chciałeś go zgładzić, a teraz się niepokoisz? Zawiozłem go do San Giocondo, są więcej warci od was.

Przez cały miesiąc don Giorgio nie odprawiał nabożeństw. Nie było mszy, komunii ani spowiedzi. „Kiedy w tej dziurze pojawią się chrześcijanie, wrócę do obowiązków” – mówił.

Ale czas płynął i wściekłość mijała. Mieszkańcy Montepuccio, zawstydzeni jak sztubacy złapani na przewinie, co dzień skupiali się u drzwi kościoła. Wioska czekała. Ze spuszczoną głową. Gdy nadeszła niedziela Wszystkich Świętych, proboszcz otworzył wreszcie szeroko podwoje kościoła i rozbrzmiały od dawna niesłyszane dzwony. „Nie będę przecież karał zmarłych za to, że ich potomkowie to kretyni” – gderał don Giorgio. I odprawił mszę.

Rocco rósł, aż stał się mężczyzną. Miał teraz nowe nazwisko – po ojcu i po rodzinie rybaków, która go przyjęła – nazwisko, o którym wkrótce będzie głośno w całym regionie Gargano: Rocco Scorta Mascalzone. Jego ojciec był hultajem, nicponiem, żyjącym z drobnych kradzieży, on stał się prawdziwym rozbójnikiem. Pojawił się w Montepuccio dopiero wtedy, gdy mógł terroryzować całą okolicę. Napadał chłopów na polach. Kradł bydło. Zabijał bogatych mieszczan, którzy zabłąkali się w te strony. Łupił fermy, nakładał haracz na rybaków i sklepikarzy. Jego śladem wysyłano karabinierów, ale znajdowano ich potem na skraju drogi, z kulą w czaszce, z opuszczonymi spodniami lub zawieszonych jak kukły na opuncji. Był gwałtowny i nienasycony. Mówiono, że uwiódł dwadzieścia kobiet. Kiedy jego sława się utrwaliła i panował nad całym regionem jak udzielny książę, wrócił do Montepuccio niczym człowiek, który nie ma sobie nic do zarzucenia, z odsłoniętą przyłbicą i podniesionym czołem. Przez te dwadzieścia lat ulice się nie zmieniły. W Montepuccio wszystko wyglądało tak samo, jak kiedyś. Osada nadal była skupiskiem małych domków. Długie, kręte schody wiodły prosto ku morzu. Można się było zgubić w płątaniu uliczek. Starcy chodzili z portu do wioski, przemierzali w tę i z powrotem strome schody, powolnie jak muły, które oszczędzają siły w słońcu, gromadki dzieci zaś niestrudzenie przesadzały stopnie. Wioska z góry kontemplowała morze. Fasada kościoła zwracała się ku bezmiarowi wód. Rok po roku słońce i wiatr polerowały marmur uliczek. Rocco zamieszkał w górnych partiach wioski. Zajął rozległy, trudno dostępny teren i zbudował tam piękną, obszerną fermę. Rocco Scorta Mascalzone był bogaty. Tym, którzy go czasem błagali, by zostawił miejscowych w spokoju i ściągał haracz z sąsiednich okolic, odpowiadał niezmiennie: „Milczcie, kanalie. Jestem waszym przeznaczeniem”.

Kiedyś, w zimowy dzień, zjawił się u don Giorgia. Przyszedł w asyście dwóch mężczyzn o ponurych twarzach i z młodą, wystraszoną kobietą. Mężczyźni byli uzbrojeni w strzelby i pistolety. Rocco wezwał proboszcza, a gdy ten się zjawił, kazał udzielić sobie ślubu. Don Giorgio zabrał się do dzieła. Gdy w trakcie ceremonii zapytał o nazwisko panny młodej, Rocco uśmiechnął się z zażenowaniem i szepnął: „Nie znam, ojcze”. A gdy proboszcz otworzył

szeroko usta ze zdumienia, zadając sobie pytanie, czy aby nie uświęca małżeńskim węzłem zwykłego porwania, Rocco dodał: „Jest głucha i niema”.

– Nie ma nazwiska? – nalegał don Giorgio.

– Nieważne – odpowiedział Rocco. – Wkrótce będzie się nazywała Scorta Mascalone.

Proboszcz udzielał ślubu z obawą, że popełnia świętokradztwo, za które kiedyś odpowie przed Panem. Ale pobłogosławił związek i wypowiedział w końcu głębokie „amen”, jak gracz, który wyrzuca kości na stół ze słowami: „raz kozie śmierć”.

W chwili gdy mała grupka miała już wskoczyć w siodła i odjechać, don Giorgio zdobył się na odwagę i krzyknął do pana młodego:

– Rocco, zostań jeszcze. Chciałbym z tobą pomówić.

Zapadła cisza. Rocco dał znać swoim świadkom, by odjechali bez niego, zabierając żonę. Don Giorgio przychodził już do siebie i odyskiwał zimną krew. Coś zastanawiało go w tym młodym człowieku i czuł, że tym razem może z nim pomówić. Rozbójnik, który był postrachem całej okolicy, zachował w spojrzeniu jakiś ślad pobożności, dziękuj, ale szczerzej.

– Obaj dobrze wiemy, jak żyjesz – zaczął ojciec Zampanelli. – Wszyscy tu znają na pamięć długą listę twoich zbrodni. Mężczyźni bledną na twój widok, a na wspomnienie twojego nazwiska kobiety kreślą znak krzyża. Gdziekolwiek jesteś, wzbudzasz strach. Rocco, dlaczego terroryzujesz ludzi z Montepuccio?

– Jestem szaleńcem, ojciec – odparł młodzieniec.

– Szaleńcem?

– Tak, biednym, szalonym bękartem. Ksiądz wie to najlepiej. Urodziłem się ze związku trupa ze starą panną. Bóg zakpił sobie ze mnie.

– Bóg nie kpi ze swych stworzeń, synu.

– Bóg stworzył mnie na opak, ojciec. Ksiądz tego nie przyzna, bo jest człowiekiem Kościoła, ale tak właśnie ojciec myśli, jak wszyscy. Jestem szalony. Tak. Bydlę, które nie powinno było się urodzić.

– Jesteś inteligentny. Mógłbyś znaleźć inny sposób, by zasłużyć na szacunek ludzi.

– Jestem bogaty, ojciec. Bogatszy od wszystkich kretynów z Montepuccio. Dlatego mnie szanują. To silniejsze od nich. Boją się mnie, ale nie to jest najważniejsze. W głębi duszy

odczuwają nie strach, ale zazdrość i szacunek. Bo jestem bogaty. Tylko to mają w głowie. Pieniądze. Pieniądze. A mam tego więcej niż oni wszyscy razem wzięci.

– Masz pieniądze, bo je im ukradłeś.

– Chciałby ksiądz mnie przekonać, bym zostawił tych kmiotków w spokoju, lecz nie wie, jak to zrobić, nie może znaleźć dobrych argumentów. Nic dziwnego. Takich racji nie ma. Byli gotowi zabić małe dziecko. Jestem ich karą bożą. Ot i wszystko.

– Więc powinienem był na to pozwolić – odparł proboszcz, któremu ta myśl nie dawała spokoju. – Jeśli teraz okradasz ich i zabijasz, to jakbym ja sam to robił. Nie po to ocaliłem ci życie.

– Niech mi ojciec nie mówi, co mam robić.

– Mówię ci, czego oczekuje od ciebie Pan.

– Jeśli moje życie jest dla Niego obrazą, może mnie ukarać. Może uwolnić Montepuccio od mojej osoby.

– Rocco...

– Plagi, don Giorgio. Niech ksiądz wspomni na plagi i zapyta Boga, czemu zsyła na ziemię susze i pożogi. Jestem zarazą, ojczy. Niczym innym. Chmurą szarańczy. Trzęsieniem ziemi, epidemią. Świat stoi na głowie. Jestem szaleńcem. Jestem malarią. I głodem. Proszę zapytać Pana. Istnieję. I będę dalej żył.

Rocco zamilkł, wskoczył na konia i zniknął. Tego wieczoru ojciec Zampanelli, w zaciszu swej celki, chciał porozmawiać z Bogiem całą żarliwością swej wiary. Chciał wiedzieć, czy dobrze uczynił, ocalając dziecko. Pokornie się modlił, ale odpowiedzią była cisza niebios.

W Montepuccio legenda Rocca Scorty Mascalzone jeszcze się umocniła. Powiadano, że skoro wziął sobie za żonę niemowę – i to niemowę, która nie wyróżnia się urodą – to pewnie by sycić swe zwierzęce żądze. Żeby nie mogła krzyżeć, gdy będzie ją bił albo gwałcił. Mówiono także, że wybrał tę biedną istotę, by mieć pewność, że nie usłyszy niczego z jego tajnych planów i niczego nie powie. Niemowa, tak, by mieć pewność, że nigdy nie zdradzi. Istny diabeł.

Wszyscy musieli wszak przyznać, że od dnia ślubu Rocca nikomu w Montepuccio nie spadł nawet włos z głowy. Przeniósł swą działalność w dalsze rejony Apulii. Montepuccio zaś zaczęło żyć w spokoju, wręcz dumne, że może gościć taką sławę. Don Giorgio nie omieszkał

podziękować Panu za ten powrót pokoju, w którym widział odpowiedź Wszechmogącego na swe skromne modły.

Niemowa urodziła Roccowi trójkę dzieci: Domenica, Giuseppe i Carmelę. Mieszkańcy Montepuccio niemal już go nie widywali. Stale był w drodze, poszerzając swoje tereny łowieckie. Jeśli wracał do fermy, to tylko późną nocą. Przez okna widać było zapalone świece. Rozlegały się śmiechy, odgłosy hulanki. Trwało to kilka dni, później zapadała cisza. Rocco nigdy nie schodził do wioski. Pojawiały się pierwsze plotki o jego śmierci, o schwytaniu, ale narodziny kolejnego dziecka szybko zaprzeczały tym nowinom. Rocco żył. Na dowód tego Niemowa schodziła po zakupy, a dzieciaki uganiały się po uliczkach starego Montepuccio. Rocco tu był, choć tylko jak cień. Czasami jacyś obcy w milczeniu przemierzali wioskę. Prowadząc kolumnę mułów obciążonych skrzyniami i wszelakim towarem. Dobra napływały do wielkiej, cichej posiadłości na szczycie wzgórza i tam pozostawały. Rocco ciągle tu był, tak, i ściągał kolejne konwoje skradzionych towarów.

Dzieci Scorty większość dnia spędzały w wiosce. Były jednak skazane na coś, co można by nazwać uprzejmym odosobnieniem. Rozmawiało się z nimi najrzadziej, jak to było możliwe. Dzieciom z wioski przykazywano, by się z nimi nie bawiły. Ileż to razy matki z Montepuccio powtarzały swym pociechom: „Nie baw się z tymi dziećmi”. A gdy niewinny głuptas pytał dlaczego, słyszał w odpowiedzi: „Bo to Mascalzone”. Trójka dzieci w końcu milcząco pogodziła się z tym stanem rzeczy. Stwierdziły, że za każdym razem, kiedy jakiś dzieciak z wioski zbliża się, by wziąć udział we wspólnej zabawie, natychmiast wyłania się jak spod ziemi kobieta, wymierza mu siarczysty policzek i ciągnie za ramię, krzycząc: „Ty gnojku, co ja ci mówiłam?” i nieszczęśnik oddalał się z płaczem. Bawiły się więc tylko ze sobą.

Jedynym dzieckiem, które ośmielało się bawić z ich grupką, był Raffaele, na którego wszyscy mówili pieszczotliwie: Faelucc'. Pochodził z rodziny rybaków, z jednej z najbiedniejszych rodzin w Montepuccio. Raffaele zaprzyjaźnił się ze Scortami i nie odstępował ich na krok, naruszając zakaz rodziców. Co wieczór, gdy wracał do domu, ojciec pytał go, gdzie się wałęsał, i co wieczór malec odpowiadał: „Byłem z przyjaciółmi”. I każdego wieczora ojciec bił go gdzie popadnie, przeklinając niebo, które dało mu za syna takiego idiotę. Gdy ojca nie było w domu, matka zadawała rytualne pytanie. I biła jeszcze mocniej. Raffaele wytrzymał miesiąc. Za każdym razem zbierając cięgi. Ale miał serce na dłoni i nie był w stanie wyobrazić sobie, że

mógłby spędzić dzień bez przyjaciół. Po miesiącu rodzice zniechęceni biciem przestali zadawać synowi jakiegokolwiek pytania. Postawili na nim krzyżyk, dochodząc do wniosku, że po takim synalku nie ma się już czego spodziewać. Matka traktowała go odtąd jak wyrodne dziecko. Mówiła przy stole: „Ej, złodziejaszku, podaj chleb”, i mówiła to bez uśmiechu, nie był to wcale żart, po prostu stwierdzenie. Ten dzieciak był już spisany na straty i łatwiej było żyć ze świadomością, że nie do końca jest jej synem.

W pewien lutowy dzień 1928 roku Rocco pojawił się na rynku. Przyszedł w towarzystwie Niemowy i trójki dzieci, wystrojonych jak na niedzielę. To niespodziewane najście wprawiło mieszkańców w prawdziwe osłupienie. Od dawna nikt go nie oglądał. Przekroczył pięćdziesiątkę. Był jeszcze silnym mężczyzną. Miał pięknie utrzymaną, siwiejącą brodę, która skrywała zapadłe policzki. Jego spojrzenie nic się nie zmieniło. Jego oczy błyszczały od wewnętrznej gorączki. Nosił się dostojnie i elegancko. Spędził w wiosce cały dzień. Przenosząc się z jednej kawiarni do drugiej. Łaskawie przyjmując prezenty. Był spokojny i zdawało się, że jego nienawiść do Montepuccio wygasła. Wszyscy widzieli, jak Rocco przechodzi od stołu do stołu – i wszyscy byli zgodni, że, koniec końców, ten człowiek mógłby zostać burmistrzem Montepuccio.

Zmierzch zapadł szybko. Zimne krople deszczu spadły na bruk korso. Rodzina Scorta Mascalone wróciła do posiadłości, pozwalając wieśniakom komentować w nieskończoność niespodziewaną wizytę. Kiedy zapadła noc, deszcz się nasilił. Zrobiło się zimno i morze było niespokojne. Wzburzone fale biły o falezę.

Don Giorgio zjadł na kolację talerz kartoflanki. On także się postarzał. Zgarbił. Praca, do której był tak przywiązany – przekopywanie ogródka, naprawa dachu w kościele – wszystkie te fizyczne zajęcia, dzięki którym odnajdował spokój ducha, były mu zakazane. Wychudł. Jak gdyby śmierć, nim zabierze człowieka, musiała uczynić go lżejszym. Był starcem, lecz parafianie, oddani mu sercem i duszą, na wieść o ewentualnym zastąpieniu go przez innego księdza z pewnością pluliby na ziemię.

Ktoś zastukał do drzwi kościoła. Don Giorgio aż podskoczył. W pierwszej chwili pomyślał, że musiał się przesłyszeć – może to szum deszczu – ale stukanie stawało się coraz bardziej natarczywe. Szybko wstał z łóżka, dochodząc do wniosku, że pewnie chodzi o ostatnie namaszczenie.

W drzwiach stał Rocco Scorta, zmoczony od stóp do głowy. Don Giorgio, nieruchomy, przyglądał się bacznie mężczyźnie, by stwierdzić, jak bardzo upływający czas zmienił jego rysy. Poznał go, oceniał tylko dzieło czasu – tak jak uważnie oglądamy wyroby złotnika.

– Ojcze – powiedział w końcu Rocco.

– Wejź, wejź – odparł don Giorgio. – Co cię tu sprowadza?

Rocco spojrzał staremu proboszczowi prosto w oczy i spokojnym, acz zdecydowanym głosem powiedział:

– Przyszedłem się wyspowiadać.

Tak w kościele w Montepuccio zaczęła się rozmowa w cztery oczy między don Giorgiem a Rocco Scorta Mascalzone. W pięćdziesiąt lat po tym, jak pierwszy ocalał życie drugiemu. Rozmowa mężczyzn, którzy nie widzieli się od dnia ślubu Mascalzone. A noc zdawała się zbyt krótka, by dało się w niej pomieścić wszystko, co ci dwaj ludzie mieli sobie do powiedzenia.

– Nie ma mowy – odparł don Giorgio.

– Ojcze... – Nie.

– Proszę księdza – ciągnął nie zniechęcony Rocco – gdy skończy się ta rozmowa, wrócę do domu, położę się do łóżka i umrę. Proszę mi wierzyć. I nie pytać dlaczego. Tak być musi. Moja godzina wybiła. Wiem to. Przyszedłem tu, by ksiądz mnie wysłuchał, i ksiądz to uczyni, bo jest sługą bożym, który nie może decydować za samego Boga.

Don Giorgia zdumiała siła i spokój rozmówcy. Nie było innego wyjścia, jak tylko spełnić jego prośbę. Rocco ukląkł w mroku kościoła i zaczął odmawiać Ojcze nasz. Potem uniósł głowę i rozpoczął swą spowiedź. Opowiedział o wszystkim. O każdej swojej zbrodni. O każdej wyrządzonej ludziom krzywdzie. Nie ukrywając niczego. Zabijał. Rabował. Pożądał żony bliźniego. Wzniecał pożary, siał terror. W życiu nie zaznał niczego innego. Tylko kradzieże i gwałty. Don Giorgio w ciemności nie widział jego twarzy, ale wsłuchiwał się w głos, w długą litanie grzechów i zbrodni, płynącą z ust tego człowieka. Musiał wysłuchać go do końca. Rocco Scorta Mascalzone całymi godzinami wyliczał swoje występki. Gdy skończył, proboszczowi kręciło się w głowie. Znów zaległa cisza i sam nie wiedział, co powiedzieć. Cóż mógł zrobić, po wszystkim, co tu usłyszał? Ręce mu drżały.

– Wysłuchałem cię, synu – wykrztusił wreszcie – ale nie sądziłem, że kiedykolwiek dane mi będzie słuchać podobnego koszmaru. Przyszedłeś tu. Wysłuchałem twych wyznań. Nie mogę odmówić tego bożemu stworzeniu, ale rozgrzeszyć cię, o nie, tego uczynić nie mogę. Staniesz przed Bogiem, synu, i Jemu zdasz sprawę.

– Jestem człowiekiem – odparł Rocco.

I don Giorgio nigdy się nie dowiedział, czy Rocco chciał przez to powiedzieć, że niczego się nie boi, czy też przeciwnie, że przeprasza za grzechy. Stary proboszcz był zmęczony. Wstał. Po tym, co usłyszał, miał nudności i chciał zostać sam. Ale głos Rocca rozbrzmiał na nowo.

– To nie wszystko, mój ojczy.

– O co chodzi? – zapytał don Giorgio.

– Chciałbym dać coś na Kościół.

– Co takiego?

– Wszystko, ojczy. Wszystko, co posiadam. Wszystkie bogactwa, gromadzone rok po roku. Wszystko, co uczyniło mnie najbogatszym człowiekiem w Montepuccio.

– Nie przyjmę od ciebie niczego. Twoje pieniądze ociekają krwią. Jak śmiesz w ogóle mi to proponować? Po tym, co mi tu naopowiadałeś. Oddaj je tym, których okradłeś, jeśli wyrzuty sumienia nie pozwalają ci spać.

– Dobrze ksiądz wie, że to niemożliwe. Większość z tych ludzi nie żyje. A inni, jak miałbym ich odnaleźć?

– Możesz rozdać pieniądze ludziom z Montepuccio. Ubogim. Rybakom i ich rodzinom.

– Tak właśnie uczynię, przekazując je księdzu. Ksiądz to Kościół, a ludzie z Montepuccio są księdza dziećmi. Niech ksiądz to podzieli. Jeśli ja zrobię to za życia, będę rozdawał im brudne pieniądze i staną się przez to współnikami zbrodni. Jeśli ksiądz to uczyni, będzie zupełnie inaczej. W rękach księdza te pieniądze będą błogosławione.

Kim jest ten człowiek? Sposobem wystawiania się Rocco zbijał don Giorgia z tropu. Ta inteligencja. Jasność umysłu. U bandyty bez żadnego wykształcenia. Zaczął wyobrażać sobie, kim mógłby stać się Rocco Scorta. Mężczyzna miły w obejściu. z charyzmą. z błyskiem w oku, który sprawiał, że miało się ochotę iść za nim choćby na kraniec świata.

– A twoje dzieci? – odezwał się ksiądz. – Chcesz dodać do listy zbrodni wydziedziczenie własnych dzieci?

Rocco uśmiechnął się i powiedział cicho:

– To żadne dobrodziejstwo, pozwolić im korzystać z kradzionego dobra. Byliby grzesznikami.

Argument był przekonujący, aż nadto. Don Giorgio czuł, że to tylko pusta retoryka. Rocco mówił to z uśmiechem na ustach i pewnie wcale nie myślał tego, co powiedział.

– A prawdziwy powód? – zapytał proboszcz stanowczo, nie ukrywając złości.

Wtedy Rocco wybuchnął gromkim śmiechem. Tak głośno, że stary proboszcz pobladł. Śmiech był demoniczny.

– Don Giorgio – rzekł Rocco, starając się opanować – niech mi ksiądz da umrzeć i zachować parę sekretów dla siebie.

Ojca Zampanellego długo zastanawiał ten wybuch wesołości. Śmiech Rocca mówił wszystko. Była w nim nieprzeparta żądza zemsty, której nic nie było w stanie uśmierzyć. Gdyby Rocco mógł zgładzić całą swą rodzinę, zrobiłby to. To, co należało do niego, musiało umrzeć wraz z nim. Był to śmiech człowieka dotkniętego obłędem, szaleńca, który obcina sobie palce. Śmiech na myśl o zbrodni popełnionej na sobie samym.

– Wiesz, na co ich skazujesz? – zapytał jeszcze proboszcz, chcąc wyjaśnić sprawę do końca.

– Tak – odparł chłodno Rocco. – Na życie. Bez chwili wytchnienia.

Don Giorgio był znużony, czuł się pokonany.

– Niech tak będzie – powiedział. – Przyjmę ofiarę. Wszystko, co posiadasz. Cały twój majątek. Niech tak będzie. Nie myśl tylko, że w ten sposób uda ci się odkupić winy.

– Nie, mój ojciec. Nie kupuję spokoju. Nigdy go nie zaznam. Chciałbym w zamian coś innego.

– Cóż takiego? – zapytał proboszcz resztką sił.

– Składam Kościołowi dar w postaci największego majątku, jaki kiedykolwiek zgromadzono w Montepuccio. W zamian proszę tylko pokornie, by moi bliscy, którzy odtąd będą cierpieć biedę, mieli prawdziwie książęce pochówki. Tylko tyle. Rodzina Scortów będzie żyła w nędzy, bo nic im nie zostawię. Ale chcę, żeby mieli wspaniałe pogrzeby, jak nikt inny. Kościół, któremu daję wszystko, musi dotrzymać słowa. Niech pogrzebom towarzyszy procesja. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie przemawia przeze mnie pycha. Robię to dla Montepuccio. Stworzę ród głodomorów. Pogardzanych przez ludzi. Znam dobrze Montepuccio. Cenię tylko pieniądze. Zamkniemy im jadaczki, chowając najuboższych z honorami, niczym

wielkich panów. „Ostatni będą pierwszymi”. Niech stanie się to prawdą, przynajmniej w Montepuccio. z pokolenia na pokolenie. Niech Kościół zapamięta. A ludzie z Montepuccio zdejmą kapelusze na widok żałobnego orszaku po śmierci każdego Mascalzone.

Oczy Rocca Scorty lśniły opętańczym blaskiem, który wyraźnie świadczył, że nie cofnie się przed niczym. Stary proboszcz poszedł po kartkę papieru i naniósł na nią zasady umowy. Kiedy atrament wysechł, podał papier Scorcie, przeżegnał się i powiedział: „Niech tak się stanie”.

Słońce ogrzewało fasadę kościoła. Światło zalało pola. Rocco Scorta i don Giorgio spędzili całą noc na rozmowie. Rozstali się bez słowa. Bez uścisków. Jak gdyby tego wieczora znów mieli się zobaczyć.

Rocco wrócił do domu. Cała rodzina już wstała. Nie odzywał się. Pogłaskał po głowie córkę, małą Carmelę, zdziwioną czułym gestem ojca, który nie miał zwyczaju okazywać uczuć i który patrzył na nią teraz uważnie, szeroko otwartymi oczami, po czym położył się do łóżka. By już nie wstać. Nie pozwolił wezwać lekarza. Kiedy Niemowa, widząc, że koniec się zbliża, chciała iść po księdza, chwycił ją za rękę i powiedział: „Pozwól don Giorgiowi się wyspać. Miał ciężką noc”. Zgodził się tylko na sprowadzenie do domu dwóch starsuszek, by pomogły jej w czuwaniu. To one rozpuściły plotkę. „Rocco Scorta leży na łożu śmierci. Rocco Scorta umiera”. Wieś nie chciała uwierzyć. Wszyscy pamiętali poprzedni dzień, gdy zjawił się wśród nich, elegancko ubrany, skłonny do rozmów, krzepki. Jak śmierć mogła tak szybko wśliznąć się w jego kości?

Pogłoska rozchodziła się lotem błyskawicy. Mieszkańcy Montepuccio, wiedzeni ciekawością, ruszyli w końcu w stronę posiadłości. By zrzucić kamień z serca. Krąg ciekawskich skupił się wokół domu. Potem najodważniejsi weszli do środka. Wkrótce cała reszta poszła za ich przykładem. Tłum gapiów wtargnął do domu, nie bardzo wiadomo po co, by oddać hołd konającemu czy przeciwnie, upewnić się, że faktycznie umiera.

Na widok tłumu ludzi Rocco uniósł się na pościeli. Zbierał ostatnie siły. Miał bladą twarz, wysuszone ciało. Przyglądał się ludziom wokół. Jego oczy miały iskry wściekłości. Nikt nie śmiał się poruszyć. Wówczas konający zaczął mówić:

– Wkrótce zejdę do grobu. Długa lista mych zbrodni wlecze się za mną jak tren. Nazywam się Rocco Scorta Mascalzone. Śmieję się w głos. Mam powody do dumy. Liczycie na wyrzuty sumienia. Myślicie, że uklęknę, by modlić się o zbawienie. Że będę błagał Boga o miłosierdzie, prosił o przebaczenie tych, których skrzywdziłem. Pluję na to. Boże miłosierdzie to stojąca woda, w której tchórzliwi ludzie przemywają twarz. O nic nie proszę. Wiem, co uczyniłem. Wiem, co sobie myślicie. Chodźcie do kościoła. Przyglądacie się freskom ukazującym piekło, wymalowanym z myślą o takich jak wy prostaczkach. Diablęta ciągną

brudne duszyczki za nogi. Rogate diabły z widłami, z kopytami jak kozły, radośnie rwą na strzępy ciała potępionych. Batożą ich. Kąsają. Wyginają na wszystkie strony jak lalki. Skazańcy błagają o przebaczenie, padają na kolana, wznoszą ręce jak baby. Lecz diabły ze ślepiami dzikich bestii nie wiedzą, co to litość. I to wam się podoba. Tak być musi. Lubicie to, bo tak właśnie widzicie sprawiedliwość. Schodzę do grobu, a wy chcielibyście mnie wydać na tę nieskończoną litanię wrzasków i wymyślnych tortur. Rocco ma cierpieć męki z naszych kościelnych fresków, mówicie sobie w duchu. I to przez całą wieczność. Lecz wcale się nie trzęsę. Uśmiecham się jak wtedy, gdy mój uśmiech mroził wam krew w żyłach, jak wtedy, kiedy żyłem. Nie boję się wcale waszych malowideł. Diablęta nigdy nie naprzykrzały mi się w nocy. Grzeszyłem. Zabijałem i gwałciłem. Kto powstrzymał mą rękę? Czy ktoś otworzył ziemię, by wtrącić mnie w nicość, by uwolnić ją od mej obecności? Nikt. Obłoki nadal przemierzały niebo. Gdy krew plamiła mi dłonie, była piękna pogoda. Było tyle światła, którym Pan zawarł pakt ze światem. Czy może istnieć przymierze na świecie, w którym żyję? Nie, niebo jest puste, mogę umierać z uśmiechem. Jestem bestią o pięciu łapach. Mam oczy hieny i dłonie zabójcy. Ze wszystkich miejsc, w których byłem, Bóg się usuwał. Schodził mi z drogi, jak wy tutaj, na ulicach Montepuccio, chowając przede mną dzieci. Pada deszcz i opuszczam ten świat bez żalu. Piłem. Zachłannie szukałem rozkoszy. Bekałem w ciszy kościołów. Zachłannie pożerałem wszystko, co wpadło mi w ręce. Dzisiaj powinno być święto. Niebo powinno się otworzyć i na wieść o mojej śmierci powinny zabrznieć donośnie trąby archaniołów. I nic. Pada. Jakby Bóg smucił się, że umieram. Wszystko to bzdury. Żyłem długo, bo świat stworzono na moje podobieństwo. Wszystko jest tu na opak. Jestem tylko człowiekiem. Niczego nie oczekuję. Jem, co mogę. Rocco Scorta Mascalzone. Wy zaś, którzy mną gardzicie, wy, którzy chcecie skazać mnie na najgorsze tortury, zaczęliście przecież wymawiać me imię z podziwem. Pieniądze, które zebrałem, nie są bez znaczenia. Bo choć plujecie na zbrodnie, nie potraficie stłumić odwiecznego, brudnego szacunku człowieka dla złota. Tak. Mam go dużo. Więcej niż wy wszyscy. Mam go dość. I nie zostawiam nic. Odchodzę, zabierając z sobą noże i śmiech gwałtownika. Robiłem to, co chciałem. Przez całe życie. Nazywam się Rocco Scorta Mascalzone. Radujcie się, umieram.

Wypowiedziawszy te ostatnie słowa, opadł na łóżko. Siły go opuściły. Umarł z otwartymi oczami. Otoczony milczeniem mieszkańców Montepuccio, którzy stali jak zamurowani. Nie rzeźił. Nie stękał. Umarł ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

Pogrzeb miał odbyć się nazajutrz. Mieszkańców Montepuccio czekała tego dnia największa niespodzianka. Ze wzgórza, na którym stał dom Scortów, rozległ się przejmujący śpiew idących w procesji ludzi i zaraz potem oczom zgromadzonych ukazał się długi żałobny orszak, na którego czele ojciec Zampanelli machał wielką srebrną kadzielnicą, napełniając ulice ciężką, sakralną wonią. Trumnę niosło sześciu mężczyzn. Wyniesiono figurę patrona, świętego Eliasza, którą dźwigało na ramionach dziesięciu innych mężczyzn. Orkiestra grała najsmutniejsze miejscowe melodie w powolnym rytmie miarowych kroków. Nikt w Montepuccio nie miał takiego pogrzebu. Procesja przeszła przez korso, stanęła na głównym placu, weszła w wąskie uliczki starej części osady, gdzie zakresliła pętlę. Po czym wróciła na rynek, znów się zatrzymała, ruszyła przez korso i w końcu trafiła do kościoła. Po krótkiej ceremonii, podczas której proboszcz oznajmił, że Rocco Scorta Mascalzone przekazał swój majątek w darze Kościołowi – co wywołało ogólne poruszenie i szmer komentarzy – znów zabrzmiały przenikliwe dźwięki dętych instrumentów. Kościelne dzwony mieszały się z żałobną muzyką. Wszyscy byli obecni. I wszystkich nurtowały te same pytania: czy naprawdę chodziło o cały majątek? Ile tego jest? Co proboszcz z tym zrobi? Co stanie się z Niemową? i z trójką ich dzieci? Przyglądali się twarzy biednej kobiety, próbując odgadnąć, czy znała ostatnią wolę męża, ale zmęczone oblicze wdowy nie wyrażało niczego. Wszyscy byli obecni i Rocco Scorta uśmiechnął się w trumnie. Poświęcił całe życie, ale osiągnął to, o czym marzył: Montepuccio padło mu do stóp. Miał wioskę w garści. Dzięki pieniądзом, bo tylko pieniądze mogły to sprawić. I gdy tym kmiotkom zaczęło się wydawać, że już go osaczyli, gdy zaczęli go lubić, tytułować „don Rocco”, kiedy zaczęli z podziwem myśleć o majątku i całować go po rękach, zniszczył wszystko jednym wybuchem śmiechu. Tego pragnął najbardziej. Tak, Rocco uśmiechnął się w trumnie, nie troszcząc się już o to, co pozostawia za sobą.

Dla mieszkańców Montepuccio wszystko było jasne. Rocco Scorta zdołał odmienić klątwę ciążyącą nad rodziną. Ród Mascalzone był rodem bękartów, rodziną skazaną na szaleństwo. Rocco był pierwszy, ale następni, bez wątpienia, mogli być tylko gorsi. Oddając majątek, Rocco chciał to zmienić: sprawić, by jego potomkowie nie byli odtąd szaleni, ale biedni.

I wszystkim w Montepuccio wydawało się to do przyjęcia. Rocco Scorta nie wykręcał się przed własnym losem. Cena była wysoka, ale sprawiedliwa. Dzięki temu jego potomni będą mieli szansę stać się kiedyś dobrymi chrześcijanami.

Nad grobem ojca trójka osieroconych dzieci przytulała się mocno do siebie. Raffaele był tam także, trzymając za rękę Carmelę. Nikt nie płakał. Żadne z nich nie odczuwało prawdziwego żalu po odejściu ojca. To nie smutek sprawiał, że zaciskali zęby, była to nienawiść. Zrozumiały, że zabrano im wszystko i że od tej pory będą musiały liczyć tylko na własne siły. Zrozumiały, że czyjaś dzika wola skazała je na nędzę i że była to wola ich własnego ojca. Domenico, Giuseppe i Carmela patrzyli w wykopany dół i czuli, że grzebią w nim całe dotychczasowe życie. z czego będą żyć jutro? Za jakie pieniądze i gdzie, skoro nawet ferma została oddana? Ile trzeba mieć sił, by stawić czoło nadciągającym burzom? Tulili się do siebie, myśląc z nienawiścią o nadchodzących dniach. Wszystko zrozumieli. Wyczuwali to już w spojrzeniach ludzi: byli biedni. Biedni jak kościelne myszy.

Lubię tu przychodzić. Byłam tu tyle razy. Ta ziemia od dawna leży odłogiem i porasta chwastami, które czesze wiatr. Widać stąd jeszcze kilka światła wioski. W oddali. I kościelną dzwonnica. Nic tu nie ma. Tylko ten stary mebel do połowy zagrzebany w ziemi. Tu chciałam księdza przyprowadzić] don Salvatore. Właśnie tu chciałam z księdzem usiąść. Wie ksiądz, co to za mebel? To stary konfesjonał, używany w kościele jeszcze za czasów don Giorgia. Poprzednik księdza wymienił go na nowy. Ludzie wynieśli go z kościoła i zostawili tutaj. Nikt o nim nie pamiętał. Drewno niszczało. Farba się kruszyła. Mebel szerniał Ugrzązł głęboko w ziemi. Często tu siadam. Pochodzi z moich czasów.

Nie spowiadam się, don Salvatore, proszę nie mieć złudzeń. Nie po to przyprowadziłam tu księdza. Nie proszę, byśmy usiedli razem na tej drewnianej ławce, po to by dostać rozgrzeszenie. Rodzina Scortów nie ma zwyczaju się spowiadać. Mój ojciec był ostatni. Niech ksiądz nie marszczy brwi, nie chcę księdza urazić. Jestem po prostu córką Rocca i choć długo go przeklinałam, niczego to nie zmienia. W mych żyłach płynie jego krew.

Pamiętam go na łożu śmierci. Jego ciało lśniło od potu. Był blady. Śmierć już buszowała pod skórą. Uważnie rozejrzał się dokoła. Cała wieś chciała wcisnąć się do małego pokoju. Ogarnął spojrzeniem żonę, dzieci i tłum ludzi, których terroryzował za życia, i powiedział z uśmiechem wisielca: „Radujcie się. Umieram”. Te słowa paliły mnie jak siarczasty policzek. „Radujcie się. Umieram”. Mieszkańcy Montepuccio z pewnością się radowali, lecz my troje, stojąc przy łożu, spoglądaliśmy na niego wielkimi, pustymi oczami Jakiej radości możemy zaznać? Czemu jego odejście miałoby nas cieszyć? To zdanie kierował do wszystkich bez wyjątku. Rocco był zawsze sam przeciwko reszcie świata. Powinnam była go przekląć. Darzyć nienawiścią skrzywdzonego dziecka. Ale nie mogłam, don Salvatore. Pamiętałam jego gest. Na chwilę przed tym, jak położył się do łóżka, by umrzeć, pogłaskał mnie po głowie. Bez słowa. Nigdy tego nie robił. Położył mi na głowie swoją ciężką dłoń i delikatnie pogładził, a ja nigdy nie dowiedziałam się, czy było to jeszcze jedno przekleństwo, czy oznaka czułości Nigdy nie potrafiłam dać sobie z tym rady. Doszłam w końcu do wniosku, że było to i jedno, i drugie. Po ojcowsku pogłaskał mnie po głowie, a równocześnie przeklął, jak mój najgorszy wróg. Dzięki

temu gestowi stałam się naprawdę córką mego ojca. Nie dotknął żadnego z braci. Tylko ja zostałam naznaczona. To na mnie spoczął cały ciężar. Tylko ja jestem naprawdę dzieckiem mego ojca. Domenico i Giuseppe w miarę upływu czasu zdołali narodzić się na nowo. Jak gdyby nie mieli żadnego rodzica. Na mnie ciążył ten gest. Wybrał mnie. Jestem z tego dumna, a fakt, że uczynił to, by rzucie na mnie klątwę, niczego nie zmienia. Czy ksiądz to rozumie?

Jestem córką Rocca, don Salvatore. Proszę nie oczekiwać ode mnie spowiedzi. Umowa między Kościołem a rodem Scortów została zerwana. Przeprowadziłam księdza do tego konfesjonatu pod gołym niebem, bo nie chciałam widzieć się z księdzem w kościele. Nie chciałam mówić ze spuszczoną głową, drżącym głosem, żeby wyrazić skruchę. Oto miejsce odpowiednie dla Scortów. Wieje wiatr. Wokół ciemna noc. Słyszą nas tylko kamienie, odbijające echo. Siedzimy na drewnie zniszczonym przez lata. Te lakierowane deski słyszały tyle spowiedzi, wypolerował je cały ból świata. Tysiące głosów szeptało nieśmiało o swych grzechach, wyznawało błędy, przyznawało się do własnej brzydoty. Tu słuchał ich don Giorgio. Tu słuchał mego ojca, dostając mdłości, w dniu jego spowiedzi. Te słowa, don Salvatore, przesycały drewno. Wieczorem, gdy wieje wiatr, jak dzisiaj, słyszę je na nowo. Żarliwe wyznania pełne poczucia winy, gromadzone tu przez lata, tłumiony szloch, wstydlive szepty, wszystko wychodzi na jaw. Niczym bolesna mgła, którą wiatr ciągnie za sobą po wzgórzach. To mi pomaga. Tylko tu mogę mówić. Na tej starej ławeczce. Tylko tu. Ale nie jest to spowiedź. Nie czekam na rozgrzeszenie. Nie chcę obmywać się z win. Są tutaj, w moim sercu. Zabiorę je do grobu. Ale muszę powiedzieć wszystko do końca. Później odejdę. Może po tym wyznaniu zostanie jakaś woń w powietrzu, w letnie wieczory. Zapach życia, który zmiesza się z wonią skał i chwastów.

III

Powrót nędzarzy

– Czekajcie! – krzyknął Giuseppe. – Czekajcie!

Domenico i Carmela przystanęli, odwrócili się i patrzyli na brata, który parę metrów dalej podskakiwał na jednej nodze.

– Co jest? – spytał Domenico.

– Kamyk wpadł mi do buta.

Usiadł na skraju drogi i rozwiązywał sznurowadła.

– Uwiera mnie już ze dwie godziny.

– Dwie godziny? – zdziwił się Domenico.

– Tak – potwierdził Giuseppe.

– Może jeszcze wytrzymasz? Jesteśmy prawie na miejscu.

– Mam wracać do domu kulejąc?

Domenico, nieznoszącym sprzeciwu głosem, wygłosił swe mentorskie *Ma va fan'culo!*², co wywołało wybuch śmiechu siostry.

Przystanęli na skraju drogi i w głębi duszy byli zadowoleni z nadarzającej się okazji, by zaczerpnąć tchu i popatrzeć na ten kawałek drogi, który im pozostał. Błogosławili mały kamyk, który dokuczał Giuseppe. Ten zaś zdejmował but powoli, jakby chciał jak najdłużej rozkoszować się tą chwilą. Ale nie to było ważne. Montepuccio leżało teraz u ich stóp. Patrzyli na rodzinną wioskę łakomym wzrokiem i z lekką obawą. Niepokój emigrantów w godzinie powrotu. Odwieczny, paniczny strach, że pod ich nieobecność wszystko zapadło się pod ziemię. Że ulice nie są już takie jak kiedyś. Że ci, których dobrze znali, odeszli lub, gorzej, przywitają ich z niechętną miną i ponurym spojrzeniem, które zdaje się mówić: „O, wy znowu tutaj?” Wszyscy odczuwali to samo, stojąc na skraju drogi, a kamyk w bucie Giuseppe musiał być narzędziem Opatrzności. Bo każde z nich potrzebowało czasu, by objąć spojrzeniem wioskę, wziąć głęboki oddech i przeżegnać się, zanim ruszą w dół.

Ledwie rok upłynął od chwili ich wyjazdu, lecz bardzo się zmienili. Mieli twarde rysy. Ich spojrzenia stały się szorstkie i zdecydowane. Upłynęło całe życie, pełne zmartwień, mozołu i niespodziewanych radości.

Domenico, którego wszyscy nazywali „Mimi va fan'culo”, bo każde jego zdanie kończyło się w ten sposób, a wymawiał ten nakaz, przeciągając głoski, jak gdyby nie była to żadna obelga, a jedynie nowy znak interpunkcyjny, Domenico był teraz mężczyzną. Śmiało można by dać mu dziesięć lat więcej niż jego osiemnaście. Miał czerstwą twarz, bez śladu urody, przenikliwe spojrzenie, jakby stworzone do tego, by szybko oszacować, co wart jest rozmówca. Był silny, miał szerokie dłonie, lecz całą swą energię skupiał na tym jednym: jak najszybciej upewnić się, z kim ma do czynienia. „Można zaufać temu człowiekowi?”, „Da się coś na tym zarobić?”, takimi pytaniami nawet nie zaprzętał sobie głowy, miał je we krwi.

Za to Giuseppe zachował swe dziecinne rysy. Młodszy o dwa lata, wciąż, mimo upływu miesięcy, miał twarz krągłą i pucołowatą. W małej grupce, całkiem bezwiednie, to on rozładowywał wszystkie napięcia. Na ogół był radosny i taką ufnością darzył starszego brata i siostrę, że tylko wyjątkowo zdarzało mu się wątpić w jutro. Nadano mu przydomek „Peppe pancia piena”, bo najbardziej z wszystkiego na świecie kochał mieć pełny brzuch. Najeść się do syta, i jeszcze więcej, było jego obsesją. Dzień był udany, jeśli spożył posiłek godny tego miana. Przy dwóch posiłkach dziennie było prawdziwe święto i Giuseppe wpadał w dobry nastrój, co mogło trwać nawet parę dni. Ileż to razy na drodze z Neapolu do Montepuccio westchnął na wspomnienie talerza gnocchi czy spaghetti, które pałaszował dzień wcześniej? w takich chwilach zaczynał przemawiać sam do siebie, na środku drogi, uśmiechając się błogo, jakby nagle przestał odczuwać zmęczenie i odnalazł w sobie całe pokłady mocy, by ni stąd, ni zowąd radośnie zawołać: „*Madonna, che pasta!..*” i z gorączką w oczach pytał brata: „Pamiętasz, Mimi?” Następował niekończący się opis owego makaronu, jaką miał konsystencję, smak, z jakim był sosem, i Giuseppe powtarzał z uporem maniaka: „Pamiętasz, Mimi, taki mocno czerwony? Czuć było mięso, jak pitrasi się w czerwonym sugo, pamiętasz?” a Mimi, który miał już potąd tego delirium wizjonera, cedził przez zęby: „*Ma va fan'culo*, ty i twoje spaghetti!” Co miało znaczyć, że jeszcze szmat drogi, że nogi bolą i że wcale nie wiadomo, kiedy będzie znów można zjeść coś tak dobrego.

Carmela, którą bracia zwali pieszczotliwie Miuccią, była jeszcze dzieckiem. Wyglądała jak dziecko i miała głos dziecka. Lecz ostatnie miesiące zmieniły ją jeszcze bardziej niż braci. To ona była przyczyną największych nieszczęść i największych radości, jakich zaznali podczas długiej podróży za ocean. Nikt nigdy jej tego nie wyrzucał, ale wiedziała sama: wszystkiemu była winna. I wszystko, *in extremis*, udało się ocalić dzięki niej. Ten fakt zrodził w niej poczucie

odpowiedzialności i rozbudził inteligencję niespotykaną w jej wieku. Na co dzień była zwykłą dziewczynką, która śmieje się ze sztubackich dowcipów braci, ale gdy los postanowił wziąć się na nich, wydawała rozkazy i mocno zaciskała zęby. To ona w drodze powrotnej prowadziła osiołka za uzdę. Bracia powierzyli jej cały dobytek. Osła i stos najróżniejszych przedmiotów, które niósł na grzbiecie. Walizki. Czajnik. Talerze z holenderskiej porcelany. Wyplatane krzesło. Komplet miedzianych rondli. Koce. Osiołek sumiennie dźwigał cały ten ładunek. Żaden z tych przedmiotów nie miał wielkiej wartości, ale wspólnie tworzyły na grzbiecie niemały pagórek, cały dorobek ich życia. To ona trzymała sakiewkę, do której wrzucili uciulane w podróży grosze. Carmela z nabożeństwem czuwała nad tym skarbem, jak czynią biedacy.

– Jak myślicie, zapalą lampiony?

Głos Giuseppe przerwał milczenie wzgórz. Trzy dni wcześniej minął ich jeździec. Po krótkiej wymianie zdań młodzi Scortowie wyjaśnili, że wracają do domu, do Montepuccio. Jeździec zaś obiecał, że zawiadomi wioskę o ich rychłym przybyciu. To właśnie miał teraz na myśli Giuseppe. Lampiony na korso Garibaldi, które zapala się zawsze w dniu powrotu emigrantów. Zapalone lampiony na powrót „Amerykanów”.

– Jasne, że nie – odparł Domenico. – Lampiony...

I wzruszył ramionami.

I znów ogarnęła ich cisza.

Oczywiście, że nie. Nie należało spodziewać się lampionów dla Scortów. Giuseppe przez chwilę wyglądał na zmartwionego. Domenico powiedział to głosem nieznoszącym sprzeciwu. Ale i on o tym myślał. Myślał bez przerwy. Tak. Lampiony. Tylko dla nich. I cała wioska, która na nich czeka. Mała Carmela też o tym myślała. Wejść na korso Garibaldi i rozpoznać twarze, widzieć łzy, słyszeć śmiech. Marzyli o tym wszyscy troje. Tak. Co jak co. Lampiony. Pięknie by było.

Zerwał się wiatr, zmiatając zapach wzgórz. Ostatnie blaski dnia zniknęły powoli. Toteż bez słowa ruszyli w dalszą drogę, jakby przyciągał ich magnes wioski, niecierpliwi i wystraszeni zarazem.

Wkroczyli do Montepuccio nocą. Korso Garibaldi wyglądało tak jak wtedy, kiedy zostawili je dziesięć miesięcy temu. Ale nie było nikogo. Wiatr hulał po ulicy i świstał nad głowami kotów, które pierzchały po kątach, wyginając grzbiety. Nie było żywego ducha. Wioska spała i kopyta osła rozbrzmiewały w ciszy.

Domenico, Giuseppe i Carmela szli naprzód, zaciskając zęby. Nie mieli odwagi spojrzeć sobie w oczy. Nie śmieli rozmawiać. Mieli sobie za złe, że dali się uwieść tej głupiej nadziei – lampiony... jakie znów lampiony?... i teraz musieli ścisnąć pięści, w ciszy.

W miejscu, gdzie kiedyś, przed ich wyjazdem, była pasmanteria Luigiego Zacalonii, najwyraźniej coś się stało: szyld leżał na ziemi, niektóre z szybek wybito. Nikt tu już nie sprzedawał ani nie kupował. Poczuli się nieswojo. Nie dlatego, że byli klientami, ale każda zmiana w Montepuccio wydawała się złym znakiem. Woleli, by wszystko było tak, jak kiedyś. By czas nie naruszył niczego podczas ich nieobecności. Jeśli Luigi Zacalonia nie prowadzi już pasmanterii, Bóg jeden wie, jakich innych niespodzianek należy się spodziewać.

Gdy przeszli już spory kawałek przez korso, zauważyli mężczyznę, który spał pod ścianą, wystawiony na przeciągi wiatru. Pomyśleli najpierw, że to pijak, ale gdy zbliżyli się na kilka kroków, Giuseppe zawołał: „Raffaele! To Raffaele”. Chłopak aż podskoczył. Zerwał się na równe nogi. Scortowie krzyczeli z radości. Oczy Raffaela śmiały się ze szczęścia, lecz on sam nie przestawał się tłumaczyć. Był zdruzgotany, że w tak żalorny sposób przywitał przyjaciół. Szykował się na tę chwilę, obiecywał sobie, że jeśli trzeba, będzie czuwał całą noc, lecz później, z chwili na chwilę, siły go opuszczały i zasnął.

– Jesteście wreszcie... – mówił ze łzami w oczach. – Mimi, Peppe... jesteście... Przyjaciele, niech się wam przyjrzę! Miuccia! a ja zasnąłem. Co za kretyn ze mnie. Wypatrywałem was. Chciałem widzieć z daleka, jak się zbliżacie...

Całowali się, chwyтали za ręce, poklepywali po plecach. Przynajmniej to jedno nie zmieniło się w Montepuccio, Raffaele tu był. Młody człowiek sam nie wiedział, co z sobą począć. Nawet nie zauważył osła i wszystkich tych rzeczy, które niósł na grzbiecie. Od razu dostrzegł urodę Carmeli, ale to tylko pogłębiało jego zmieszanie i jękał się jeszcze bardziej.

Raffaele zdołał wreszcie wykrztusić parę słów. Zaprosił przyjaciół do siebie. Było późno. Wioska spała. Spotkanie Scortów z ludźmi z Montepuccio mogło poczekać do jutra. Przyjęli zaproszenie i musieli stoczyć prawdziwą walkę, by przyjaciel nie ładował sobie na plecy wszystkich toreb i waliz. Mieszkał teraz w małym domku, przy porcie. Nędzny pawilon, przyklejony do skały i pobielony wapnem. Raffaele przygotował dla nich niespodziankę. Gdy tylko dowiedział się o rychłym przyjeździe Scortów, nie zwlekając, zabrał się do dzieła. Kupił kilka bochnów chleba. Upichcił sos z kawałkami mięsa. Ugotował makaron. Miał to być prawdziwy festyn na przyjęcie przyjaciół.

Gdy zasiedli przy małym stole, a Raffaele wniósł misę orecchiette domowej roboty, pływających w gęstym pomidorowym sosie, Giuseppe się rozpląkał. Rozpoznawał aromaty swej rodzinnej wioski. Odnalazł przyjaciela. Nie potrzebował niczego więcej. A wszystkie lampiony na korso Garibaldi nie sprawiłyby mu więcej uciechy niż talerz pełen dymiących orecchiette, do których zabrał się z ochotą.

Jedli. Wbijali zęby w wielkie kromki białego chleba, które Raffaele polał oliwą, natarł pomidorem i solą. Kluski ociekające sosem rozpląwały się w ustach. Jedli, nie zwracając uwagi na to, że Raffaele siedzi z zasmuconą twarzą. Wreszcie Carmelę zaniepokoiło milczenie przyjaciela.

– Co ci jest, Raffaele? – zapytała.

Chłopak uśmiechnął się. Nie chciał mówić, nim przyjaciele skończą jeść. To, co miał do powiedzenia, mogło jeszcze poczekać. Wolał patrzeć, jak kończą posiłek. Niech się Giuseppe uraczy. Niech się nasyci i z satysfakcją wyliże swój talerz.

– Raffaele? – nalegała Carmela.

– A Nowy Jork, powiedzcie, jak było w Nowym Jorku?

Rzucił to pytanie z udanym entuzjazmem. Grał na zwłokę. Carmela wyczuła to po tonie jego głosu.

– Najpierw ty, Raffaele, powiedz, co masz do powiedzenia.

Bracia podnieśli wzrok znad talerzy. Głos siostry wskazywał, że dzieje się coś dziwnego. Wszyscy patrzyli na Raffaela, twarz mu zbladła.

– Muszę wam powiedzieć... – wyszeptał, nie kończąc zdania.

Scortowie siedzieli nieruchomo.

– Wasza matka... Niemowa... – ciągnął. – Będzie już dwa miesiące, jak odeszła.

Pochylił głowę. Scortowie nie odzywali się. Czekali. Raffaele zrozumiał, że musi powiedzieć więcej. Należało opowiedzieć wszystko. Podniósł więc w górę oczy i nappełnił izbę głosem pełnym żalu.

Niemowa chorowała na febrę. W pierwszych tygodniach po wyjeździe dzieci nie poddawała się chorobie, ale bardzo szybko siły ją opuściły. Chciała zyskać na czasie. Liczyła, że wytrzyma do powrotu bliskich. Przynajmniej do dnia, gdy otrzyma od nich jakieś wieści, ale się nie udało i choroba się nasiliła.

– Czy don Giorgio godnie ją pochował? – zapytał Domenico.

Pytanie długo pozostawało bez odpowiedzi. Raffaele przeżywał katusze. Na myśl o tym, co ma do powiedzenia, ścisnęło go w żołądku. Ale musiał wypić ten kielich do dna, nie przemilczając niczego.

– Don Giorgio odszedł jeszcze przed nią. Zmarł w podeszłym wieku, z uśmiechem na ustach, splatając dłonie na piersi.

– A jak pochowano matkę? – spytała Carmela, czując, że jeśli Raffaele nie odpowiedział na pytanie, za tą ciszą musi kryć się jeszcze inna przykra niespodzianka.

– Nic nie mogłem zrobić – wymamrotał Raffaele. – Przybyłem za późno. Wypłynąłem w morze. Na całe dwa dni. Gdy wróciłem, leżała już w grobie. Wszystkim zajął się nowy proboszcz. Złożyli ją we wspólnej mogile. Nie mogłem nic poradzić.

Twarze Scortów były skamieniałe z wściekłości. Zaciskali zęby. Spoglądali ponuro. Słowo „wspólna mogiła” brzmiało jak policzek.

– Kim jest ten nowy proboszcz? – zapytał Domenico.

– To don Carlo Bozzoni – odpowiedział Raffaele.

– Jutro pójdziemy do niego – oznajmił Domenico i słysząc jego głos, wszyscy byli spokojni, że wie, o co ma zapytać, ale że nie chce mówić o tym dziś wieczorem.

Położyli się spać, nawet nie kończąc posiłku. Żadne z nich nie miało więcej nic do powiedzenia. Należało milczeć i przywdziać żałobę.

Nazajutrz Carmela, Giuseppe, Domenico i Raffaele wstali na jutrznię. Spotkali się z nowym proboszczem w chłodzie poranka.

– Ojczy! – zakrzyknął Domenico.

– Tak, moje dzieci, co was tu sprowadza? – odparł słodkim głosem.

– Jesteśmy dziećmi Niemowy.

– Czyimi dziećmi?

– Niemowy.

– Czy to jakieś nazwisko? – spytał don Carlo, uśmiechając się z lekka.

– Tak się nazywała – ucięła krótko Carmela.

– Pytam o nazwisko chrześcijańskie – ciągnął proboszcz.

– Nie miała innego.

– Zatem słucham.

– Umarła parę miesięcy temu – powiedział Domenico. – Pochował ją ksiądz we wspólnej mogile.

– A tak, pamiętam. Współczuję wam, dzieci. Nie smućcie się, wasza matka jest już u boku Pana.

– Przyszliśmy do księdza właśnie w sprawie pogrzebu – przerwała mu znów Carmela.

– Przecież sami mówicie, że ją pochowano.

– Ale to Scorta.

– Ach tak. Scorta. Niech będzie. Bardzo dobrze. Więc jednak ma jakieś nazwisko.

– Trzeba pochować ją tak, jak się chowa Scortów – powiedziała Carmela.

– Pochowaliśmy ją po chrześcijańsku – sprostował don Bozzoni.

Domenico zbladł z wściekłości. Powiedział sucho:

– Nie, ojczy. Jak Scorte. Tu jest napisane.

I dał don Bozzoniemu kartkę, na której Rocco i don Giorgio spisali umowę. Proboszcz przeczytał ją w ciszy. Cały poczerwieniał i wybuchnął:

– Co to wszystko ma znaczyć? Nie do wiary! To jakieś zabobony. Magia czy co. Jakim prawem ten don Giorgio podpisał się za Kościół? Heretyk, oczywiście. Scorta! Ładne rzeczy.

I wy nazywacie się chrześcijanami. Pogaństwo, tajne obrzędy, oto, czym zajmują się tu ludzie. Scorta! Została pogrzebana w ziemi jak inni. I tylko tego mogła się spodziewać.

– Ojcie... – próbował teraz Giuseppe. – Kościół zawarł z naszą rodziną umowę.

Lecz ksiądz nie pozwolił mu dokończyć. Podniósł głos:

– To czyste szaleństwo. Układ ze Scortami. W głowach się wam przewracało.

Gwałtownym ruchem utorował sobie drogę do drzwi kościoła i zniknął.

Jako że byli nieobecni, młodzi Scortowie nie mogli wywiązać się ze świętego obowiązku: samemu wykopać grobu matki. Rodzinna więź wymaga, by zajęli się tym synowie. Teraz, po powrocie, byli zdecydowani oddać cześć zmarłej matce. Jej samotność, złożenie we wspólnej mogile, zerwana umowa, za dużo zniewag na raz. Postanowili, że tej samej nocy, uzbrojeni w łopaty, pójdą wykopać ciało Niemowy. Spocznie w grobie wykopanym przez synów. Nawet jeśli będzie to miejsce poza murami cmentarza. To lepsze niż bezimienna ziemia nad wspólnym grobem na wieczność.

Gdy zapadła noc, spotkali się w umówionym miejscu. Raffaele przyniósł łopaty. Było zimno. Jak złoczyńcy wkradli się na cmentarz.

– Mimi? – zapytał Giuseppe.

– Co jest?

– Jesteś pewien, że nie popełniamy przestępstwa?

Nim Domenico zdążył odpowiedzieć bratu, rozległ się głos Carmeli:

– To ten wspólny grób jest świętokradztwem. Wtedy Giuseppe pewnie ujął łopatę i powiedział:

– Masz rację, Miuccia. Nie ma się co zastanawiać. Bez słowa kopali zimną ziemię mogiły. W miarę jak kopali coraz głębiej, każdą kolejną łopatę coraz trudniej było podnieść. Zdawało im się, że jeszcze chwila, a zbudzą wielki świat umarłych. Próbowali zapanować nad strachem. Nie staniać się na nogach od mdłych wyziewów unoszących się nad ziemią.

W końcu metal uderzył w drewno trumny. Trzeba było niezwyklej siły, żeby wyciągnąć ją z ziemi. Na sosnowym wieku ktoś wrył nożem „Scorta”. Ich matka była w środku. W tej brzydkiej skrzyni. Pochowana jak nędzarka. Bez marmurów i ceremonii. Zarzucili sobie trumnę na ramiona i jak banda złodziejasków opuścili cmentarz. Szli długo wzdłuż muru, aż do małego tarasu wysoko nad morzem, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. Tu postawili trumnę. Wystarczyło już tylko wykopać dół. Niech Niemowa w wiecznym śnie poczuje oddech synów. Już mieli zaczynać, kiedy Giuseppe zwrócił się do Raffaela:

– Kopiesz z nami?

Raffaele oniemiał. Giuseppe nie prosił go jedynie o pomoc, o wspólne wylewanie potu, nie, kopać razem znaczyło pochować Niemowę wraz z nimi, jakby on sam był jednym z jej synów. Raffaele zbladł jak płótno. Giuseppe i Domenico patrzyli na niego, czekając na odpowiedź. Najwyraźniej Giuseppe zadał to pytanie w imieniu trójki Scortów. Nikt się nie zdziwił. Czekali, aż Raffaele się zdecyduje. I przy trumnie Niemowy Raffaele chwycił łopatę ze łzami w oczach. „Oczywiście” – powiedział. Było to tak, jakby sam stawał się Scorta. Jak gdyby zwłoki tej biednej kobiety udzielały mu matczynego błogosławieństwa. Odtąd będzie ich bratem. Jakby płynęła w nich ta sama krew. Ich bratem. Ścisnął trzonek łopaty. By nie wybuchnąć płaczem. W chwili gdy zaczął kopać, podniósł nagle głowę i jego wzrok spoczął na Carmeli. Stała na uboczu. Nieruchoma i milcząca. Patrzyła, jak pracują. Poczł ukłucie w sercu. Przepelił go głęboki żal. Miuccia. Jaka była piękna. Miuccia. Na którą będzie teraz patrzył oczyma brata. Zdusił ten żal w sercu, schylił głowę i z całych sił zaczął kopać.

Gdy zakończyli pracę, a trumnę na nowo pokryła ziemia, długo stali w milczeniu. Nie można było odejść bez tej ostatniej chwili skupienia. Potem Domenico zabrał głos:

– Nie mamy już rodziców. Nosimy nazwisko Scorta. Cała nasza czwórka. Taka jest nasza wola. Będziemy grzać się wspólnie ciepłem tego nazwiska. Niech nam Niemowa wybaczy, dziś rodzimy się na nowo.

Było zimno. Długo jeszcze stali z opuszczonymi głowami nad świeżo przekopaną ziemią, tuląc się do siebie. A nazwisko Scorta rzeczywiście ogrzewało ich. Raffaele szlochał cicho. Został członkiem rodziny. Miał teraz braci i siostrę, za których gotów był oddać życie. Tak, będzie czwartym Scorta, przysięga to na ziemię na grobie Niemowy. Przyjmie jej nazwisko. Raffaele Scorta. I będzie kpił z pogardy ludzi z Montepuccio. Raffaele Scorta, by bić się na śmierć i życie u boku tych, których kocha, choć myślał, że już ich stracił, gdzieś w Ameryce, gdy został tu sam, sam jak palec. Raffaele Scorta. Tak. Przysięgał sobie, że będzie godny tego nowego nazwiska.

Chciałam opowiedzieć księdzu o podróży do Nowego Jorku, don Salvatore. I gdyby nie to, że jest noc, nigdy nie ośmieliłabym się mówić Ale otacza nas ciemność, ksiądz pali papierosa, a ja muszę wypełnić to zadanie.

Po pogrzebie naszego ojca don Giorgio wezwał nas do siebie, by przedstawić nam swe plany. Znalazł mały domek w starej części wioski, gdzie nasza matka, Niemowa, będzie mogła zamieszkać. Skromny, ale przyzwoity. Przeniesie się tam jak najszybciej. Natomiast dla nas trzeba było znaleźć inne rozwiązanie. Życie tu, w Montepuccio, nie miało nic do zaoferowania. Obnosilibyśmy tylko naszą biedę po uliczkach wioski, wściekli, że los zrzucił nas z piedestału. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Don Giorgio nie chciał skazywać nas na życie w nędzy i nieszczęściu. Pomyślał o czymś lepszym. Wystara się o trzy bilety na liniowiec płynący z Neapolu do Nowego Jorku. Kościół za to zapłaci. Pojedziemy do ziemi, gdzie biedacy stawiają domy wyższe od nieba i gdzie fortuna napętnia czasem kabzę obszarpańcom.

Zgodziliśmy się od razu. Pamiętam, że tego samego wieczoru w mej głowie wirowały szalone obrazy nieistniejących miast i powtarzałam w kółko, niczym modlitwę, te słowa, od których błyszczaty mi oczy: Nowy Jork... Nowy Jork.

Gdy opuściliśmy Montepuccio, by udać się do Neapolu, wraz z don Giorgiem, który postanowił towarzyszyć nam aż do portu, zdawało mi się, że ziemia grzmi pod naszymi stopami, jak gdyby złorzeczyła swym wyrodnym synom, którzy ją opuszczają. Zostawiliśmy za plecami Gargano i zjechali na wielką, smutną równinę Foggia, przecinając w poprzek całe Włochy, aż do Neapolu. W tym labiryncie krzyków, brudu i upału szeroko otwieraliśmy oczy. Wielkie miasto czuć było ochłapami mięsa i zepsutą rybą. Na uliczkach Spaccanapoli roiło się od dzieci o wzdętych brzuchach i bezzębnych ustach.

Don Giorgio zawiózł nas do portu i zaokrętowaliśmy się na jeden z tych liniowców, budowanych specjalnie z myślą o całej masie głodomorów, których należało przewieźć z jednego krańca globu na drugi w oparach benzyny. Na pokładzie zajęliśmy miejsce pośród nam podobnych. Biedaków z Europy o godnym spojrzeniu. Wśród całych rodzin i osamotnionych dzieci. Jak oni wszyscy, trzymaliśmy się za ręce, by się nie zgubić w tłumie. Jak oni wszyscy,

pierwszej nocy nie mogliśmy zasnąć z obawy, że jakie sprytnie ręce mogą ukroić nam jedyny koc. Jak oni wszyscy, płakaliśmy, kiedy ogromny statek opuszczał Zatokę Neapolitańską. „Życie się zaczyna” – wyszeptał Domenico. Włochy znikwały w mgnieniu oka. Jak wszyscy inni, zwróciliśmy się w stronę Ameryki, czekając na dzień, w którym pokaże się wybrzeże, rojąc w dziwnych snach, że tam wszystko będzie inne, kolory, zapachy, prawa, ludzie. Wszystko. Większe, łatwiejsze. Podczas rejsu godzinami staliśmy przy relingu, próbując wyobrazić sobie, jak też może wyglądać ów ląd, na którym tacy jak my nędzarze są mile widziani. Dni były długie, ale nie miało to znaczenia, bo potrzebowaliśmy godzin, by snuć fantazje. Dni były długie, ale pozwalaliśmy im swobodnie płynąć, bo zaczynał się nowy świat.

Wreszcie pewnego dnia wpłynęliśmy do zatoki Nowego Jorku. Statek zmierzał powoli ku małej wysepce Ellis Island. Nigdy nie zapomnę naszej radości, don Salvatore. Tańczyliśmy i krzyczeli. Cały pokład ogarnęło gorączkowe ożywienie. Każdy chciał zobaczyć nową ziemię. Wiwatowaliśmy na cześć każdego rybackiego kutra. Wszyscy wskazywali palcami budowle na Manhattanie. Pożeraliśmy oczami każdy szczegół wybrzeża.

Gdy w końcu statek przybił do brzegu, zeszliśmy na ląd pośród okrzyków radości i podniecenia. Tłum wypełnił wielki hol. Było tu wszystko. Słyszeliśmy języki, które początkowo braliśmy za dialekt z okolic Mediolanu czy Rzymu, ale zaraz musieliśmy dojść do wniosku, że w grę wchodzi znacznie szersze zjawisko. Otaczał nas cały świat. Można się było zagubić. Byliśmy obcy. Nie rozumieliśmy niczego. Ale ogarnęło nas przedziwne uczucie, don Salvatore. Wiedzieliśmy, że tu jest nasze miejsce. Tu, pośród tych zabłąkanych ludzi, w tej wrzawie głosów i najróżniejszych akcentów, byliśmy u siebie. Otaczający nas ludzie byli naszymi braćmi. Za sprawą brudu na twarzy. Za sprawą strachu. Który ścisnął im żołądki, tak samo jak nam. Don Giorgio miał rację. Tu było nasze miejsce. W kraju, który nie przypominał żadnego innego. Byliśmy w Ameryce i nie baliśmy się. Nasze życie w Montepuccio wydawało się teraz odległe i brzydkie, byliśmy w Ameryce i nasze noce wypełniały sny pełne radości i pragnień.

Don Salvatore, głos mi się łamie i muszę spuścić oczy, opowiem księdzu o sprawach, o których nikt nie wie. Nikt prócz Scortów. Proszę słuchać. Noc jest długa i opowiem wszystko.

Zeszliśmy ze statku pełni entuzjazmu. Przepętniała nas radość i podniecenie. Trzeba było stanąć w kolejce. Ale dla nas nie miało to większego znaczenia. Staliśmy w niekończącym się szeregu ludzi. Przechodziliśmy przez kolejne etapy, przez dziwne procedury, których nie

rozumieliśmy. Wszystko to działo się powoli. Kierowano nas do jednego biurka, potem do następnego. Trzymaliśmy się razem, żeby się nie zgubić. Mijały godziny, ale tłum wcale się nie zmniejszał. Wszyscy dreptali w miejscu. Domenico stał na czele. W pewnej chwili oznajmił nam, że przejdziemy obok lekarzy i że trzeba wyciągnąć język, kilka razy głęboko odetchnąć i śmiało rozpiąć koszulę, jeśli nas poproszą. Trzeba się temu wszystkiemu poddać, ale to bez znaczenia. Byliśmy gotowi czekać nawet całymi dniami Ten kraj był tuż. Na wyciągnięcie ręki.

Gdy przechodziłam koło lekarza, zatrzymał mnie. Spojrzał mi prosto w oczy i bez słowa nakreślił kredą krzyż na mojej dłoni. Chciałam spytać dlaczego, ale ktoś dał mi znak, by przejść do innej sali. Drugi lekarz osłuchiwał mnie. Trwało to dłużej. Zadawał mi pytania, ale nie rozumiałam i nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Byłam dzieckiem, don Salvatore, dzieckiem i przed tymi obcymi, którzy pochylali się nade mną jak nad żywym inwentarzem, drżały mi kolana. Nieco później odnaleźli mnie bracia. Musieli utorować sobie drogę łokciami by dostać się aż tutaj.

Dopiero gdy przyszedł tłumacz, pojeśliśmy, o co chodzi. Miałam infekcję. Istotnie, na statku przez wiele dni leżałam chora. Gorączka, biegunka, zaczerwienione oczy, ale myślałam, że to przejdzie. Byłam dzieckiem, które zmierzało do Nowego Jorku, i wydawało mi się, że żadna choroba mnie nie zmoże. Mężczyzna mówił długo i rozumiałam tylko, że moja podróż kończy się już tutaj. Ziemia rozstąpiła mi się pod stopami. Zostałam odrzucona, don Salvatore. To był koniec. Było mi wstyd i spuściłam głowę, by nie napotkać spojrzenia mych braci. Stali obok, milcząc. Patrzyłam na długą kolejkę emigrantów, którzy wciąż przesuwali się przed nami, i myślałam tylko o jednym: „Wszyscy przechodzą, nawet ta wątła kobieta, tam, w głębi, nawet ten starzec, któremu zostały może dwa miesiące życia, wszyscy, tylko nie ja, dlaczego?”

Tłumacz znów zaczął mówić: „Musisz wrócić... statek będzie za darmo... nie ma problemu... za darmo...” w kółko powtarzał to słowo. Wówczas Giuseppe zaproponował Domenicowi, by dalej poszedł sam. „Mimi, ty przechodzisz. Ja zostanę z Miuccią”.

Nie odzywałam się. Tu chodziło o całe nasze życie. W tej rozmowie na progu, między dwiema salami. O nasze życie na lata, ale milczałam. Nie mogłam wymówić słowa. Opadłam z sił. Odczuwałam tylko wstyd. Wielki wstyd. Mogłam jedynie słuchać i zdać się na braci. Tu ważyły się nasze losy. I to z mojej winy. Wszystko zależało od tego, co oni zdecydują. Giuseppe

powtórzył: „To najlepsze wyjście, Mimi. Ty przejdziesz, dasz sobie radę sam. Ja zostaję z Miuccią. Wracamy do kraju. Spróbujemy później...”

Płynął czas. Proszę mi wierzyć, don Salvatore, w tę jedną minutę postarzałam się o całe lata. Byłam w stanie zawieszenia. Czekałam w napięciu, aż los położy na szali nasze trzy istnienia i zdecyduje, co mu się spodoba. Potem odezwał się Domenico: „Nie. Przy płynęliśmy razem i odpłyniemy razem”. Giuseppe próbował nalegać, lecz Domenico przerwał mu. Już podjął decyzję. Zagryzł wargi i wykonał ręką krótki gest, którego nigdy nie zapomnę: „Albo cała trójka, albo nikt. Nie chcą nas tutaj. Niech się dadzą wypchać”.

IV

Tytoń milczków

Ekshumacja Niemowy i jej powtórny pogrzeb wywołały w Montepuccio istne trzęsienie ziemi. Pojawił się oto pagórek świeżo wykopanej ziemi za cmentarzem, którego nie dało się nie zauważyć i który był haniebną skazą na obliczu miasta. Mieszkańcy Montepuccio bali się, że rzecz może się wydać. Że plotka się rozniesie i cała okolica zacznie wytykać ich palcami. Obawiali się, że ludzie zaczną gadać, iż w Montepuccio źle chowają umarłych. Że w Montepuccio cmentarną ziemię uprawia się jak pola. Ten dziki grób, na uboczu, był jak wyrzut sumienia. Don Carlo nie mógł się uspokoić. Wciąż miotał obelgi. Mówił o profanacji grobu. Jego zdaniem, Scortowie przebrali miarę. Kopanie na cmentarzu i wyciąganie ciała z jego miejsca spoczynku, to czyn bezbożny. Nie mógł uwierzyć, że tacy barbarzyńcy mogą żyć w Italii.

Którejś nocy nie wytrzymał i poszedł wyrwać drewniany krzyż, który Scortowie wbili w kopiec ziemi, i z wściekłością go połamał. Przez kilka dni grób pozostał w takim stanie. Później krzyż znów się pojawił. Proboszcz ruszył na drugą karną ekspedycję, ale za każdym razem, gdy wrywał krzyż, pojawiał się nowy. Don Carlo sądził, że walczy ze Scortami, ale się mylił. Brał się za bary z całą wioską. Każdego dnia anonimowe ręce stawiały drewniany krzyż na tym nędznym grobie, bez tabliczki i marmurów. Po kilku tygodniach zabawy w chowanego delegacja wieśniaków ruszyła do don Carla, chcąc nakłonić go do zmiany decyzji. Proszono, by odprawił mszę i zgodził się pochować Niemowę na cmentarzu. Proponowano nawet, by uniknąć ponownego wykopywania nieszczęsnej kobiety, zburzyć mur cmentarza i przesunąć go trochę dalej, tak by objął wyklętą. Don Carlo nie chciał o niczym słyszeć. Pogarda, jaką darzył mieszkańców wioski, tylko się nasiliła. Był coraz bardziej porywczy, coraz łatwiej wpadał w gniew.

Od tej chwili całe Montepuccio znenawidziło księdza Bozzoniego. Wieśniacy przysięgali jeden przez drugiego, że ich stopa nie postanie w kościele tak długo, jak będzie w nim odprawiał ten „dureń z Północy”. Scortowie przyszli upomnieć się o to, na co czekała cała wioska. Gdy dowiedzieli się o śmierci Niemowy, nie mieli wątpliwości, że pogrzeb będzie tak okazały, jak po śmierci Rocca. Decyzja don Carla wzburzyła ich. Za kogo uważa się ten

proboszcz, który choć nie pochodzi z tych stron, zmienia ich niewzruszone prawa? Decyzję „nowego” (jak o don Carlu mówiły kobiety na targu) odebrano jako bezczeszczenie pamięci ukochanego don Giorgia. A tego nikt nie był w stanie wybaczyć. „Nowy” lekceważył obyczaje. Przyszedł nie wiadomo skąd i narzuca swe prawa. Scortów znieważono. A za ich pośrednictwem dotknięto całą wioskę. Takich pogrzebów nikt tu nie oglądał. Ten człowiek, co z tego, że proboszcz, nie szanował niczego i Montepuccio go nie chciało. Był także inny powód tej dzikiej wendety. Strach. Terror, jaki siał tutaj Rocco Scorta Mascalone, który na zawsze wrył się w pamięć. Chowając tak kobietę, która była jego żoną, don Carlo narażał całą wioskę na jego gniew. Wszyscy pamiętali zbrodnie, jakie popełnił za życia, i drżeli na myśl o tym, do czego jest zdolny po śmierci. Bez wątpienia coś złego stanie się w Montepuccio. Trzęsienie ziemi. Albo straszliwa susza. Tchnienie Rocca Scorty Mascalone czuć już było w powietrzu. Już tu był, w powiewie wieczoru.

Kontakty, jakie mieszkańcy Montepuccio utrzymywali ze Scortami, były nierozdzieloną mieszanką pogardy, dumy i bojaźni. Na co dzień wioska nie przyznawała się do Carmeli, Domenica i Giuseppe. Była to tylko trójka głodomorów, dzieci rozbójnika. Ale gdy ktoś chciał tknąć włos z ich głowy albo powiedzieć coś złego o Rocco Bandycie, całą wioskę ogarniało coś w rodzaju instynktu macierzyńskiego i wszyscy bronili ich, jak wilczyca broni swego miotu. „Rodzina Scortów to hultaje, ale pochodzą stąd” – oto co myślała większość mieszkańców Montepuccio. W dodatku byli w Nowym Jorku. Co otaczało ich niemal nimbem świętości i w oczach większości tutejszych czyniło nietykalnymi.

Już po paru dniach kościół stał pusty. Nikt nie przychodził na mszę. Na ulicy nie pozdrawiano don Carla. Nadano mu nowy przydomek, który oznaczał dla niego wyrok śmierci: „mediolańczyk”. Montepuccio pogrążyło się w pogaństwie przodków. W cieniu kościoła odprawiano dziwne obrzędy. Ludzie szli na wzgórze tańczyć tarantelę. Rybacy czcili bożka z rybią głową, coś między świętym patronem i duchem wód. Zimą, w zaciszu domów, staruszki przywoływały duchy zmarłych. Wielokrotnie próbowano z wioskowych głupków wypędzić diabła. Przed drzwiami niektórych domostw znajdowano martwe zwierzęta. Szerzył się bunt.

Minęło kilka miesięcy, aż któregoś dnia, przed południem, Montepuccio ogarnęło niezwykle poruszenie. Po wsi krążyła dziwna wieść i wszystkim rzedły miny. Ludzie ścisiali głos. Stare kobiety żegnały się. Coś stało się tego ranka i wszyscy mówili tylko o tym. Ksiądz Bozzoni umarł. Lecz nie to było najgorsze: umarł w dziwaczny sposób, tak, że wstyd nie pozwalał o tym opowiadać. Przez długie godziny nikt nie wiedział nic więcej. Później, w miarę jak przybywało dnia i słońce nagrzewało fasady, wszystko stało się jasne. Don Carla znaleziono na wzgórzach, o dzień marszu od Montepuccio, nagiego jak go Pan Bóg stworzył, z językiem wywieszonym jak u wołu. Jak to możliwe? Czego don Carlo tam szukał, sam, pośród wzgórz, tak daleko od swojej parafii? Wszystkie te pytania po wielokroć stawiali sobie ludzie, mężczyźni i kobiety, pijąc niedzielną kawę. Lecz było coś jeszcze dziwniejszego. Około jedenastej gruchnęła wieść, że ciało ojca Bozzoniego było spalone przez słońce. Całe, nawet twarz, choć leżał na brzuchu, gdy znaleziono zwłoki. Jedno było jasne: był nagi, zanim umarł. Musiał tak iść, w słońcu, godzinami, aż skórę pokryły bąble, stopy zaczęły krwawić, wreszcie zmarł z wycieńczenia i braku wody. Pozostawała jeszcze główna zagadka: dlaczego poszedł sam na wzgórze w czas największego upału? To pytanie ożywiało dyskusje w Montepuccio jeszcze przez wiele lat. Lecz tego dnia, żeby coś jednak ustalić, choćby prowizorycznie, zgodzono się, że z samotności oszalał i że musiał wstać rano, w malignie, chcąc za wszelką cenę opuścić znieawidzoną wioskę. Słońce go pokonało. I ta groteskowa śmierć, nieprzyzwoita nagość przedstawiciela Kościoła pogłębiła tylko przeczucia wieśniaków: zdecydowanie, ten don Carlo był nic niewart.

Na wieść o tym wypadku Raffaele aż pobladł. Kazał sobie powtarzać wiadomość i nie opuszczał rynku, na którym rozmowy krążyły w nieskończoność niczym wiatr w uliczkach. Musiał wiedzieć więcej, znać szczegóły, mieć pewność, że to wszystko prawda. Wydawał się przybity nowiną, co zdumiewało ludzi, którzy go znali. Był Scorta. Powinien ucieszyć się z tego odejścia. Raffaele długo siedział na tarasie kawiarni i nie potrafił odejść. Wreszcie, gdy wszystko było już oczywiste, gdy nie miał już żadnych wątpliwości, że proboszcz naprawdę nie żyje, splunął na ziemię i szepnął: „Ta kanalia znalazła sposób, żeby mnie także zgubić”.

Dzień wcześniej dwaj mężczyźni mijali się na górskiej ścieżce. Raffaele wracał z nad morza, a don Carlo wyszedł na samotny spacer. Przemierzanie okolicznych ścieżek było teraz jego jedyną rozrywką. Kwarantanna narzucona przez wioskę początkowo budziła w nim wściekłość, potem, z upływem tygodni, skazała go na wielką samotność. Miał mętlik w głowie. Ta izolacja zbijała go z tropu. Tracił grunt pod nogami. Przebywanie w wiosce stawało się dla niego prawdziwą udręką. Jedynie owe przechadzki dawały chwilę wytchnienia.

To Raffaele zaczął rozmowę. Wierzył, że nadarzy się okazja do ostatecznych negocjacji.

– Don Carlo, ksiądz nas obraził – powiedział. – Przyszedł czas zmienić tę decyzję.

– O, bando degeneratów – wrzasnął w odpowiedzi proboszcz. – Pan was widzi i nie omieszka pokarać.

Raffaela ogarnęła wściekłość, ale powstrzymał gniew i ciągnął dalej.

– Ksiądz nas nie cierpi. Trudno. Ale karze kobietę, która nie ma z tym nic wspólnego. Niemowa ma prawo do cmentarnej ziemi.

– Była w niej, zanim ją odkopaliście. Ma to, na co zasłużyła, ta grzesznica urodziła bandę bezbożników.

Raffaele zbladł. Zdawało mu się, że same wzgórza każą odpowiedzieć na tę zniewagę.

– Ojcie Bozzoni, nie jest ksiądz godzien nosić tego stroju. Słyszysz mnie ksiądz? Ojciec jest zwykłym szczurem pod sutanną. Proszę ją oddać, niech ją ksiądz ściąga, bo zmasakruję. Rzucił się na proboszcza, zajadle jak pies. Chwycił go za kołnierz i wściekłym gestem rozerwał sutannę. Proboszcz nie wiedział, co się z nim dzieje. z niemej wściekłości aż się dławił. Raffaele nie ustępował. Wrzeszczał jak opętany: „Do naga, ścierwo, do naga!” i z wszystkich sił zdierał sutannę z proboszcza, okładając go pięściami.

Uspokoił się dopiero wtedy, gdy zdołał całkiem rozebrać ojca Bozzoniego. Don Carlo skapitulował. Płakał jak dziecko, zakrywając pierś pulchnymi dłońmi. Mamrotał modlitwy, jakby spotkał hordę heretyków. Raffaela radowała ta okrutna zemsta. „Tak teraz ksiądz ma chodzić: nago jak go Pan Bóg stworzył. Nie ma ksiądz prawa nosić tej sukienki. Jeśli w niej księdza zobaczę, zabiję, słyszysz ksiądz?”

Don Carlo nie odpowiedział. Oddalił się z płaczem i zniknął. Już nigdy nie powrócił. Po tej scenie był ostatecznie rozbity. Wałęsał się po wzgórzach niczym zgubione dziecko. Nie zważając na zmęczenie i słońce. Włóczył się długo, nim padł bez sił na ziemię Południa, której tak nienawidził.

Raffaele długo stał w miejscu, gdzie poniewierał księdza. Bez ruchu, czekając, aż złość opadnie, aż dojdzie do siebie i będzie mógł wrócić do wioski, nie pokazując po sobie niczego. U jego stóp leżała podarta sutanna. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Mrużył oczy w promieniach słońca. Coś błysnęło w świetle. Schylił się instynktownie i podniósł z ziemi złoty zegarek. Gdyby w tym momencie zdecydował się odejść, pewnie wyrzuciłby zegarek trochę dalej, z odrazą, ale nie ruszał się z miejsca. Czuł, że to jeszcze nie koniec. Schylił się znowu i powoli, ostrożnie podniósł porwaną sutannę i przeszukał kieszenie. Opróżnił portfel don Bozzoniego i rzucił go na ścieżkę, spadł na ziemię otwarty jak wypatroszone ścierwo. Ścisnął w dłoni plik banknotów i złoty zegarek, a na jego twarzy pojawił się przebiegły, szalony grymas.

„Ta kanalia znalazła sposób, by mnie zgubić”. Raffaele zdał sobie wreszcie sprawę, że to owa kłótnia była powodem śmierci i choć powtarzał sobie, że nikogo nie zabił, czuł dobrze, że już na zawsze zaciążył to na jego sumieniu. Znowu zobaczył nagiego proboszcza, który, płacząc jak dziecko, oddał się ku wzgórzom, niczym nieszczęsny banita. Jestem potępiony – powtarzał. – Zgubiony przez wstrętnego typa, który niewart był nawet splunięcia”.

W południe ciało ojca Bozzoniego przywieziono do Montepuccio na grzbiecie osła. Ktoś okrył trupa prześcieradłem. Nie po to, by osłonić ciało przed muchami, ile by mieć pewność, że ciało proboszcza nie będzie zgorszeniem dla kobiet i dzieci. Gdy ciało znalazło się już w Montepuccio, wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Właściciel osła – mrukliwy chłop – złożył ciało przed kościołem, po czym oświadczył wszem wobec, że zrobił, co do niego należało, i wraca na pole. Ciało leżało pod prześcieradłem zabrudzonym ziemią. Wszyscy się przyglądali. Bez słowa. Mieszkańcy Montepuccio byli pamiętliwi. Nikt nie chciał go pochować. Nikt nie chciał brać udziału w ceremonii ani nieść jego trumny. Zresztą, kto miałby odprawić mszę? Proboszcz z San Giocondo wyjechał do Bari. Nim wróci, ciało don Carla się rozłoży. Po pewnym czasie, gdy żar słońca stawał się nieznośny, wszyscy musieli dojść do wniosku, że jeśli zostawią tu ciało mediolańczyka, wkrótce zacznie cuchnąć jak ścierwo. Byłaby to zbyt piękna okazja do zemsty. Zatruc powietrze Montepuccio. Kto wie, może sprowadzić choroby. Nie, trzeba go było pochować. Nie dla przyzwoitości czy z miłosierdzia, ale by mieć pewność, że już nie będzie szkodził. Wszyscy byli zgodni, że należy wykopać dół za cmentarzem. Za murem. Wylosowano czterech mężczyzn. Wrzucili go do grobu bez żadnych sakramentów. W ciszy. Don Carla pochowano jak bezbożnika, bez modlitw, które mogłyby złagodzić ukąszenie słońca.

Ta śmierć była dla mieszkańców Montepuccio ważnym wydarzeniem, ale reszta świata najwyraźniej wcale się tym nie przejęła. Po odejściu don Carla episkopat znowu zapomniał o wiosce. Tutejszym to odpowiadało. Przywykli. Mruczeli nawet pod nosem, szeptali między sobą, przechodząc obok zamkniętego kościoła: „Lepiej żaden niż jakiś nowy Bozzoni”, z obawą, że

wskutek boskiego zrzędzenia mogą im znów przydzielić proboszcza z Północy, który potraktuje ich jak hołotę, wykpi obyczaję i będzie odmawiał chrzczenia dzieci.

Zdawało się, że niebo ich słucha. Nikt się nie pojawiał, a Kościół stał zamknięty na głucho i przypominał pałac rodu, który wymarł, zostawiając po sobie wspomnienie świetności i zapach starych, wyschniętych kamieni.

Rodzina Scortów nadal wiodła nędzne życie w Montepuccio. Mieszkali wszyscy razem, cisnąc się we czwórkę w jedynej izbie domu Raffaela. Każde z nich znalazło sobie jakieś zajęcie i zarabiała na jedzenie – nie więcej. Raffaele był rybakiem. Nie miał własnej łodzi, ale rano, w porcie, ten czy ów zabierał go na cały dzień – za część połowu. Domenico i Giuseppe wynajmowali się do pracy w wiejskich posiadłościach. Zbierali pomidory czy oliwki. Rąbali drewno. Przez całe upalne dni pochylali się nad ziemią, która nie rodzi niczego. Carmela zaś gotowała dla nich trzech, prała. Haftowała dla ludzi z wioski.

Nie tykali tego, co nazywali „pieniędzmi z Nowego Jorku”. Przez dłuższy czas uważali, że te pieniądze należy odłożyć na zakup domu. Na razie trzeba było zaciskać pasa i czekać, lecz kiedyś nadarzy się okazja i coś kupią. Mogli kupić całkiem przyzwoity dom, tak w owym czasie w Montepuccio kamień nie miał wartości. Oliwa była cenniejsza niż kamienisty grunt

Jednak pewnego wieczoru Carmela podniosła głowę znad talerza zupy i oświadczyła:

– Musimy zrobić inaczej.

– Co takiego? – zapytał Giuseppe.

– Pieniądze z Nowego Jorku – wyjaśniła. – Trzeba je spożytkować inaczej.

– To śmieszne – powiedział Domenico. – Gdzie będziemy mieszkać?

– A jeśli kupimy dom, dalej będziecie w każdy boży dzień harować jak woły, żeby zarobić na chleb – sprzeciwiła się Carmela, która całymi godzinami myślała tylko o tym. – Nie ma co liczyć na więcej. Będą mijały lata. Nie. Mamy pieniądze, musimy kupić coś innego.

– Niby co? – zaniepokoił się Domenico.

– Jeszcze nie wiem. Ale coś wymyślę.

Wywód Carmeli wprowadził trzech braci w zakłopotanie. Miała rację. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Kupić dom i co dalej? Gdyby przynajmniej mieli za co kupić cztery domy, ale tak nie było. Trzeba było znaleźć inne wyjście.

– Jutro jest niedziela – ciągnęła Carmela. – Zabierzcie mnie ze sobą. Chcę się rozejrzeć, zobaczyć, co mężczyźni robią w wiosce przez cały dzień. Przyjrę się. I coś wymyślę.

Chłopcy znów nie wiedzieli, co odpowiedzieć. W Montepuccio kobiety nie wychodziły z domów, co najwyżej w pewne ściśle określone pory dnia. Wczesnym rankiem na targ. Na mszę

– choć od śmierci don Carla ta okazja do wyjścia przestała istnieć. Podczas zbioru oliwek, w czasie żniw, z okazji świąt patronów wioski. Resztę czasu spędzały w domu, uwięzione jak w klasztorze za grubymi murami, kryjąc się przed słońcem i męską pożądlivością. To, co proponowała Carmela, było sprzeczne z regułami życia wioski, ale od powrotu z Ameryki bracia Scorta ufali instynktowi małej siostrzyczki.

– Zgoda – rzekł Domenico.

Nazajutrz Carmela włożyła swą najładniejszą sukienkę i wyszła w towarzystwie trzech braci. Poszli do kawiarni, gdzie – jak co niedziela – wypili po filiżance mocnej kawy, która skręcała jelita i po której kołatało serce. Później siedli przy stole na tarasie i grali w karty. Carmela siedziała na uboczu. Wyprostowana na krześle. Patrzyła na przechodniów. Obserwowała życie wioski. Potem złożyli wizytę paru zaprzyjaźnionym rybakom. Wieczorem był czas na *passeggiata*, przechadzkę po korso Garibaldi, chodzili w tę i z powrotem ulicą, pozdrawiając znajomych i wypytując o nowiny. Po raz pierwszy w życiu Carmela spędziła cały dzień na ulicach, w świecie mężczyzn, którzy patrzyli na nią ze zdumieniem. Słyszała za plecami ich uwagi. Ludzie dziwili się jej obecności. Komentowali strój. Ale drwiła sobie z tego, skupiona na swojej misji. Po powrocie do domu z ulgą ściągnęła buty. Stopy ją bolały. Domenico stanął przed siostrą i patrzył na nią w milczeniu.

– No i co? – spytał w końcu.

Giuseppe i Raffaele podnieśli głowy i zamilkli, by nie uronić nic z jej odpowiedzi.

– Papierosy – odpowiedziała spokojnie.

– Papierosy?

– Trzeba otworzyć w Montepuccio sklep z tytoniem.

Twarz Domenica rozjaśniła się. Sklep z tytoniem. Jasne. Tego nie było w Montepuccio. Papierosy sprzedawał piekarz. Można je było kupić i na targu, ale prawdziwy sklep z tytoniem, nie, to prawda, w Montepuccio nie było nic takiego. Carmela przez cały dzień obserwowała życie mężczyzn i jedyną rzeczą, która łączyła rybaków ze starej wioski i mieszkańców okolic korso, było to, że wszyscy mężczyźni zachłannie zaciągali się papierosami. Siadając w cieniu po obiedzie, czy w pełnym słońcu, przy pracy, wszyscy palili. Tu było coś do zrobienia. Trafika. Tak. Na korso. Carmela była pewna. Trafika to strzał w dziesiątkę. Stale będzie tłok.

Rodzina Scortów postanowiła dokonać zakupu. Nabyli lokal przy korso Garibaldi. Wielką pustą izbę o powierzchni trzydziestu metrów kwadratowych, na parterze. Kupili też piwnicę, żeby z niej zrobić skład. I na tym koniec. Wieczorem w dniu, w którym kupili lokal, Carmela siadła milcząca, z zasepioną twarzą.

– Co ci jest? – zapytał Domenico.

– Nie mamy już ani grosza na koncesję – odpowiedziała Carmela.

– Ile potrzeba? – spytał Giuseppe.

– Koncesja kosztuje grosze, ale trzeba pieniędzy dla dyrektora biura, które ją wydaje.

Będą potrzebne prezenty. Co tydzień. Aż ją dostaniemy. Nie mamy dość pieniędzy.

Domenico i Giuseppe byli skonsternowani. Pojawiała się nowa przeszkoda, której nie przewidzieli, i nie mieli pojęcia, jak ją pokonać. Raffaele popatrzył na całą trójkę i powiedział cicho:

– Ja mam pieniądze. I dam je wam. Chcę tylko jednego. Nie pytajcie, skąd pochodzą. Ani od kiedy są w moim posiadaniu. Ani dlaczego nigdy o nich nie mówiłem. Pieniądze są. Tylko to się liczy.

I położył na stole plik zmiętych banknotów. Były to pieniądze ojca Bozzoniego. Raffaele sprzedał zegarek. Aż do tego dnia stale nosił te pieniądze przy sobie, nie wiedząc, co z nimi począć, nie ośmielając się ich wyrzucić ani wydać. Scortowie byli szczęśliwi, lecz nawet wtedy nie poczuł ulgi. Szalona postać Bozzoniego wciąż tańczyła w jego głowie, a żołądek skręcały wyrzuty sumienia.

Dzięki pieniądzom Raffaela rozpoczęli starania o koncesję. Przez sześć miesięcy, regularnie co dwa tygodnie, Domenico opuszczał Montepuccio i na grzbiecie osiołka jechał do San Giocondo. Było tam biuro Monopolo di Stato³. Woził dyrektorowi szynkę, caciocavalli⁴, parę butelek limoncello⁵. Niestrudzenie jeździł w tę i z powrotem. Wszystkie pieniądze szły na zakup tych wiktuałów. Po sześciu miesiącach pozwolenie zostało wydane. Rodzina Scortów miała w końcu swą koncesję. Nie mieli nic więcej. Żadnych oszczędności. Tylko ściany pustej izby i świstek papieru, który pozwalał im rozpocząć pracę. Nie było nawet za co kupić tytoniu.

Pierwsze paczki papierosów wzięli na kredyt. Domenico i Giuseppe pojechali po nie do San Giocondo. Załadowali wszystko na osła i w drodze powrotnej wydało im się, że w ich życiu wreszcie coś się zaczyna. Do tej pory znosili tylko przeciwności. Wszystko ktoś im narzucał. Po raz pierwszy będą walczyć o swoje i na myśl o tym uśmiechali się błogo.

Ułożyli paczki papierosów na tekturowych pudłach. Pakowali je w kartony. Było tu jak w lokalu przemytników. Ani lady, ani kasy. Tylko towar, wszędzie na podłodze. Jedyne drewniany szyld, który zawiesili nad drzwiami i który głośił dumnie: *Tabaccheria Scorta Mascalone Rivendita n° 1*⁶, pozwalał się domyślić, że ten lokal to legalna trafika. Pierwszy sklep z tytoniem w Montepuccio rozpoczął działanie. Ich własny. Odtąd oddadzą się mu ciałem i duszą, będą w pocie czoła zarabiać na chleb, zginać plecy i padać ze zmęczenia. Życie pozbawione snu. Los Scortów zostanie złączony ze skrzyniami pełnymi papierosów, które trzeba będzie ściągać z grzbietu osła o świcie, nim chłopcy wyruszą na pola, a rybacy powrócą z morza. Zwiążą swoje życie z małymi papierowymi tutkami, które w ciepłe letnie wieczory mężczyźni ściskają w palcach, a one na wietrze robią się coraz mniejsze. Życie pełne potu i dymu. Które właśnie się zaczyna. Nareszcie pojawiła się okazja, by uciec od nędzy, na jaką skazał ich ojciec. *Tabaccheria Scorta Mascalone Rivendita n° 1*.

Zostaliśmy na Ellis Island dziewięć dni. Czekaliśmy na wyczarterowany statek, który miał zawieźć nas z powrotem. Dziewięć dni, don Salvatore, na granicy kraju, do którego nie mogliśmy wjechać. Dziewięć dni u bram raj. Właśnie wtedy po raz pierwszy wspomniałam tę chwilę, gdy mój ojciec wrócił do domu po nocnej spowiedzi, chwilę, gdy pogładził moje włosy. Jakbym poczuła znowu dłoń nagłowie. Tę samą. Dłoń mego ojca. Przeklętą rękę wiatru znad wzgórz Apulii. Ta ręka była wyzwaniem. Sucha dłoń nieszczęścia, która od niepamiętnych czasów skazuje pokolenia na grzebanie w ziemi, na zdychanie pod słońcem tego kraju, gdzie o drzewa oliwne troszczą się bardziej niż o ludzi.

Weszliśmy na statek, lecz nie miało to nic wspólnego z naszym zaokrętowaniem w Neapolu, pośród głośnych okrzyków tłumu. Tym razem zajęliśmy nasze miejsca w milczeniu, wolnym krokiem skazańców. Na pokład wchodziły męty. Chorzy z całej Europy. Najubożsi z ubogich. Był to statek smutku i rezygnacji. Statek pechowców, skazańców, którzy wracali do kraju przepętnieni wstydem, że im się nie udało. Tłumacz nie kłamał, podróż była darmowa. Tak czy owak, nikt nie miał za co kupić powrotnego biletu. Jeśli władze nie chciały, by ci nędzarze zostali na Ellis Island, nie miały innego wyjścia, jak tylko zorganizować im podróż. Rzecz jasna, nie było mowy o wyczarterowaniu statku do każdego kraju. Liniowiec odrzuconych przemierzył Atlantyk, a po przybyciu do Europy po kolei zawijał do głównych portów i niespiesznie pozbywał się ludzkiego ładunku.

Ta podróż, don Salvatore, ciągnęła się w nieskończoność. Na tym statku godziny dłużyły się jak w szpitalu, w wolnym rytmie kroplówki. Ludzie umierali w zbiorowych sypialniach. Konali, bo byli chorzy, rozczarowani, samotni. Tym ludziom, porzuconym przez wszystkich, trudno było znaleźć jakąś rację bytu, do której mogliby się przywiązać. Często szli w objęcia śmierci z nikłym uśmiechem na ustach, szczęśliwi w głębi duszy, że mogą wreszcie zakończyć to pasmo niepowodzeń, jakim było ich życie.

Dziwnym zrządzeniem losu odzyskałam siły. Gorączka opadła. Wkrótce mogłam przemieszczać się z pokładu na pokład. Pokonywałam schody, biegałam po korytarzach. Wszędzie było mnie pełno. Przechodziłam od jednej grupy ludzi do drugiej. Po paru dniach wszyscy mnie znali – bez względu na wiek czy język. Całe dni wyświadczałam tym ludziom przysługi. Cerowałam skarpetki. Przynosiłam wodę staremu Irlandczykowi. Gdy pewna Dunka chciała sprzedać srebrny medalik i kupić w zamian koc, to ja znalazłam nabywa. Znałam wszystkich po nazwisku, wszystkie przezwiska. Chorym wycierałam czoło z potu. Gotowałam starcom. Wołano na mnie „mała”. Wzięłam braci w rzy. Przy pięknej pogodzie kazałam im przenosić chorych na pokład. Nosili wodę. Byliśmy posłańcami, kupcami, pielęgniarzami, spowiednikami. I z dnia na dzień nasz los ulegał poprawie. Zarabialiśmy pieniądze, zyskiwali przywileje. Skąd brały się te pieniądze? Najczęściej od zmarłych. Ludzie umierali. Stało się zwyczajem, że ich skromny dobytek dzielono między wszystkich. Trudno byłoby postąpić inaczej. W większości przypadków ci nieszczęśnicy wracali do kraju, gdzie nikt na nich nie czekał. Zostawili bliskich w Ameryce lub tam, gdzie nie zamierzali już wracać. Czy mieliśmy odesłać parę drobnych monet ukrytych w łachmanach na adres, pod który nigdy nie dotrą. Łup dzielono na pokładzie. Członkowie załogi często obsługiwali się pierwsi. Potem wkraczaliśmy my. Trzeba było robić wszystko, by załoga dowiedziała się jak najpóźniej, by w mroku ładowni samemu dokonać podziału. Długie negocjacje. Gdy zmarły miał na pokładzie rodzinę, wszystko otrzymywali pozostający przy życiu, w przeciwnym razie – a tak zdarzało się najczęściej – staraliśmy się być sprawiedliwi. Nieraz całymi godzinami próbując dojść do porozumienia w sprawie spadku w postaci kilku bezwartościowych drobiazgów i pary butów. Nigdy nie zdarzyło mi się zajmować chorym i myśleć zarazem o jego rychłej śmierci, o korzyściach, jakie będę z tego miała. Przysięgam księdzu. Robiłam to, bo musiałam walczyć, a nie znalazłam innego środka.

Szczególnie długo opiekowałam się pewnym starym Polakiem i bardzo go polubiłam. Nigdy nie udało mi się wymówić w całości jego nazwiska, Korniewski czy Korzeniewski. Nazywałam go „Korni”. Był niski i zabiedzony. Musiał mieć jakieś siedemdziesiąt lat. Ciało z wolna odmawiało mu posłuszeństwa. Wszyscy odradzali mu tę podróż. Wyprawę w poszukiwaniu szczęścia. Mówili, że jest za stary. Zbyt słaby. Ale się uparł. Chciał zobaczyć ten kraj, o którym mówili wszyscy. Siły wkrótce zaczęły go opuszczać. Oczy wciąż mu się śmiały, ale

chudł z dnia na dzień. Czasem szeptał mi na ucho słowa, których nie rozumiałam, ale mnie śmieszyły, tak bardzo te dźwięki przypominały wszystko, prócz języka.

Korni. Właśnie on wyciągnął nas z nędzy, przekleństwa naszego życia. Zmarł, nim dotarliśmy do Anglii. W nocy, przy łagodnej fali. Gdy poczuł, że odchodzi, zawołał mnie do siebie i dał mi jakąś szmatkę zawiązaną sznurkiem. Wymówił zdanie, którego nie rozumiałam, potem kładąc znów głowę na postanie, z otwartymi oczami, zaczął się modlić po łacinie. Modliłam się wraz z nim, aż do chwili, gdy śmierć ukradła mu ostatni oddech.

W zawiniątku było osiem złotych monet i srebrny krzyżyk. To nas ocaliło.

Wkrótce po śmierci starego Korniego statek zawinął do pierwszego portu w Europie. Londyn, Hawr, potem ruszył na Morze Śródziemne, gdzie zakotwiczył w Barcelonie, w Marsylii i wreszcie w Neapolu. Na każdym z tych postojów statek pozbywał się obdartych pasażerów i zabierał towary. Korzystaliśmy z okazji, zajmując się handlem. Za każdym razem statek stał przez dwa lub trzy dni przy nabrzeżu, tak by zabrać ładunek i by załoga mogła wytrzeźwieć. Korzystaliśmy z tych cennych godzin, robiąc niewielkie zakupy. Herbata. Rondle. Tytoń. Wybieraliśmy rzeczy charakterystyczne dla kraju, by w następnym porcie wszystko sprzedać. Był to żaloszny handel w grę wchodziły śmieszne sumy, ale skwapliwie gromadziliśmy nasz mały skarb. I tak wróciliśmy do Neapolu bogatsi niż w chwili wyjazdu. Właśnie to się liczy, don Salvatore. Jestem z tego dumna. Wróciliśmy bogatsi. Odkryłam w sobie dar, żyłkę do interesów. Bracia nie mogli się nadziwić. Właśnie ten mały skarb, wydarty nędzy dzięki zaradności, sprawił, że nie zdechliśmy jak bydło w tłumnym Neapolu, już po naszym powrocie.

V

Bankiet

Zapadła noc. Carmela opuściła metalową roletę. Nie chciała, by jej przeszkadzano. „Na pewno ktoś jeszcze się zjawi – powtarzała w duchu. – Ale przy odrobinie szczęścia, gdy zobaczą, że roleta jest do połowy spuszczone, nie będą nalegać”. Tak czy owak, nawet jeśli będą ją wołać czy pukać do drzwi, była zdecydowana nie otwierać. Miała coś do zrobienia, chciała być sama. Stała za ladą i nerwowo wyciągnęła drewnianą kasetkę, która służyła jej za kasę. „Powinno się zgadzać” – myślała. Otworzyła pudełko i palce zanurzyły się w stos pomiętych banknotów. Próbowła je uporządkować, wygładzić, przeliczyć. Jej palce gorączkowo szperały w tej stercie papieru, jak palce biedaków. Była niespokojna. z przerażeniem czekała na werdykt. Czy jest dość? Zwykle robiła rachunki po powrocie do domu. Bez pośpiechu. Wiedziała z grubsza, czy dzień był dobry, czy nie, i wcale nie było jej śpieszno, by się o tym przekonać, licząc banknoty. Ale tym razem było inaczej. Tego wieczoru, w mrocznym wnętrzu sklepu, rzuciła się na kasetkę jak złodziej na swój łup.

„Pięćdziesiąt tysięcy lirów” – wyszeptała w końcu, gdy niewielki plik ułożonych luźno banknotów leżał na wyciągniętej ręce. Włożyła pieniądze do koperty, potem bilon z dna skrzynki wysypała do woreczka, w którym nosiła dzienny utarg.

Dopiero wtedy szybkim, nerwowym ruchem konspiratora zamknęła drzwi trafiki.

Nie wracała do domu. Skręciła w via dei Martiri i szła szybkim krokiem. Była za dziesięć pierwsza. Ulice były puste. Gdy dotarła na plac przed kościołem, stwierdziła z satysfakcją, że zjawiała się pierwsza. Nie usiadła na ławce. Zrobiła parę kroków, a po chwili jakiś mężczyzna zbliżył się do niej. Carmela poczuła się jak dziecko we mgle. Mężczyzna przywitał się uprzejmie, skinął głową. Czowała zdenerwowanie. Nie chciała tego przeciągać z obawy, że ktoś może ich zobaczyć o tej niestosownej porze i w miasteczku zaczną się plotki. Wyjęła przygotowaną kopertę i podała rozmówcy.

– Proszę, to dla pana, don Cardella. Zgodnie z umową.

Mężczyzna uśmiechnął się i wsunął kopertę do kieszeni lnianych spodni.

– Nie przeliczy pan? – zapytała zdziwiona. Znów się uśmiechnął – na znak, że to zbyt techniczna ostrożność, po czym pożegnał się i zniknął.

Carmela została sama. Na placu. Wszystko to trwało ledwie kilka sekund. I już było po wszystkim. To spotkanie prześladowało ją tygodniami, zbliżający się termin płatności, który

całymi nocami pozbawiał ją snu, właśnie nadszedł i w wieczornym wietrze, w odgłosach ulicy najwyraźniej nic się nie zdarzyło. A jednak, czuła to, jej los ulegnie zmianie.

Rodzina Scortów zapożyczyła się, żeby otworzyć trafikę. Od czasu rozpoczęcia całej tej przygody bez przerwy się zadłużali. To Carmela zajęła się finansami. Nie mówiąc nic braciom, wpadła w zakłęty krąg lichwy. W owym czasie udzielało się pożyczek na bardzo prostych zasadach. Zgadzano się co do sumy, procentu i daty zwrotu. W umówionym dniu trzeba było przynieść pieniądze. Nie było żadnych papierów ani umowy. Nie było świadków. Jedynie dane słowo i wiara w dobrą wolę i uczciwość rozmówcy. Biada temu, kto nie oddawał długów. Wojny rodzin były krwawe i nie miały końca.

Don Cardella był ostatnim wierzycielem Carmeli. Zwróciła się do niego wiele miesięcy wcześniej, by móc zwrócić pożyczkę zaciągniętą u właściciela kawiarni przy korso. Don Cardella był ostatnią deską ratunku. Wyciągnął ją z kłopotów, otrzymując w zamian sumę dwa razy większą niż ta, którą pożyczył, lecz to było regułą i Carmela nie miała tu nic do powiedzenia.

Patrzyła jak jej ostatni wierzyciel znika za rogiem ulicy i uśmiechnęła się. Mogłaby nawet krzyczeć z radości i tańczyć. Po raz pierwszy trafika należała do nich, po raz pierwszy naprawdę była ich własnością. Ryzyko komorniczego zajęcia oddalało się. Koniec długów na hipotece. Od tej pory będą pracowali na siebie. A każdy zarobiony lir będzie należał do Scortów. „Nie mamy długów”. Powtarzała to zdanie tyle razy, że zakręciło jej się w głowie. Poczowała się wolna, po raz pierwszy w życiu.

Myślała o braciach. Pracowali, nie oszczędzając się. Giuseppe i Domenico wykonali prace murarskie. Postawili ladę. Wymienili podłogę. Pobieliли wnętrze wapnem. z wolna, rok po roku, lokal nabierał kształtów i ożywał. Jak gdyby to zimne pomieszczenie o kamiennych ścianach karmiło się ludzkim potem. Im więcej pracowali, tym piękniejsza była trafika. Ludzie to wyczuwają. Czy w grę wchodzi sklep, pole czy też łódź rybacka, istnieje niejasna więź między człowiekiem a jego narzędziem pracy, mieszanina szacunku i nienawiści. Człowiek się o nie troszczy. Krząta wokół niego, wykonuje tysiące prac, a nocą klnie, na czym świat stoi. Ono zaś go wykańcza. Łamie. Kradnie niedziele i życie rodzinne, lecz za nic w świecie nikt nie chce go porzucić. Tak było i z trafiką Scortów. Przeklinali ją i wielbili zarazem, jak wielbi się to, co nas żywi, i przeklina, co zbyt wcześnie nas postarza.

Carmela myślała o braciach. Poświęcili cały swój czas i sen. I tego długu, dobrze to wiedziała, nigdy nie będzie w stanie oddać. Tego długu nic nie jest w stanie spłacić.

Nie będzie mogła nawet podzielić się z nimi swym szczęściem, bo należałoby wówczas powiedzieć o zaciągniętych długach, o podjętym ryzyku, a nie chciała tego robić. Ale spieszo jej było znów znaleźć się pośród nich. Mieli zobaczyć się nazajutrz, w niedzielę. Raffaele wystosował do wszystkich dziwne zaproszenie. Tydzień wcześniej zjawił się, by zaprosić rodzinę – kobiety, dzieci, wszystkich – w miejsce zwane Sanaore. Nie wyjawiał, co się za tym zaproszeniem kryje. Ale jutro, w niedzielę, mają się tam spotkać. Obiecywała sobie, że przy tej okazji zajmie się wszystkimi ze szczególną troską. Dla każdego będzie miała dobre słowo, czuły gest. Wszystkim okaże uczucie. Wszystkim, którzy poświęcili jej czas. Braciom. Bratowym. To oni sprawili, że trafika żyje.

Po powrocie do domu, nim otworzyła drzwi, by ujrzeć męża i dwóch synów, zajrzała do przylegającej do domu jaskini troglodytów, która służyła im za stajnię. W nagrzanym pomieszczeniu pozbawionym okien stał osioł, którego przywieźli jeszcze z Neapolu i z którym nigdy nie chcieli się rozstać. Nosił skrzynki tytoniu z San Giocondo do Montepuccio. Stare zwierzę miało niespożyte siły. Osioł doskonale przystosował się do nieba Apulii i do nowego życia. Do tego stopnia, że Scortowie nauczyli go palić. Dzielne zwierzę uwielbiało tę zabawę, a spektakl radował dzieci w całej okolicy, również w San Giocondo, gdzie na jego widok zaraz tworzyły orszak, krzycząc: *E arrivato l'asino fumatore! L'asino fumatore!*⁷ Osioł rzeczywiście palił. Lecz nie prawdziwy tytoń, któż by rzucał perły przed wieprze – a Scortom szkoda było każdego papierosa. Nie. Zrywali przy drodze długie wyschnięte trawy, zawijali w papier wiecheć grubości palca i podpalali. Osioł, idąc, wciągał dym, z całkowitą obojętnością wypuszczając go nozdrzami. Gdy wiązka się kurczyła i żar stawał się zbyt silny, wypluwał niedopałek zuchwale, co zawsze śmieszyło Scortów. z tego właśnie powodu ochrzcili osła imieniem „Muratti”, palący osioł z Montepuccio.

Carmela poklepała zwierzę po boku, szepcząc mu na ucho: „Dziękuję, Muratti. Dziękuję, *caro*. Ty także nie szczędziłeś dla nas potu”. Osioł zaś spokojnie poddawał się pieścizocie, jakby rozumiał, że Scortowie świętują dzień wyzwolenia i że odtąd praca nie będzie już napiętnowana nieznośnym ciężarem niewoli.

Kiedy Carmela weszła do domu i spojrzała na męża, od razu spostrzegła, że jest niezwykle poruszony. Przez chwilę myślała, że pewnie się dowiedział, iż bez pytania go o zgodę pożyczyła pieniądze od don Cardelli, ale nie o to chodziło. Jego oczy błyszczały jak oczy przejętego czymś dziecka, nie było w nich wyrzutu. Patrzyła na męża z uśmiechem i nim się odezwał, zrozumiała, że ma nowe plany i na myśl o nich ogarnia go euforia.

Jej mąż, Antonio Manuzio, był synem don Manuia, adwokata i rajcy. Notabla z Montepuccio. Człowieka bogatego. Który miał setki hektarów oliwek. Don Manuzio był jednym z tych, których posiadłości wielokrotnie plądrował Rocco Scorta Mascalone. W swoim czasie Scorta zabił wielu jego ludzi. Gdy don Manuzio dowiedział się, że jego syn chce poślubić córkę owego przestępcy, kazał mu wybierać między rodziną a tą „kurwą”. Powiedział *puttana*, co w jego ustach było równie szokujące jak plama sosu pomidorowego na białej koszuli. Antonio dokonał wyboru i poślubił Carmelę, zrywając w ten sposób ze swoją rodziną, wyrzekając się leniwego, próżniaczego trybu życia burżują. Poślubił Carmelę, która nie miała majątku. Nie miała niczego. Jedynie nazwisko.

– O co chodzi? – zagadnęła Carmela, by dać Antoniowi okazję opowiedzenia o tym, co już paliło mu wargi.

Twarz Antonia pojaśniała z wdzięczności i zawołał:

– Miuccia, przyszło mi coś do głowy – powiedział. – Myślałem o tym cały dzień. Właściwie myślę o tym od dawna, ale dziś jestem już pewien i powziąłem decyzję. Wpadłem na to, rozmyślając o twych braciach...

Oblicze Carmeli spochmurniało nieco. Nie lubiła, gdy Antonio zaczynał mówić o braciach. Wolałaby częściej słyszeć, jak mówi o ich synach, o Eliaszu i Donato, lecz nigdy tego nie robił.

– O co chodzi? – spytała znowu, z nutką znużenia w głosie.

– Trzeba prowadzić różnorodną działalność – odpowiedział Antonio.

Carmela nie odezwała się. Wiedziała, co mąż chce powiedzieć. Rzecz jasna, nie w detalach, czuła jednak, że będzie to jeden z tych pomysłów, które trudno jej będzie zaakceptować, i poczuła przygnębienie. Wyszła za mężczyznę, którego oczy co chwila rozpałały

coraz to nowe pomysły i który szedł przez życie jak lunatyk. To ją smuciło. I wpędzało w zły humor. Ale Antonio już zaczął i musiał wyjaśnić wszystko do końca.

– Trzeba urozmaicić działalność, Miuccia – ciągnął Antonio. – Popatrz na swoich braci. To oni mają rację. Domenico prowadzi bar. Peppe i Faelucc’ łowią ryby. Trzeba pomyśleć o czymś innym niż te przeklęte papierosy.

– Tytoń to odpowiednie zajęcie dla Scortów – odparła lakonicznie Carmela.

Jej trzech bracia ożenili się i wszyscy trzej od dnia ślubu wiedli nowe życie. Domenico w pewien piękny czerwcowy dzień 1934 roku poślubił Marię Faratellę, córkę zamożnych kupców. Nie było to małżeństwo z miłości, ale zapewniło mu wygody, których dotąd nie znał. z tego powodu żywił do Marii uczucie wdzięczności, które przypominało miłość. z Marią nie musiał obawiać się biedy. Rodzina Faratellich nie żyła w luksusach, ale posiadała – prócz wielu plantacji oliwek – bar przy corso Garibaldi. Od tej pory Domenico dzielił swój czas między trafikę i bar, pracując w zależności od dnia tam, gdzie najbardziej był potrzebny. Co do Raffaella i Giuseppe, poślubili córki rybaków i praca na morzu im także zabierała większą część czasu i sił. Cóż, bracia oddalili się od trafiki, ale takie jest życie, a fakt, że Antonio nazywa te losowe zmiany „urozmaiceniem działalności”, denerwował Carmelę. Wydawało jej się to nieprawdziwe, wręcz niestosowne.

– Trafika to krzyż pański – ciągnął Antonio, Carmela zaś milczała. – Albo się nim stanie, jeśli nie spróbujemy czegoś zmienić. Zrobiłaś wszystko, co trzeba, lepiej niż ktokolwiek, ale teraz należy pomyśleć o zmianach. Na papierosach można wprawdzie zarobić, ale nigdy nie osiągniesz tego, co się naprawdę liczy: władzy.

– Co proponujesz?

– Będę kandydował na burmistrza.

Carmela nie mogła powstrzymać śmiechu.

– A kto na ciebie zagłosuje? Nawet własna rodzina cię nie poprze. Domenico, Faelucc³ i Peppe. To wszystko. Możesz liczyć na te trzy głosy. Nie więcej.

– Wiem – powiedział Antonio, urażony jak dziecko, lecz świadomy prawdziwości tych słów. – Będę się musiał postarać. Przemyślałem to. Ciemnota z Montepuccio nie ma pojęcia o polityce i nie potrafi docenić wartościowych ludzi. Zdobędę ich szacunek. Dlatego muszę wyjechać.

– Dokąd to? – zapytała Carmela, zaskoczona determinacją u tego wiecznego chłopca, który był jej mężem.

– Do Hiszpanii – odpowiedział. – Duce potrzebuje dobrych Włochów. Gotowych poświęcić młodość, by zmiażdżyć czerwonych. Zostanę jednym z nich. A gdy wrócę obsypany medalami, przekonają się, że to ja powinienem zostać tu burmistrzem, możesz mi zaufać.

Carmela milczała przez chwilę. Nigdy nie słyszała o wojnie w Hiszpanii. Ani o planach Duce, dotyczących tej części świata. Coś jej jednak mówiło, że nie jest to miejsce dla żonatych mężczyzn. Jakieś głębokie, instynktowne przeczucie. Prawdziwa batalia Scortów rozgrywała się tutaj. W Montepuccio. Nie w Hiszpanii. Tego dnia 1936 roku, jak każdego innego dnia roku, potrzebowali całego rodu tutaj. Duce i jego hiszpańska wojna mogli poszukać sobie kogoś innego. Długo patrzyła na męża i powtórzyła tylko cicho:

– Tytoń to odpowiednie zajęcie dla Scortów.

Ale Antonio nie słuchał. A może raczej podjął już decyzję i jego oczy świeciły jak oczy dziecka, które marzy o dalekich krajach.

– Dla Scortów może tak – powiedział. – Ale ja jestem Manuzio. Ty także, od kiedy się z tobą ożeniłem.

Antonio Manuzio powziął postanowienie. Był pewien, że musi wyjechać do Hiszpanii. Bić się u boku faszystów. Chciał pogłębić swą polityczną edukację i przede wszystkim wyruszyć ku nowej przygodzie.

Jeszcze długo w nocy wyjaśniał, dlaczego podnieca go ta szczytna idea i jak to po powrocie z pewnością opromieni go aura bohatera. Carmela nie słuchała. Gdy wieczny chłopiec, jej mąż, wciąż opowiadał o faszystowskiej chwale, zasnęła.

Nazajutrz obudziła się zdjęta paniką. Miała tysiąc rzeczy do zrobienia na raz. Przebrać się. Ubrać dwójkę dzieci. Upiąć kok. Sprawdzić, czy biała koszula, którą wybrał Antonio, jest dobrze wyprasowana. Wypomadować włosy Eliasza i Donata, skropić ich perfumami, by byli piękni jak z obrazka. Nie zapomnieć wachlarza – bo dzień zapowiadał się gorący i wkrótce na pewno trudno będzie złapać oddech. Była tak podminowana, jakby chodziło o komunię synów czyjej własny ślub. Tyle było rzeczy do zrobienia. Niczego nie zapomnieć. Byle się tylko nie spóźnić. Chodziła po domu ze szczotką w ręku, trzymając spinkę w ustach, poszukując butów i przeklinając sukienkę, która jakby się zbiegła i nie dawała się dopiąć.

Wreszcie rodzina była gotowa. Można było wyjść z domu. Antonio po raz kolejny pytał, gdzie jest to spotkanie, a Carmela powtarzała „Sanacore”. „Gdzież on nas zabiera?” – niepokoił się Antonio. „Nie wiem – odpowiedziała. – To niespodzianka”. Ruszyli więc w drogę, schodząc z Montepuccio nad brzeg morza, by nadmorską drogą dojść do umówionego miejsca. Tu wdrapali się wąską, stromą ścieżką przemytników, która wiodła na skalisty taras wysoko nad morzem. Czekali tam przez chwilę, niezdeterminowani, nie wiedząc, dokąd iść, gdy dostrzegli drewnianą tabliczkę z napisem *Trabucco Scorta* i strzałką, która wskazywała schody. Schodzili bardzo długo, aż dotarli do wielkiej drewnianej platformy, która uciepiona klifu wisiała nad falami. Było to *trabucco*, jakimi usiane jest wybrzeże Apulii. Rybacka platforma, wyglądająca jak wielki szkielet z drewna. Zbieranina zbielejących od soli desek, które trzymają się skały, choć wydaje się, że ta konstrukcja nie jest w stanie przetrzymać żadnej burzy. A jednak ciągle tu jest. Od zawsze. z długim masztem unoszącym się wysoko nad wodą. Opierając się wiatrom i wściekłym atakom fal. Niegdyś służyły do łowienia ryb bez wypływania w morze. Lecz ludzie opuścili je i wyglądały teraz jak dziwaczne tratwy, zawieszane nad falą i trzeszczące w podmuchach wiatru. Wyglądają na sklecone byle jak. A jednak te chybotałe konstrukcje z desek są odporne na wszystko. Całą podłogę platformy zalega płatanina lin, korbek i bloczków. Kiedy pracują tu ludzie, wszystko aż trzeszczy, napinają się liny. *Trabucco* wciąga swe sieci powoli i dostojnie jak wychudły dryblas, który zanurzył dłonie w wodzie i wyciąga je teraz powoli, jakby unosił do góry skarby morza.

Trabucco należało do rodziny żony Raffaela. Scortowie wiedzieli o nim. Ale aż do dziś stało puste, nikt go nie używał. Płatanina desek i przeżartych masztów. Kilka miesięcy temu Raffaele postanowił wyremontować *trabucco*. Robił to wieczorami, po powrocie z połowu albo przy złej pogodzie. Więc nikt o tym nie wiedział. Zabrał się do roboty, a gdy ogrom prac go przerażał, myślał o niespodziance, jaką zrobi Domenicowi, Giuseppe i Carmeli, kiedy zobaczą to miejsce, odnowione i gotowe do użytku.

Scortowie nie mogli się nadziwić. Ta kupa desek nie tylko sprawiała wrażenie solidnej konstrukcji, ale Raffaele udekorował wszystko elegancko i ze smakiem. Niespodzianka była tym większa, gdy spostrzegli, że na samym środku platformy, pośród lin i sieci, króluje wielki stół nakryty białym, ręcznie haftowanym obrusem. z głębi *trabucco* dochodziła woń smażonej ryby i listka laurowego. Raffaele wychylił głowę z kąta, w którym zainstalował ruszt, i szczerząc zęby w uśmiechu, zawołał: „Siadajcie! Witajcie na *trabucco!*” Ucałowali się, a na każde zadawane pytanie odpowiadał ze śmiechem konspiracyjnym szeptem. „Kiedy postawiłeś ten piec?” „Skąd wytrzasnąłeś ten stół?” „Trzeba nam było powiedzieć, coś byśmy z sobą przynieśli...” Raffaele uśmiechał się i odpowiadał: „Siadajcie, niczym się nie przejmujcie, siadajcie”.

Carmela i jej rodzina zjawili się jako pierwsi, ale ledwie usiedli, a już z góry schodów rozległo się wołanie. Nadchodził Domenico z żoną i dwiema córkami, za nimi Giuseppe z żoną i małym Vittoriem. Byli już wszyscy. Całowali się. Kobiety prawily sobie komplementy, podziwiały nawzajem eleganckie suknie. Mężczyźni częstowali się papierosami i podnosili wysoko w górę swe bratanice, siostrzeńców, piszczących z radości w objęciach olbrzymów. Carmela przez jakiś czas siedziała na uboczu, kontemplując tę małą, znów zgromadzoną społeczność. Wszyscy, których kochała, byli tutaj. Opromienieni światłem niedzieli, kiedy to suknie kobiet muskają biel męskich koszul. Morze było spokojne i radosne. Uśmiechnęła się tajemniczo, uśmiechem, który wyraża ufność w życie. Spojrzenie ślizgało się po zebranych. Giuseppe i jego żona Mattea, córka prostego rybaka, która w swym prywatnym słowniku zastąpiła słowo „kobieta” przez „kurwa”; tak iż nie raz można było usłyszeć, jak na ulicy pozdrawia koleżankę donośnym *Ciao puttana!*, co wywoływało śmiech przechodniów. Łagodnym spojrzeniem Carmela objęła dzieci: Lucrezię i Nicolettę, dwie córki Domenica, wystrojone w piękne białe sukienki; Vittoria, syna Giuseppe i Mattei, któremu matka podawała pierś ze słowami: „Pij, głupku, pij, to wszystko dla ciebie”; i Michela, najmłodszego z rodu,

który wrzeszczał w pieluszkach i którego kobiety podawały sobie z rąk do rąk. Przyglądała się im, mówiąc sobie, że oni wszyscy mogą być szczęśliwi. Po prostu szczęśliwi.

Z zamyślenia wyrwał ją wrzask Raffaella: „Do stołu! Do stołu!” Wtedy wstała i robiła dokładnie to, co sobie obiecała. Zajmowała się rodziną. Śmiała się wraz z nimi. Całowała ich. Przytulała. Była z każdym po trochu, pełna wdzięku, szczęśliwa.

Było ich piętnaścioro przy stole i przyglądali się sobie, nagle zdziwieni, jak bardzo rozrosła się rodzina. Oczy Raffaella promieniały szczęściem. Tak bardzo marzył o tej chwili. Wszyscy, których kochał, tu byli, u niego, na jego *trabucco*. Chodził z kąta w kąt, od pieca do kuchni, od rybackich sieci do stołu, bez ustanku, by każdego obsłużyć, by nikomu niczego nie brakowało.

Ten dzień zostanie na zawsze wryty w pamięci Scottów. Gdyż po raz pierwszy wszyscy, dorośli i dzieci, mieli okazję jeść razem. Wujek Faelucc' zgotował im wielką ucztę. Jako przystawki Raffaele i Giuseppina wnieśli na stół dziesiątki najróżniejszych przysmaków. Były tam małże wielkości kciuka, faszerowane mieszaniną jajka, chleba i sera. Marynowane anchois o jędrnym mięsie, które rozpuszczały się na języku. Macki ośmiornicy. Sałata z pomidorów i cykorii. Kilka cienkich plasterów pieczonego na ruszcie bakłażana. Smażone anchois. Podawano sobie te smakołyki z jednego końca stołu na drugi. Każdy sięgał do talerzy, rad, że nie musi wybierać i że może spróbować wszystkiego.

Gdy talerze były puste, Raffaele wniósł na stół dwie ogromne parujące misy. W jednej był tradycyjny miejscowy makaron *troccoli* w atramencie mątwy. W drugim risotto z owocami morza. Pojawienie się dań przyjęto gromkim hurą, tak że kucharka aż się zaczerwieniła. W takiej chwili apetyt rośnie i wydaje się każdemu, że może jeść cały dzień, bez końca. Raffaele wystawił też na stół pięć butelek miejscowego wina. Czerwonego, cierpkiego, ciemnego jak krew Chrystusa. Upał sięgał zenitu. Biesiadników chroniła przed słońcem słomiana mata, lecz czuło się, że w tym palącym powietrzu nawet jaszczurki muszą się pocić.

Pośród szczęku naczyń rodziły się rozmowy – przerywane pytaniem dziecka czy przewróconym nagle kieliszkiem wina. Mówiło się o wszystkim i o niczym. Giuseppina opowiadała, jak zrobiła spaghetti i risotto. Jak gdyby jeszcze większą przyjemnością było mówienie o pożywieniu, w chwili kiedy się je. Dyskutowano. Śmiano się. Każdy czuwał nad swym sąsiadem, upewniając się, że jego talerz ani przez chwilę nie jest pusty.

Gdy opróżniono wielkie półmiski, wszyscy byli syci. Czuli pełne brzuchy. Odczuwali błogość. Ale Raffaele nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Przyniósł na stół pięć ogromnych naczyń pełnych najróżniejszych gatunków ryb, złowionych tego samego ranka. Morskie okonie, dorady. Pełna salaterka smażonych kalmarów. Wielkie różowe krewetki z rusztu. Nawet parę małych langust. Na widok naczyń kobiety zarzekały się, że tego nie tkną. Że to za dużo. Że umrą. Ale trzeba było uczcić Raffaela i Giuseppinę. I nie tylko ich. Również i samo życie, które ofiarowało im ten niezapomniany poczęstunek. Na Południu je się łączywie i żarłocznie. Ile się zmieści. Jakby najgorsze miało dopiero nadejść. Jak gdyby jadło się po raz ostatni. Gdy pożywienie jest na stole, trzeba jeść. To coś w rodzaju panicznego strachu. Jeśli się od tego rozchoruje, trudno. Trzeba jeść ochoczo i z przesadą.

Naczynia z rybami krążyły po stole i kosztowali wszystkiego z rozkoszą. Nie jedli już dla brzucha, lecz dla podniebienia. Ale mimo chęci, nie dało się zjeść wszystkich smażonych kalmarów. Przepęliło to Raffaela uczuciem nieskończonego zadowolenia. Trzeba, aby potrawy zostawały na stole, by uznać, że zaproszeni goście mieli wszystkiego pod dostatkiem. Pod koniec posiłku Raffaele obrócił się w stronę swego brata Giuseppe i zapytał, poklepując go po brzuchu: *Pancia piena?* i wszyscy śmiali się, luzując paski czy wyciągając wachlarze. Upał zelżał, lecz syte ciała zaczynały się pocić, znużone po jedzeniu, po wielkim przeżuwanium. Wówczas Raffaele zaczął nosić na stół kawę dla mężczyzn i postawił trzy butelki likierów: grappe, limoncello i alkohol z wawrzynu. Kiedy obsłużył wszystkich, powiedział:

– Jak wiadomo, w miasteczku wszyscy zwą nas „milczkami”. Powiadają, że jesteśmy dziećmi Niemowy i że usta służą nam tylko do jedzenia, nigdy do mówienia. Bardzo dobrze. Bądźmy z tego dumni. Jeśli w ten sposób możemy pozbyć się ciekawskich i rozżość kmiotków, możemy być „milczkami”. Ale milczmy wtedy, gdy jesteśmy z nimi, nie w swoim towarzystwie. Nie przeżyłem tak wiele, jak wy. Może umrę w Montepuccio i nigdy nie zobaczę niczego, prócz tych wyschniętych wzgórz. Ale jesteście tu ze mną. I wiecie dużo więcej niż ja. Musicie mi obiecać, że opowiecie o tym moim dzieciom. Opowiecie o tym, co widzieliście. By to, czego doświadczyliście w podróży do Nowego Jorku, nie odeszło wraz z wami. Obiecacie mi, że każdy przekaże coś moim dzieciom. Coś, czego się nauczył. Wspomnienie. Jakaś mądrość. Zróbmy tak. Przekażmy. z wuja na bratanka. z ciotki na siostrzenicę. Jakiś sekret, który chowaliście dla siebie i którego nie powierzycie nikomu innemu. Inaczej nasze dzieci będą jak wszyscy tu, w Montepuccio. Nie wiedząc nic o świecie. Znając jedynie ciszę i słoneczny żar.

Scortowie przytaknęli. Tak. Niech tak się stanie. Niech każdy porozmawia choć jeden raz w życiu, z siostrzeńcem lub bratanicą. Przekaze, co wie, nim odejdzie na zawsze. Choć jeden raz porozmawia. By dać drugiemu radę, by coś ważnego przekazać. Niech porozmawia. By różnić się od bydłęcia, które żyje i zdycha pod milczącym słońcem.

Posiłek był skończony. Cztery godziny po tym, jak zasiedli do stołu, mężczyźni rozparli się na krzesłach, dzieci poszły bawić się wśród lin, a kobiety zaczęły uprzątać ze stołu.

Czuli się wyczerpani, jakby stoczyli bitwę. Wyczerpani i szczęśliwi. Bo ta dzisiejsza batalia została wygrana. Cieszyli się życiem, wspólnie. Uciekli od trosk. Ten posiłek pozostanie w pamięci wszystkich jako bankiet Scortów. Ten jeden jedyny raz ród spotkał się w komplecie. Gdyby Scortowie mieli aparat fotograficzny, uwieczniliby to popołudnie. Byli tu wszyscy razem. Rodzice i dzieci. Rodzina sięgnęła swego apogeum. Nic nie powinno odtąd ulec zmianie.

A jednak wkrótce wszystko zwiędnie, ziemia popęka pod stopami, a pastelowe suknie kobiet zmienią się w brzydką czerń żałoby. Antonio Manuzio wyjedzie do Hiszpanii, by tam umrzeć, odnosząc ciężką ranę – bez chwały i bez fanfar – czyniąc Carmelę wdową, zostawiając ją z synami. To będzie pierwszy cień na rodzinnym szczęściu. Domenico, Giuseppe i Raffaele postanowią zostawić trafikę siostrze, która nie miała przecież nic innego i dwoje ust do wyżywienia. By Elias i Donato nie zaczęli od zera, by nie zaznali nędzy, jaka była udziałem wujów.

Nieszczęście dotknie tych mężczyzn i kobiety, ale na razie nikt o tym nie myślał. Antonio Manuzio nalewał sobie kolejny kieliszek grappy. Trwali w błogostanie pod dobrodusznym okiem Raffaella, któremu widok braci rozkoszujących się własnoręcznie przez niego smażonymi rybami wyciskał łzy radości.

Pod koniec posiłku mieli pełne brzuchy, tłuste palce, poplamione koszule i spocone czoła, lecz odczuwali błogość. z żalem opuszczali *trabucco*, by wrócić do codzienności.

Długo jeszcze gorący, silny aromat liści laurowych będzie dla nich synonimem szczęścia.

Rozumie ksiądz, dlaczego wczoraj zadrżałam, gdy zdałam sobie sprawę, że nie pamiętam nazwiska Korniego. Jeśli zdarzy mi się zapomnieć o tym człowieku, choćby przez chwilę, to tak jakbym traciła grunt pod nogami. Nie powiedziałam wszystkiego, don Salvatore. Ale proszę mi dać trochę czasu. Niech ksiądz zapali papierosa. Proszę sobie zapalić.

Po powrocie do Montepuccio kazałam braciom przysiąc, że nie powiedzą nikomu o nowojorskiej kłęsce. Wtajemniczyliśmy tylko Raffaela, wieczorem, gdy chowaliśmy Niemowę, bo tak nalegał, by opowiedzieć mu o naszej podróży, a nikt z nas nie chciał go okłamywać. Był jednym z nas. Przysiągł wraz z innymi. I wszyscy dotrzyмали słowa. Nie chciałam, by ktokolwiek się dowiedział. W Montepuccio miano wiedzieć tylko tyle, że popłynęliśmy do Nowego Jorku i zostaliśmy tam kilka miesięcy. By zarobić trochę pieniędzy. Tym, którzy pytali, dlaczego wróciliśmy tak szybko, odpowiadaliśmy, że nie mogliśmy zostawić tu matki samej. To wystarczało. Ludzie nie pytali o nic więcej. Nie chciałam, by wiedzieli że Scortów tam nie wpuszczono. Ważne, co o was mówią, historia, którą ludzie tworzą na wasz temat. Chciałam, by mówiono, że Scortowie byli w Nowym Jorku. Że nie jesteśmy rodziną degeneratów czy nędzarzy. Znam tutejszych ludzi. Zaczęliby powtarzać, że ciąży nad nami klątwa. Przypomnieliby sobie przekleństwo, które ciążyło nad Rocco. Od tego nie można się uwolnić. Wróciliśmy bogatsi, niż byliśmy. Tylko to się liczy. Nigdy nie mówiłam o tym moim synom. Żadne z naszych dzieci nie wiedziało. Kazałam braciom złożyć przysięgę i dotrzyмали słowa. Wszyscy musieli wierzyć w Nowy Jork. Zrobiliśmy nawet więcej. Opowiadaliśmy ludziom o mieście i jak nam się tam żyło. z detalami. Mogliśmy tak uczynić dzięki staremu Polakowi. Podczas powrotnej podróży udało mu się znaleźć kogoś, kto mówił po włosku i tłumaczył nam listy, jakie Kornio otrzymał od brata. Słuchaliśmy tego całymi nocami. Niektóre jeszcze pamiętam. Brat Korniego opowiadał o swoim życiu, o dzielnicy. Opisywał ulicę, swoich sąsiadów. Kornio kazał nam tego słuchać, ale nie była to żadna tortura. Otwierał przed nami drzwi miasta. Mogliśmy po nim chodzić. Mieszkaliśmy tam w myślach. Dzięki listom starego Korniego mogłam opowiedzieć moim synom o Nowym Jorku. Giuseppe i Domenico zrobili tak samo, dlatego właśnie, don Salvatore, przyniosłam księdzu to dziwne wotum, „Neapol – Nowy Jork”. Proszę, by znalazło się w nawie kościoła. Bilet w jedną

stronę. Do Nowego Jorku. Niech wisi w kościele w Montepuccio i niech palą się świece dla starego Korniego. To wszystko kłamstwo. Lecz ksiądz rozumie, że tak naprawdę nim nie jest? Proszę o to księdza. Chcę, żeby w Montepuccio nadal myślano, że byliśmy tam. Kiedy Anna dorośnie, zdejmie ksiądz wotum i jej przekaże. Będzie się wypytywać. Wtedy jej ksiądz opowie. Na razie w oczach Scortów musi odbijać się blask wielkiego miasta ze szkła.

VI

Zjadacze słońca

Pewnego sierpniowego ranka 1946 roku wjechał do Montepuccio mężczyzna na osiołku. Miał długi prosty nos i małe czarne oczka. Rysy jego twarzy nie były pozbawione pewnej szlachetności. Był młody, mógł mieć dwadzieścia pięć lat, ale pociągła twarz i surowa mina postarzały go. Najstarsi ludzie z wioski wspomnieli Luciana Mascalone. Obcy wjeżdżał w tym samym powolnym rytmie przeznaczenia. Mógł być jego potomkiem. Lecz skierował się wprost do kościoła i zamiast ściągać z grzbietu podrózne torby, nakarmił osła czy się umyć, zamiast napić się wody i przeciągnąć, ku powszechnemu zdumieniu zaczął z całych sił bić w dzwony. Montepuccio miało nowego proboszcza: don Salvatore, który wkrótce zyskał sobie przydomek „Kalabryjczyka”.

Już w dniu swego przybycia don Salvatore odprawił mszę w obecności trzech staruszek, które ciekawość sprowadziła do kościoła. Chciały zobaczyć, jak wygląda nowy. Nie mogły się nadziwić i zaraz rozpuściły plotkę, że młody człowiek wygłosił nader gwałtowne kazanie. Zaintrygowało to mieszkańców Montepuccio. Następnego dnia przyszło jeszcze pięć innych i tak dalej, aż do pierwszej niedzieli. Kiedy kościół był pełen. Ludzie ściągnęli całymi rodzinami. Wszyscy chcieli się przekonać, czy nowy proboszcz będzie odpowiednim człowiekiem, czy też należy zgotować mu taki sam los jak poprzednikowi. Don Salvatore nie wydawał się onieśmielony. Zdecydowanym tonem zaczął wygłaszać kazanie:

– Nazywacie siebie chrześcijanami – powiedział. – i przyszliście szukać pociechy u Naszego Pana, wiecie bowiem, że jest dobry i sprawiedliwy, ale wchodzicie do Jego domu z brudnymi nogami i śmierdzi wam z gęby. Nie mówiąc o waszych duszach, czarnych jak atrament mątwy. Rybacy. Urodziliście się rybakami, jak my wszyscy, ale tarzacie się w grzechu jak świnia w błocie. Gdy kilka dni temu wszedłem do kościoła, ławki pokrywała gruba warstwa kurzu. Co to za miejsce, gdzie pozwala się, by kurz pokrywał dom Pana? Za kogo się macie, że odwracacie się plecami od Pana Boga? Tylko nie opowiadajcie mi tu o biedzie. Ze musicie harować dzień i noc, że pola nie mogą czekać. Pochodzę z ziemi, gdzie wasze pola uchodziłyby za rajskie ogrody. z ziemi, gdzie najbiedniejszego spośród was wzięto by za księcia. Nie. Musicie przyznać, zgubiliście się sami. Znam te wasze zabobony. Domyślam się wszystkiego, kiedy patrzę na wasze gęby. Wypędzanie duchów. Drewniane idole. Znam wszystkie te

świętokradztwa, wasze pogańskie obrzędy. Przyznajcie się i okażcie skruchę, kmiotki. Kościół może wam przebaczyć i uczynić z was ludzi, jakimi nigdy nie byliście, szczerych i dobrych chrześcijan. Kościół może to uczynić, bo jest matką dla swoich, ale droga wiedzie przeze mnie, słuchajcie uważnie, przybyłem tu, by dokonać niemożliwego. Jeśli nadal będziecie wieść to haniebne życie, jeśli będziecie unikać Kościoła i lekceważyć swego pasterza, jeśli chcecie oddawać się dzikim obrzędom, słuchajcie, co się stanie, i nie miejcie co do tego żadnych wątpliwości: niebo przestonia chmury i będzie padać przez trzydzieści dni i trzydzieści nocy w samym środku lata. Ryby będą unikać waszych sieci. Drzewom oliwnym urosną tylko korzenie. Oślice będą rodzić ślepe kocięta. I wkrótce z Montepuccio nie zostanie kamień na kamieniu. Bo taka jest wola boża. Módlcie się o miłosierdzie. Amen.

Słuchacze stali jak zamurowani. Najpierw rozległy się pomruki. Ludzie protestowali półgłosem. Wkrótce w kościele znów zapanowała cisza, pełna fascynacji i podziwu. Po wyjściu z kościoła werdykt był jednogłośnie: „To ci dopiero charakter. Bez porównania z wymoczkim z Mediolanu”.

Don Salvatore został adoptowany. Ludzie polubili jego pełne namaszczenia słowa. Miał w sobie twardość ziemi Południa i czarne spojrzenie człowieka bez trwogi.

W kilka miesięcy po przybyciu don Salvatore miał przejść swój chrzest bojowy: zorganizować odpust na świętego Eliasza. Przez tydzień brakowało mu czasu na sen. W przeddzień uroczystości biegał jeszcze z jednego krańca miasteczka na drugi, marszcząc brwi. Ulice były świątecznie udekorowane. Zawieszono lampiony i girlandy. Rankiem, wraz z paniem kogutów, mury domów zdrząły od armatnich wystrzałów. Wszystko było gotowe. Podniecenie rosło. Dzieci niecierpliwie przestępowały z nogi na nogę. Kobiety już szykowały świąteczne posiłki. W pocie czoła smażyły plastry bakłażana na parmigianę. Kościół był przystrojony. Wyniesiono drewniane figury świętych, wystawiając je na powszechny widok: święty Eliaz, święty Roch oraz święty Michał. Obwieszono biżuterią, jak wymaga zwyczaj: złote łańcuszki i medaliki, ofiary, które mieniły się w blasku świateł.

O jedenastej wieczorem, gdy całe Montepuccio przebywało na korso, delektując się w spokoju zimnymi napojami i lodami, rozległ się nagle dziki wrzask i zjawił się don Salvatore, biały jak ściana, przewracając oczami, jakby ujrzał samego diabła, z bladymi wargami, bliski omdlenia. Ryczał jak ranne zwierzę: „Ktoś ukradł medaliki świętego Michała!” w jednej chwili cała wioska zamilkła. Cisza przeciągała się tak długo, aż wreszcie wszyscy zdali sobie sprawę, co ksiądz proboszcz powiedział. Medaliki świętego Michała. Skradzione. Tu. W Montepuccio. Nie. To niemożliwe.

I nagle cisza zmieniła się w głuchy pomruk złości i wszyscy mężczyźni wstali z miejsc. Kto? Kto mógł dopuścić się tej zbrodni? Kto? Była to zniewaga dla wszystkich. Nikt nie pamiętał czegoś podobnego. Okraść świętego Michała! Na dzień przed procesją! Zapłaci za to całe Montepuccio. Grupa mężczyzn wróciła do kościoła. Wypytywano tych, którzy przyszli się modlić. Czy nie widzieli, by jakiś obcy włóczył się w okolicy? Nie działo się nic dziwnego? Szukano wszędzie. Sprawdzano, czy medaliki nie spadły u stóp figury. Nic. Nikt nic nie widział. Don Salvatore powtarzał tylko: „Przekleństwo! Przekleństwo! Żyją tu sami kryminaliści!” Chciał wszystko odwołać. Procesję. Mszę. Wszystko.

W domu Carmeli panowała ta sama konsternacja co wszędzie. Giuseppe przyszedł na kolację. Przez cały posiłek Eliaz wierał się na krześle. Gdy w końcu matka zabrała jego talerz, wykrzyknął:

– No proszę! Widzieliście minę don Salvatore!

I wybuchnął takim śmiechem, że jego matka pobladła. Zrozumiała od razu.

– To ty, Eliaz? To ty? – spytała drżącym głosem.

A chłopak zanosił się śmiechem, tym szalonym śmiechem, który rodzina Scortów dobrze знаła. Tak. To on. Zrobił księdzu kawał. Mina don Salvatore. I jakie wszędzie poruszenie!

Carmela była blada. Spojrzała na brata i powiedziała słabym głosem, jak gdyby zaraz miała umrzeć:

– Wychodzę. Sam go zabij.

Wstała i trzasnęła drzwiami. Poszła prosto do Domenica, któremu opowiedziała wszystko. W Giuseppe zaś narastała złość. Myślał, co na to powie wioska. Myślał o hańbie, jaka na nich spadnie. Gdy w końcu krew się w nim zagotowała, wstał i wymierzył siostrzeńcowi sprawiedliwość, jak nie zrobił tego nigdy żaden wujek. Rozbił mu łuk brwiowy i rozciął wargę. Potem siadł obok Eliasza. Złość opadła, ale nie czuł ulgi. Serce przepęniała mu wielka gorycz. Uderzył, ale cóż z tego, rezultat był wciąż ten sam, z tej sytuacji nie było wyjścia. Toteż patrząc na obrzmiałą twarz siostrzeńca, powiedział:

– To była złość twego wuja. Teraz spadnie na ciebie złość ich wszystkich.

Już miał wyjść, zostawiając chłopca samemu sobie, gdy nagle coś sobie przypomniał.

– Gdzie schowałeś medaliki? – zapytał.

– Pod poduszką – wybełkotał Eliaz.

Giuseppe poszedł do pokoju chłopca, włożył rękę pod poduszkę, chwycił woreczek, do którego złodziej wsunął swój łup, i zasepiony, z opuszczoną głową i martwym spojrzeniem poszedł prosto do kościoła. „Niech przynajmniej święto się odbędzie – powtarzał w duchu. – Mogą nas zmasakrować za to, że spłodziliśmy takiego bezbożnika, trudno, ale niech nie odwołują święta”.

Giuseppe niczego nie ukrywał. Obudził don Salvatore i nie czekając na pytania, podał mu medaliki, mówiąc:

– Don Salvatore, oto medaliki świętego Michała. Nie będę ukrywał, kto jest złodziejem, Bóg już to wie. To mój siostrzeniec, Eliaz. Jeśli przeżyje karę, jaką mu wymierzyłem,

pozostanie mu tylko pogodzić się z Bogiem, nim dopadną go ludzie z Montepuccio. O nic księdza nie proszę. Nie domagam się łaski. Żadnego pobłażania. Przyszedłem tylko po to, by oddać medaliki. Żeby jutro było w Montepuccio święto, jak zawsze dwudziestego lipca, od początku świata.

I nie czekając na odpowiedź proboszcza, który stał jak zamurowany, rozdarty między uczuciem ulgi i wściekłością, odwrócił się na pięcie i poszedł do domu.

Giuseppe miał rację, sądząc, że życie siostrzeńca jest w niebezpieczeństwie. Nie wiadomo jak, jeszcze tej samej nocy zrodziła się plotka, że Eliaz Manuzio to bezbożnik i złodziej. Mężczyźni już zbierali się w grupki i przysięgali sobie, że wymierzą świętokradcy karę, którą popamięta. Szukano go wszędzie.

Pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślał Domenico, gdy zobaczył siostrę we łzach, było sięgnięcie po pistolet. Był zdecydowany go użyć, gdyby ktoś zagroził mu drogę. Poszedł prosto do domu Carmeli, gdzie ujrzał siostrzeńca na wpół uśpionego. Kazał mu wstać i nie tracąc nawet czasu na przemycie zakrwawionej twarzy, posadził go na jednym ze swych mułów i zawiózł do małego kamiennego domku, zagubionego pośród plantacji oliwek. Rzucił go na słomę. Dał pić. I zamknął na noc.

Nazajutrz procesja świętego Eliasza odbyła się zgodnie z planem. Oblicza ludzi nie zdradzały niczego z wczorajszego dramatu. Domenico Scorta uczestniczył w święcie, jak zawsze. Niósł w procesji figurę świętego Michała i rozповідаł dokoła, że jego zdegenerowany siostrzeniec to nicpoń i że sam nie cofnąłby się przed przelaniem krwi, że mógłby go zabić gołymi rękami. Ani przez chwilę nikt nie podejrzewał, że jest jedyną osobą, która wie, gdzie ukrywa się Eliaz.

Dzień później grupki mężczyzn znów ruszyły na poszukiwanie zbrodniarza. Msza i procesja się odbyły, najważniejsze mieli za sobą, teraz pozostało ukarać złodzieja i to tak, by nigdy więcej to się nie zdarzyło. Przez dziesięć dni tropiono Eliasza. Szukano go wszędzie. Domenico wychodził w środku nocy, by zanieść mu żywność do kryjówki. Nie odzywał się. Albo prawie. Dawał mu pić. Jeść. I odchodził. Pamiętając zawsze, by dobrze zamknąć drzwi. Po dziesięciu dniach poszukiwania ustały, a Montepuccio uspokoiło się. Lecz było rzeczą nie do pomyślenia, by chłopiec mógł tu wrócić. Domenico umieścił go w domu starego przyjaciela

z San Giocondo, ojca czterech synów, ciężko pracujących w polu. Ustalono, że Eliaz zostanie tam przez rok i dopiero wtedy wróci do Montepuccio.

Kiedy na osiołka załadowano parę jego rzeczy, Eliaz spojrzął na wuja i powiedział: „Dziękuję, *zio*”; powiedział to ze skrucą w oczach. Wuj nie zareagował od razu. Słońce wstawało nad wzgórzami. Piękny różowy blask skapał szczyty. Wtedy przyjrzał się siostrzeńcowi i wypowiedział słowa, których Eliaz nigdy nie zapomni. W pięknym świetle rodzącego się dnia wyjawiał mu to, co on, Domenico, uważał za swą prywatną mądrość:

– Jesteś nikiem, Eliaszu. Ja także. Liczy się tylko rodzina. Bez niej byłbyś martwy, a świat kręciłby się nadal, nawet nie zauważając twego zniknięcia. Rodzimy się. Umieramy. A między jednym i drugim liczy się tylko jedno. Ty i ja, każdy z osobna, jesteśmy niczym. Ale Scortowie, tak, Scortowie to coś znaczy. Dlatego ci pomogłem, z żadnego innego powodu. Odtąd masz dług. Dług u tych, którzy noszą twoje nazwisko. Kiedyś, może za dwadzieścia lat, będziesz mógł go oddać. Pomagając któremuś z naszych. Właśnie dlatego cię ocaliłem, Eliaszu. Bo będziemy cię kiedyś potrzebowali, gdy staniesz się kimś lepszym – tak jak potrzebujemy każdego z naszych synów. Nie zapomnij o tym. Jesteś niczym. Nazwisko Scorta przez chwilę należy do ciebie. To wszystko. Teraz idź. I oby Bóg, twoja matka i całe Montepuccio zechcieli ci wybaczyć.

Po wygnaniu brata Donato pograżył się w melancholii jak porzucone dziecko. Przestał się odzywać. Nie bawił się. Godzinami tkwił na środku korso bez ruchu, a gdy Carmela pytała go, co robi, odpowiadał niezmiennie: „Czekam na Eliasza”.

Ta niespodziewana samotność sprawiła, że świat dziecięcych zabaw legł nagle w gruzach. Od kiedy nie było Eliasza, cały świat był brzydki i nudny.

Pewnego ranka, siedząc przy stole nad kubkiem mleka, Donato popatrzył na matkę z powagą i zapytał:

– Mamo?

– Tak – odpowiedziała.

– A jeśli ja ukradnę medaliki, będę mógł pojechać do Eliasza?

To pytanie przeraziło Carmelę. Szeroko otworzyła usta. Poszła szybko do swojego brata Giuseppe i opowiedziała całą tę scenę.

– Peppe, musisz zająć się Donatem, bo zrobi coś złego – dodała. – Jeśli wcześniej nie umrze. Przestał jeść. Mówi wciąż o swoim bracie. Zabierz go ze sobą, niech się choć raz uśmiechnie. Dziecko w jego wieku nie może mieć takiego martwego spojrzenia. Ten dzieciak wygląda, jakby wypił całą gorycz świata.

Giuseppe wywiązał się z zadania. Tego samego wieczoru przyszedł po siostrzeńca i zabrał go do portu, gdzie wsiedli razem do łodzi. Gdy Donato zapytał, gdzie popłyną, Peppe odpowiedział, że przyszedł czas, by chłopak zrozumiał pewne rzeczy.

Rodzina Scortów zajmowała się przemytem. Od dawna. Zaczęło się to podczas wojny. Kartki żywnościowe były poważnym hamulcem dla handlu. To, że można było sprzedać tylko określoną ilość papierosów na głowę mieszkańca, wydawało się Carmeli czystą aberracją. Zaczęła od angielskich żołnierzy, którzy chętnie odstępowali parę kartonów za szynkę. Wystarczyło znaleźć niepalących. Później Giuseppe miał przemycać towar z Albanii. Łodzie przybijały do brzegu w nocy, pełne papierosów kradzionych z państwowych magazynów albo

z okolicznych trafik. Te nielegalne kartony były tańsze i dawały zarobek niepodlegający kontroli fiskalnej.

Giuseppe postanowił zabrać Donata na pierwszą przemytniczą wyprawę. W powolnym rytmie wiosł płynęli ku zatoczce o nazwie Zaiana. Czekał tam na nich mały kuter. Giuseppe przywitał się z mężczyzną, który nie mówił dobrze po włosku, i załadowali na łódź dziesięć skrzynek pełnych papierosów. Po czym w ciszy nocy, która zapadła nad wodami, wrócili do Montepuccio. Nie zamieniając słowa.

Kiedy przybili do portu, wydarzyło się coś niezwykłego. Mały Donato nie chciał wsiąść. Siedział na dnie łodzi, na znak oporu krzyżując ręce na piersi.

– O co chodzi, Donato? – zapytał rozbawiony wuj. Malec spojrzał na niego przeciągle i pewnym głosem zapytał:

– Często to robisz, *zio*?

– Tak – odpowiedział Giuseppe.

– Zawsze nocą?

– Tak, zawsze nocą – odparł wuj.

– To tak zarabiasz pieniądze? – zapytał chłopak. – Tak.

Chłopiec milczał przez chwilę. Potem głosem nie znoszącym sprzeciwu oznajmił:

– Ja też chcę to robić.

Podczas tej nocnej podróży czuł się szczęśliwy. Szum fal, ciemność, cisza, była w tym jakaś tajemnica i świętość, i to go poruszyło. Morskie wyprawy. Nocą. Przemysł jako zawód. Zajęcie wydało mu się wspaniałe, dające wolność i wymagające odwagi.

Zachwyt siostrzeńca sprawił, że w drodze do domu Giuseppe chwycił go za ramiona i powiedział:

– Trzeba sobie radzić, Donato. Pamiętaj o tym. Radzić sobie w życiu. Nie daj się nikomu przekonać, że coś jest nielegalne albo zakazane czy niebezpieczne. Prawda jest taka, że trzeba wyżywić rodzinę, i tyle.

Chłopak był w siódmym niebie. Po raz pierwszy wuj rozmawiał z nim w ten sposób, poważnie. Słuchał, a nie wiedząc, jak zareagować na wygłoszoną sentencję, zachował milczenie, dumny, że wuj traktuje go jak mężczyznę, z którym można rozmawiać.

Jedynie Domenico widział się z Eliaszem podczas jego rocznego wygnania. Kradzież medalików świętego Michała, którą wszyscy odebrali jak siarczasty policzek, dla Domenica stała się okazją, by poznać bliżej siostrzeńca. Coś w tym uczynku wzbudzało jego sympatię.

W rocznicę kradzieży Domenico zjawił się bez uprzedzenia w domu rodziny, która gościła Eliasza, a gdy ten się pojawił, objął go ramieniem i zabrał na spacer po wzgórzach. Wuj i siostrzeniec dyskutowali w powolnym rytmie kroków. W końcu Domenico podał Eliaszowi białą kopertę i wypowiedział te słowa:

– Posłuchaj, Eliasz, za miesiąc, jeśli wszystko dobrze pójdzie, będziesz mógł wrócić do wioski. Myślę, że cię tam przyjmą. Nikt już nie mówi o twoim występku. Ludzie się uspokoiłi. Wkrótce znów będzie święto naszego patrona. Za miesiąc, jeśli chcesz, możesz znów być z nami. Ale przybyłem tu, by zaproponować ci coś innego. Trzymaj. Weź tę kopertę. Są w niej pieniądze. Dużo pieniędzy. Można za to przeżyć nawet sześć miesięcy. Bierz. I wyjedź stąd. Gdzie chcesz. Do Neapolu. Do Rzymu. Albo do Mediolanu. Wyślę ci więcej, jeśli to nie wystarczy. Zrozum mnie dobrze, Eliasz. Nie wyganiam cię. Ale chcę dać ci wybór. Możesz być pierwszym Scorta, który opuści tę ziemię. Ty jeden jesteś do tego zdolny. Ta kradzież tego dowodzi. Masz charakter. Wygnanie cię zahartowało. Nic więcej nie potrzebujesz. Nie mówiłem o tym nikomu. Nawet twoja matka o niczym nie wie. Ani wujowie. Jeśli zechcesz wyjechać, wszystko im wyjaśnię. Teraz słuchaj, Eliasz, słuchaj, masz jeszcze miesiąc. Zostawiam ci kopertę. Chcę, żebyś to przemyślał.

Domenico ucałował siostrzeńca w czoło i uściskał. Eliasz był zbity z tropu. Miotły nim pragnienia, najróżniejsze obawy kłębiły się w głowie. Dworzec w Mediolanie. Wielkie miasta Północy, zasnute chmurą fabrycznego dymu. Samotne życie emigranta. Nie potrafił objąć myślą bogactwa obrazów. Wuj nazwał go Scorta. Co chciał przez to powiedzieć? Czy po prostu zapomniał, że jego prawdziwe nazwisko brzmi Manuzio?

W miesiąc później ktoś zapukał do drzwi wielkiego domu Domenica, w godzinie, gdy światło poranka zaczyna ogrzewać kamienie. Domenico otworzył drzwi. Eliasz stał na progu. Uśmiechnięty. Niezwłocznie podał mu pełną pieniędzy kopertę.

– Zostaję tutaj – powiedział.

– Wiedziałem – odpowiedział wuj szeptem.

– Jak to? – zdumiał się Eliaz.

– Ostatnio jest zbyt ładnie – powiedział Domenico. A że Eliaz nie rozumiał, kazał mu wejść, dał pić i wyjaśnił. – Jest zbyt ładnie. Od miesiąca słońce mocno grzeje. Niemożliwe, byś chciał teraz wyjechać. Kiedy słońce króluje na niebie, że aż trzeszcza kamienie, nic się nie da zrobić. Zbyt kochamy tę ziemię. Nie rodzi niczego, jest biedniejsza niż my sami, lecz kiedy słońce przygrzewa, nikt jej nie opuści. Jesteśmy zrodzeni ze słońca, Eliazu. Nosimy w sobie jego ciepło. Jak daleko sięgnęlibyśmy pamięcią, zawsze tu było, grzejąc nam skórę już wtedy, gdy byliśmy niemowlętami. I wciąż się nim karmimy. Jest w owocach. W brzoskwiniach. W oliwkach. W pomarańczach. To jego aromat Wraz z oliwą spływa nam do gardeł. Jest w nas, w środku. Jesteśmy zjadaczami słońca. Wiedziałem, że nie wyjedziesz. Gdyby spadł deszcz, kto wie. Lecz teraz to niemożliwe.

Eliaz rozbawiony słuchał tej teorii, którą Domenico wykladał mu z pewną przesadą – jakby chciał dać mu do zrozumienia, że sam nie do końca w nią wierzy. Był szczęśliwy. Chciał mówić. W ten sposób dziękując Eliazowi, że wrócił. Młody człowiek zabrał głos:

– Wróciłem dla ciebie, *zio*. Nie chcę dowiedzieć się o twojej śmierci przez telefon ani płakać samotnie w jakimś pokoiku w Mediolanie. Chcę być tutaj. Przy tobie. I uczyć się od ciebie.

Domenico słuchał siostrzeńca ze smutkiem w oczach. Rzecz jasna, był zachwycony wyborem Eliasza. Rzecz jasna, całymi nocami modlił się, by ten młody człowiek nie wybrał wygnania, lecz gdzieś w głębi duszy uznawał ten powrót za porażkę. Przypominało mu to o nowojorskiej klęsce. Zatem nigdy żaden Scorta nie zdoła wyrwać się z tej nędznej ziemi. Żaden Scorta nie ucieknie przed słońcem Apulii. Nigdy.

Kiedy Carmela ujrzała syna w towarzystwie Domenica, przeżegnała się i podziękowała niebiosom. Eliaz wrócił. Po roku nieobecności. Pewnym krokiem maszerował po korso i nikt nie stawał mu na drodze. Żadnych szeptów. Posępnych spojrzeń. Za jego plecami nie gromadzili się mężczyźni. Montepuccio wybaczyło.

Donato pierwszy rzucił się w ramiona Eliasza, krzycząc z radości. Starszy brat był tu z powrotem. Nie mógł się doczekać, kiedy opowie mu wszystko, czego nauczył się pod jego nieobecność: nocne podróże morzem, przemyt, kryjówki na skrzynie nielegalnych papierosów. Chciał mu wszystko wyjaśnić, ale na razie musiał zadowolić się tym, że w milczeniu ścisną go w ramionach.

Życie w Montepuccio znów potoczyło się zwyczajnym torem. Eliaz pracował z matką w trafice. Donato każdego dnia pytał wuja, czy może z nim popłynąć, tak iż Giuseppe przywykł w końcu zabierać go za każdym razem, gdy nocą wyruszał w morze.

Eliasz, kiedy tylko mógł, odwiedzał posiadłość Domenica. Najstarszy ze Scortów starzał się z wolna wraz z upływem lat. Mężczyzna kiedyś surowy i zamknięty w sobie stał się łagodną istotą o błękitnym spojrzeniu, niepozobawionym szlachetnego piękna. Jego pasją były teraz gaje oliwne i udało mu się spełnić marzenie: stał się właścicielem wielu hektarów. Ponad wszystko lubił kontemplować te wiekowe drzewa, kiedy upał zelżał, a wiatr od morza poruszał delikatnie liśćmi. Zajmowały go już tylko oliwki. Ciągłe powtarzał, że oliwa to zbawienie Południa. Kiedy patrzył, jak gęsta ciecz powoli spływa z butelek, nie mógł ukryć uśmiechu zadowolenia.

Gdy Eliaz składał mu wizytę, przyjmował go zawsze na wielkim tarasie. Kazał przynieść kilka kromek białego chleba i butlę wytłoczonej przez siebie oliwy, i smakowali ten nektar w skupieniu:

– To złoto – mówił wuj. – Ci, którzy mówią, że jesteśmy biedni, nigdy nie jedli chleba maczanego w oliwie. To jakbyś delektował się tymi wzgórzami. Oliwa pachnie kamieniami i słońcem. Mieni się w świetle. Jest piękna, gęsta, klarowna. To krew naszej ziemi. A ci, którzy wyzywają nas od kmiotków, niech lepiej przyjrzą się krwi, która w nas płynie. Jest lekka i szlachetna. Oto czym jesteśmy: kmiotkami czystej krwi. Chłopami o twarzach żłobionych przez

słońce, o sękatych dłoniach i śmiałym spojrzeniu. Spójrz, jak wyschnięta jest ziemia wokół, i docień bogactwo oliwy. Między jednym i drugim zawiera się praca ludzi. Nasza oliwa to czuje. Ludzki pot. Twarde ręce naszych kobiet podczas zbiorów, tak. To jest szlachetne. I dlatego jest dobra. Może i jesteście ubodzy i ciemni, lecz skoro wyłaczamy tę oliwę ze skały, skoro robimy tak wiele nieomal z niczego, dostąpimy zbawienia. Bóg docenia wysiłek. A nasza oliwa wstawi się za nami.

Eliasz nie odpowiedział słowem. Lecz ten taras, z którego można było objąć wzgórze, taras, na którym lubił przesiadywać wuj, był jedynym miejscem, gdzie czuł, że naprawdę żyje. Tutaj oddychał.

Domenico coraz rzadziej schodził do osady. Wolał usiąść na krześle pośród swoich drzewek i tkwić tak w cieniu oliwek, patrząc, jak niebo zmienia barwę. Były jednak spotkania, których nie opuściłby za nic w świecie. W letnie wieczory, codziennie o siódmej spotykał się z braćmi, z Raffaele i Giuseppe, na korso. Siadali na tarasie kawiarni, zawsze tej samej, „Da Pizzone”, gdzie czekał na nich stolik. Peppino, właściciel lokalu, dosiadał się do nich i razem grali w karty, od siódmej do dziewiątej. Te partyjki kart były święte. Popijali San Bitter lub alkohol z karczocha i wykładali karty, bijąc nimi w blat stołu pośród śmiechu i gwaru. Przekrzykiwali się. Nie szczędzili docinków. Złorzeczyli niebu po przegranej partii albo błogosławili świętego Eliasza i Najświętszą Panienkę, gdy przychodziła karta. Przekomarzali się, podkpiwali z pechowców, klepali się po plecach. Pełnia szczęścia. Tak, wtedy niczego im nie brakowało. Peppino donosił trunki, gdy kieliszki były puste. Dzielił się plotkami. Giuseppe wołał okoliczne dzieci, które zwały go *zio*, bo zawsze miał dla nich parę drobnych monet na prażone migdały. Grali w karty i czas przestawał istnieć. Siedzieli tak na tarasie w cudownie łagodnym, późnym popołudniu lata. A cała reszta się nie liczyła.

Pewnego czerwcowego dnia Domenico nie zjawił się o siódmej w „Da Pizzone”. Czekali na niego. Na próżno. Raffaele i Giuseppe poczuli, że stało się coś niedobrego. Ruszyli do trafiki zapytać, czy Eliasz widział swego wuja. Nic. Pobiegli więc wprost do niego, mając pewność, przeczuwając w głębi duszy, że wkrótce spotka ich najgorsze. Znaleźli brata na krześle, pośród oliwek, z rękami zwisającymi luźno, z głową opuszczoną na pierś; kapelusz leżał na ziemi. Zmarł. Spokojnie. Lekka ciepła bryza poruszała łagodnie kosmykami włosów. Drzewa oliwne chroniły go przed słońcem i otoczyły cichym szumem liści.

– Od śmierci Mimi wciąż myślę o jednym. Giuseppe mówił cichym głosem, nie podnosząc oczu. Raffaele popatrzył na niego, czekając na dalszy ciąg zdania, później, stwierdzając, że Giuseppe skończył, zapytał łagodnie:

– O czym?

Giuseppe wahał się jeszcze, wreszcie wyjął, co mu leży na sercu.

– Czy kiedykolwiek byliśmy szczęśliwi? Raffaele obrzucił brata zatroskanym spojrzeniem.

Śmierć Domenica poruszyła Giuseppe w nadzwyczajny sposób. Zaraz po pogrzebie nagle się postarzał, tracąc ów puciołowaty wygląd, który charakteryzował go przez całe życie i który nawet w wieku dojrzałym nadawał mu rys młodości. Śmierć Domenica dała jak gdyby sygnał do odwrotu i od tej chwili Giuseppe był gotów, instynktownie czując, że będzie następnym. Raffaele zapytał brata:

– No więc? Jak odpowiedziałbyś na to pytanie?

Giuseppe milczał, jakby chciał wyznać jakąś straszną zbrodnię. Wahał się.

– Właśnie – powiedział nieśmiało. – Zastanawiałem się nad tym. Chciałem zrobić listę wszystkich szczęśliwych chwil, jakie dane mi było przeżyć.

– Dużo ich było?

– Tak. Dużo. Przynajmniej tak mi się zdaje. Dość. Dzień, w którym kupiliśmy trafikę. Narodziny Vittoria. Mój ślub. Siostrzeńcy. Moje bratanice. Tak, było tego dużo.

– Więc skąd ten smutek?

– Bo kiedy próbuję znaleźć ten jeden moment, najszcześniejsze wspomnienie, wiesz, co przychodzi mi na myśl?

– Nie.

– Dzień, kiedy zaprosiłeś nas wszystkich na *trabucco*. To wspomnienie jest silniejsze niż wszystkie inne. Bankiet. Jedliśmy i pili i było nam jak w niebie.

– *Pancia piena*? – zaśmiał się Raffaele.

– Tak. *Pancia piena* – ciągnął Giuseppe ze łzami w oczach.

– Czy to takie smutne?

– A co byś powiedział o człowieku, który pod koniec życia zdaje sobie sprawę, że najszczęśliwszy był w dzień sytego posiłku? – zapytał Giuseppe. – Czyż w ludzkim życiu nie ma większych radości? Czy nie jest to znak, że wiodłem życie nędzarza? Czy nie powinienem się wstydzić? a jednak, zapewniam cię, za każdym razem, kiedy o tym myślę, przychodzi właśnie to wspomnienie. Pamiętam wszystko. Było risotto z owocami morza, które rozpływało się w ustach. Twoja Giuseppina miała na sobie suknię w kolorze nieba. Była piękna jak marzenie i wciąż krzątała się przy stole i w kuchni. Pamiętam, jak pocieś się niczym górnik przy piecu. I jak ryby skwierczały na ruszcie. Widzisz. z całego życia to jedno najpiękniejsze ze wszystkich wspomnienie. Czy nie jestem przypadkiem najnędzniejszym z ludzi?

Raffaele siedział zasłuchany. Głos brata sprawił, że i jemu ten posiłek jak żywy stanął przed oczami. On także ujrzał znowu radosne bractwo Scortów. Półmiski podawane z rąk do rąk. Radość wspólnego posiłku.

– Nie, Peppe – zwrócił się do brata. – Właśnie ty masz rację. Któż może się pochwalić, że zaznał podobnego szczęścia? Nie ma nas tak wielu. I czemu mielibyśmy to lekceważyć? Dlatego że jedliśmy? Że czuć było smażony olej, a nasze koszule poplamione były pomidorowym sosem? Szczęśliwy, kto uczestniczył w tym posiłku. Byliśmy razem. Jedliśmy, dyskutowali, przekrzykiwali się, śmiali i pili jak ludzie. Siedząc jeden obok drugiego. To były cenne chwile, Peppe. Masz rację. I wiele bym dał, by znów poczuć ich smak. Słyszeć znów wasze głośnie śmiechy, czuć zapach listka laurowego.

Domenico oszczędził pierwszy, ale Giuseppe niewiele go przeżył. Rok później nieszczęśliwie spadł ze schodków w starej wiosce i stracił przytomność. Jedyne szpital w prowincji Gargano znajdował się w San Giovanni Rotondo, o dwie godziny drogi od Montepuccio. Giuseppe wniesiono do ambulansu, który ruszył drogą wśród wzgórz z włączoną syreną. Minuty mijały powoli, jak ostrze noża przesuwające się po skórze. Giuseppe opadał z sił. Po czterdziestu minutach jazdy ambulans wciąż był tylko maleńkim punktem pośród bezmiaru skał. Wtedy Giuseppe miał nagły przebłysk świadomości, na chwilę oprzytomniał. Spojrzał na sanitariusza i powiedział dobitnie, jak człowiek, który wie, że umiera:

– Za pół godziny będę martwy. Pan też to wie. Pół godziny. Nie pociągnę dłużej. Nie zdążymy dotrzeć do szpitala. Proszę zawrócić i jechać jak najszybciej. Może pan jeszcze zdąży oddać mnie rodzinie. Tam chcę umrzeć.

Dwaj sanitariusze uznali te słowa za wyraz ostatniej woli konającego i wypełnili ją. W niezmiernym przestworzu wyschniętych wzgórz ambulans zawrócił i pędził jak szalony z wyjącą syreną w stronę Montepuccio. Zdążyli na czas. Giuseppe miał tę satysfakcję, że może umrzeć na rynku, pośród swoich, zdumionych na widok wracającej karetki, która bezradnie poddała się w obliczu śmierci.

Carmela długo chodziła w żałobie. To, czego nie uczyniła po śmierci męża, robiła dla swoich braci. Raffaele był niepokieszony. Czuł się, jakby stracił palce własnej ręki. Snuł się po uliczkach, nie wiedząc, co ze sobą począć. Wciąż myślał o swych braciach. Codziennie wracał do „Da Pizzone” i powtarzał przyjacielowi: „Dołączmy do nich jak najprędzej, Peppino. Oni są tam, my tutaj, i jak tu grać w karty”.

Codziennie chodził na cmentarz, by godzinami mówić do cieni. Pewnego dnia zabrał ze sobą siostrzeńca, Eliasza, i nad grobem jego dwóch wujów postanowił mówić. Zawsze oddalał ten moment, wydawało mu się, że przecież nie ma nikomu nic do powiedzenia, skoro nie podróżował. Lecz złożył obietnicę. Czas mijał i nie chciał umrzeć, nie dotrzymując słowa. Zatem nad grobem wujów położył rękę na karku Eliasza i powiedział:

– Nie byliśmy ani lepsi, ani gorsi od innych, Eliaszu. Staraliśmy się. To wszystko. Staraliśmy się z całych sił. Każde pokolenie próbuje. Coś zbudować. Ulepszyć, co posiada. Albo zdobyć więcej. Troszczyć się o bliskich. Każdy próbuje zrobić to, co w jego mocy. Możemy tylko próbować. I nie spodziewać się niczego u kresu drogi. Wiesz, co tam jest? Starość. Nic innego. Zatem słuchaj, Eliaszu, słuchaj starego wuja Faellucc'a, który nie zna się na niczym i nie chodził do szkoły. Trzeba doceniać pot. Ja ci to mówię. Bo to są najpiękniejsze chwile w życiu. Kiedy o coś walczysz, harujesz dzień i noc jak potępieniec i nie masz nawet czasu, by zobaczyć się z żoną i dziećmi, gdy wylewasz pot, by zbudować to, czego pragniesz, wtedy właśnie przeżywasz najpiękniejsze chwile swego życia. Wierz mi. Dla twojej matki, dla wujów i dla mnie samego nie ma nic cenniejszego niż lata, gdy nie mieliśmy niczego, puste kieszenie, i biliśmy się o trafikę. To były ciężkie czasy. Lecz dla każdego z nas były to najpiękniejsze chwile w życiu. Wszystko było przed nami, mieliśmy wilczy apetyt. Trzeba doceniać pot, Eliaszu. Wspomnij moje słowa. Ostatecznie wszystko tak szybko się kończy, wierz mi.

Raffaele miał łzy w oczach. Fakt, iż mówi o swych braciach i o tych jasnych latach, kiedy dzielili wszystko, sprawił, że wzruszył się jak dziecko.

– Płaczesz? – zapytał Eliaz, wstrząśnięty widokiem łez na twarzy starego człowieka.

– Tak, *amore di zio*⁸ – odpowiedział Raffaele. – Ale to dobrze. Wierz mi, że to dobrze.

Mówiłam już księdzu, miałam dług u braci. Wielki dług, don Salvatore. Wiedziałam, że trzeba będzie spłacać go latami. Może przez całe życie. Nie przejmowałam się. To był obowiązek. Ale jednego nie udało mi się przewidzieć, że mogę pewnego dnia przestać chcieć go spłacać. Przysięgłam sobie, że oddam im wszystko. Że będę harować całe życie i oddam wszystko, co uda mi się zgromadzić. Byłam im to winna. Poprzysięgłam sobie, że będę dla nich siostrą z prawdziwego zdarzenia. I tak właśnie postępowałam, don Salvatore. Byłam dla nich siostrą. Przez całe życie. Moje małżeństwo niczego nie zmieniło. Na wieść o mojej śmierci nikt nie powie: „Wdowa Manuzio zmarła”. Ludzie nie będą wiedzieli, kto to jest wdowa Manuzio. Powiedzą: „Siostra Scortów nie żyje”. Wszyscy zrozumieją, że chodzi o mnie, o Carmelę. Jestem szczęśliwa, że tak właśnie jest. Bo tak się czuję. Właśnie tym zawsze byłam. Siostrą dla moich braci Antonio Manuzio dał mi nazwisko, ale go nie chciałam. Czy to wstyd? Nie przestałam być Scorta. Antonio tylko przemknął się przez moje życie.

Byłam szczęśliwa tylko wtedy, gdy otaczali mnie bracia. Moi trzech bracia. Kiedy byliśmy razem, cały świat należał do nas. Myślałam, że zawsze tak będzie, aż do końca. Okłamywałam sama siebie. Życie płynęło, a czas postarał się, by wszystko zmienić, niepostrzeżenie. Uczynił mnie matką.

Wszyscy mieliśmy dzieci. Rodzina się rozrosła. Nie dostrzegłam, że to zmienia wszystko. Urodziłam dwóch synów. Byłam matką. I stałam się prawdziwą wilczycą. Jak wszystkie matki. Budowałam dla nich. Gromadziłam dla nich. Wszystko chowałam dla Eliasza i Donata. Wilczyca, don Salvatore. Która myśli tylko o swoich i kąsa każdego, kto się zbliży. Miałam dług, ale go nie spłaciłam. To, co należało dać braciom, trzeba by zabrać synom. Kto mógłby tak postąpić? Zrobiłam to, co uczyniłaby każda matka. Zapomniałam o długu i walczyłam o swój miot. Czytam w oczach księdza nieomal przebaczenie. Tak właśnie postępują, mówi ksiądz sobie, to normalne, że wszystko oddają swym dzieciom. Zrujnowałam mych braci. To ja, don Salvatore, to ja sprawiłam, że ich życie było dalekie od marzeń. Przeze mnie musieli opuścić Amerykę, gdzie mogli zdobyć fortunę. To ja ściągnęłam ich znowu na ziemię Południa, która niczego nie rodzi. Nie miałam prawa zapominać o długu. Nawet ze względu na dzieci.

*Domenico, Giuseppe, Raffaele, tak bardzo ich kochałam. Jestem siostrą, don Salvatore.
Lecz siostrą, która na braci sprowadziła widmo klęski.*

VII

Tarantela

Carmela z wolna traciła zainteresowanie trafiką. Zaczęła przychodzić tam rzadziej, później wcale. Zastępował ją Eliasz. Otwierał. Zamykał. Robił rachunki. Całe dni spędzał za ladą, gdzie wcześniej jego matka strawiła całe życie. Nudził się jak pies w upale, ale co mógł zrobić? Donato kategorycznie odmawiał spędzenia choćby jednego dnia w sklepie. Zgodził się pracować w trafice tylko pod jednym, niepodlegającym dyskusji warunkiem: że będzie mógł nadal uczestniczyć w przemytniczych wyprawach. Ten sklepik, który tak długo stanowił centrum życia rodzinnego, teraz parzył im ręce. Nikt go nie chciał. Eliasz zgodził się stać za ladą tylko dlatego, że nie miał nic innego do roboty. Co dzień wyrzucał sobie, że tylko do tego się nadaje.

Wkrótce to życie wyraźnie go odmieniło. Był nieobecny, łatwo wpadał w złość i obrzucał horyzont posepnym spojrzeniem. Zdawało się, że przez cały dzień sprzedaje paczki papierosów, nie do końca zdając sobie sprawę, co właściwie robi. Któregoś dnia Donato, korzystając z okazji, że zostali sami, zapytał brata: „Co ci jest, *fra*?” Eliasz spojrział na niego zdumiony, wzruszył ramionami, wyduł wargi i odburknął: „Nic”.

Eliasz był święcie przekonany, że jego zachowanie w żaden sposób nie zdradza wewnętrznego zamętu, toteż pytanie brata zbiło go z tropu. Co takiego powiedział, co takiego mógł zrobić, by Donato doszedł do wniosku, iż coś jest nie tak? Nic. Absolutnie nic. Niczego nie powiedział. Nie zrobił nic nadzwyczajnego. Sprzedawał te cholerne papierosy. Cały dzień stał za nudną ladą. Obsługując przeklętych klientów. To życie napawało go wstrętem. Czuł, że coś ważnego musi się wydarzyć. Czuł się jak zabójca w przeddzień zbrodni. Lecz ukrywał tę wściekłość, chęć zerwania ze wszystkim, krył się z tym przed wszystkimi jak konspirator, a kiedy Donato, patrząc mu prosto w oczy, zadał niewinne pytanie: „Co ci jest, braciszku?”, miał wrażenie, że został zdemaskowany, przejrzany na wskroś. I narastała w nim wściekłość.

Prawda zaś była taka, że Eliasz zakochał się w Marii Carminelli. Dziewczyna pochodziła z bogatej rodziny, posiadającej hotel „Tramontane” – najpiękniejszy w Montepuccio. Ojciec Carminelli był lekarzem. Dzielił czas między przyjmowanie pacjentów a zarządzanie hotelem. Gdy Eliasz przechodził obok wysokiej fasady czterogwiazdkowego hotelu, krew się w nim burzyła. Przeklinał wielki basen, chorałwie, które łopotały na wietrze, tę wielką restaurację z widokiem na morze i prywatną plażę usianą leżakami w złote i czerwone pasy. Przeklinał cały ten luksus, gdyż wiedział, iż jest to bariera nie do pokonania, która oddziela go od Marii. Był prostym kmiotkiem i każdy to wiedział. Mógł nawet prowadzić trafikę, nic to nie

zmieniało. Liczyły się nie pieniądze, ale pochodzenie. Cóż może zaproponować córce lekarza? Pracę w pocie czoła w trafice, gdzie w każdy letni wieczór tłoczyli się klienci? Wszystko to było śmieszne i z góry skazane na niepowodzenie. Po tysiąc razy rozmyślał o tym podczas bezsennych nocy. Po tysiąc razy dochodził do tego samego wniosku: lepiej zapomnieć o Marii, niż narazić się na łatwe do przewidzenia upokorzenie. A jednak. Mimo wszystkich tych rozważań, wszystkich argumentów nie do odrzucenia, nie potrafił zapomnieć o córce lekarza.

Wreszcie któregoś dnia podjął decyzję, zdobył się na odwagę i umówił na spotkanie ze starym Gaetanem Carminellą. Zapytał, czy może przyjść tuż przed południem, a lekarz odpowiedział grzecznie, modulując głos, że to dla niego przyjemność i że będzie czekał na hotelowym tarasie. O tej porze turyści byli już na plaży. Stary Gaetano i Elias, obaj w białych koszulach, siedzieli na tarasie sami. Lekarz kazał przynieść dwa kieliszki campari, lecz Elias, pochłonięty tym, co ma powiedzieć, nie tknął swojego. Po wstępnej wymianie grzeczności, gdy stary Gaetano zaczął zadawać sobie pytanie, czego może chcieć ten milczący mężczyzna, który przecież nie przyszedł tu tylko po to, by spytać o zdrowie rodziny – Elias wreszcie się odezwał. Tysiące razy w myślach wygłaszał tę przemowę, ważąc każde słowo, zastanawiając się nad każdym argumentem, lecz słowa, które wymówił, nie miały nic wspólnego z tym, co tak często sobie powtarzał. Oczy mu błyszczały. Wyglądał jak zabójca, który spowiada się ze zbrodni i którego w miarę mówienia odurza słodkie pijaństwo wyznań.

– Don Gaetano – zaczął. – Nie mam zamiaru kłamać i powiem wprost. Nie posiadam niczego. Ta przeklęta trafika to żadna deska ratunku, raczej krzyż pański. Jestem biedny. A ten cholerny sklep wpędza mnie tylko w nędzę. Nie każdy to rozumie. Ale pan potrafi to pojąć, don Gaetano. Bo jest pan mądrym człowiekiem. Trafika jest moim przekleństwem. Ale nie mam nic innego. Gdy spojrzę na ten hotel, kiedy wspomnę pański dom w starej wiosce, powiadam sobie, że i tak jest pan łaskawy, chcąc ze mną rozmawiać. A jednak, don Gaetano, jednak przyszedłem prosić o rękę pańskiej córki. Jest panią mego serca. Proszę mi wierzyć, próbowałem pójść po rozum do głowy. Znam wszystkie argumenty, jakie może mi pan przeciwstawić. Są słuszne. Powtarzałem je sobie wiele razy. I nic, don Gaetano. Pańska córka włada moim sercem. I jeśli mi jej pan nie odda, stanie się coś niedobrego, co wszystkim nam zaszkodzi. I Carminellim, i Scortom. Oszalałem, don Gaetano. Rozumie pan? Jestem szalony.

Stary lekarz był człowiekiem ostrożnym. Zrozumiał, że ostatnie słowa Eliasza nie są żadną groźbą, tylko stwierdzeniem. Eliaz był szalony. Kobiety potrafią do tego doprowadzić. Nie należało go prowokować. Starzec o błękitnych oczach, ze starannie utrzymaną siwą brodą, nie odpowiedział od razu. Chciał dać do zrozumienia, że rozważy prośbę Eliasza i jego argumenty. Po czym głosem statecznego notabla zaczął opowiadać o swym szacunku dla rodziny Scortów – dzielnej rodziny, która zdobyła wszystko pracą własnych rąk. Dodał jednak, że jako ojciec musi dbać przede wszystkim o własną rodzinę. Musi się zastanowić i da odpowiedź Eliazowi najszybciej jak to możliwe.

Eliaz wracał do trafiki. Miał pustkę w głowie. To wyznanie nie przyniosło mu żadnej ulgi. Był tylko wyczerpany. Nie wiedział jednak, że gdy tak szedł ze spuszczoną głową, marszcząc brwi, w hotelu „Tramontane” panowało wielkie ożywienie. Gdy tylko rozmowa dobiegła końca, kobiety, wietrząc w powietrzu miłosną intrygę, zaczęły naciskać starego Gaetana, by wyjawiał im powód wizyty Eliazza, i starzec, oblegany ze wszystkich stron, ustąpił. Opowiedział wszystko. Przez dom przeszło tornado krzyków i śmiechów. Matka i siostry Marii komentowały zalety i wady tej zdumiewającej kandydatury. Staremu lekarzowi kazano powtarzać słowo w słowo przemowę Eliazza. „Jestem szalony”, naprawdę powiedział: „Jestem szalony”? Tak, potwierdzał Gaetano. Nawet to powtórzył. Były to pierwsze oświadczenia w rodzinie Carminellich. Maria była najstarsza, ale nikt nie sądził, że kwestia zamążpójścia pojawi się tak prędko. Kiedy rodzina po raz kolejny kazała opowiadać sobie tę rozmowę, Maria wymknęła się z domu. Nie było jej do śmiechu. Jej twarz nabiegła krwią, jakby ją ktoś spoliczkował. Wyszła z hotelu i pobięła za Eliazem. Dogoniła go tuż przed trafiką. Był tak zaskoczony jej widokiem, tym, że go ściga, że tylko szeroko otworzył usta, zapominając o przywitaniu. Gdy dzieliło ich kilka metrów, Maria powiedziała:

– Więc to tak, nachodzisz nas w domu i pytasz ojca o moją rękę.

Miotła wściekłe spojrzenia.

– Oto maniery twojej zacofanej rodziny. Czemu mnie o nic nie pytasz? Jestem pewna, że nawet nie przyszło ci to do głowy. Mówisz, że stanie się nieszczęście, jeśli za ciebie nie wyjdę. Co masz mi do zaoferowania? Skamlesz przed moim ojcem, że nie jesteś dość bogaty. Opowiadasz o hotelach. O domach. To byś mi dał, gdybyś mógł? Dom? Samochód? Odpowiadaj, mule, właśnie to?

Eliasz był zbity z tropu. Nic z tego nie rozumiał. Dziewczyna krzyczała coraz głośniej. W końcu wymamrotał:

– Tak. Właśnie to.

– Zatem przyjmij jedno do wiadomości – odparła z pogardliwym uśmiechem, który czynił ją piękniejszą i bardziej dumną niż jakakolwiek dziewczyna z Gargano. – Przyjmij do wiadomości, że nawet gdybyś miał pałac Cortuno, niczego byś nie dostał. Jestem więcej warta. Hotel, dom, samochód, zbywam to jednym gestem. Słyszysz? Jestem więcej warta. Potrafisz to zrozumieć, głupi kmiotku? Znacznie więcej. Ja chcę wszystkiego. I biorę wszystko.

Gdy skończyła mówić, obróciła się na pięcie i znikła, a Eliasz stał w miejscu, nie mogąc pozbierać myśli. Już w tej chwili wiedział, że Maria Carminella stanie się jego obsesją.

Msza się skończyła i ostatni parafianie wychodzili grupkami. Eliazsz czekał na placu przed kościołem, smutny, przygarbiony. Kiedy proboszcz zagadnął go, czy wszystko w porządku, a Eliazsz nie odpowiedział, don Salvatore zaprosił go do siebie na szklaneczkę. Gdy usiedli za stołem, ksiądz spytał:

– Co się dzieje?

I czekał na odpowiedź

– Już nie mogę, don Salvatore – odpowiedział Eliazsz. – Chyba oszaleję. Chcę... Sam nie wiem. Robić coś innego. Zacząć nowe życie. Wyjechać stąd. Pozbyć się tej przeklętej trafiki.

– A czy ktoś ci zabrania? – zapytał proboszcz.

– Wolność, don Salvatore. Trzeba być bogatym, żeby być wolnym – odpowiedział Eliazsz, zdumiony, że don Salvatore tego nie rozumie.

– Przestań się mazać, Eliazszu. Jeśli chcesz porzucić Montepuccio czy zacząć nie wiadomo co, wystarczy sprzedać trafikę. Wiesz przecież, że dobrze na niej zarobicie.

– To tak, jakbym zabił własną matkę.

– Zostaw matkę w spokoju. Jeśli chcesz wyjechać, sprzedaj. A jeśli nie chcesz sprzedać, przestań się żalić.

Proboszcz powiedział, co myśli, tonem, który podobał się tutejszym. Był bezpośredni, surowy i nie oszczędzał nikogo.

Eliazsz czuł, że nie da się ciągnąć tej rozmowy, jeśli nie wspomni o prawdziwym problemie, o powodach, dla których przeklina niebo, o Marii Carminelli. Lecz nie chciał o tym mówić. Zwłaszcza z don Salvatore. Głos proboszcza wyrwał go z zamyślenia.

– Dopiero w ostatnim dniu życia człowiek może stwierdzić, czy był szczęśliwy – powiedział. – Wcześniej każdy prowadzi swą łódź, najlepiej jak potrafi. Idź swoją drogą, Eliazszu. To wszystko.

– Drogą, która prowadzi donikąd – wyszeptał Eliazsz, nie przestając myśleć o Marii.

– A, to co innego. To całkiem inna sprawa i jeśli temu nie przeciwdziałasz, sam będziesz sobie winny.

– Winny czego? Raczej przeklęty!

– Winny, że nie doprowadziłeś swego życia tak daleko, jak mogłeś – ciągnął don Salvatore. – Zapomnij o szczęściu. Zapomnij o losie. I przełam się, Eliazszu. Staraj się z wszystkich sił. Do końca. Bo na razie niczego nie zrobiłeś.

Po tych słowach starzec pomarszczoną dłonią kalabryjskiego chłopca poklepał Eliasza po ramieniu i oddalił się, zostawiając go samego. Eliaz wci ż rozmy lał nad tym wszystkim. Proboszcz m wił prawd . Przeci ż nic nie zrobił. Nic. Jego pierwszym prawdziwie m skim czynem była wizyta u Gaetana i pro ba o r k  Marii, ale nawet tam poszedł ze spuszczon  g w , z g ry pobity. Ksi dz mi  racj . Eliaz niczego nie dokonał. I nadszedł czas, by si  wreszcie przełamać. Siedział sam na tarasie „Da Pizzone”. Machinalnie obracał łyżeczk  w filiżance kawy i przy ka dym obrocie mrucał jak zahipnotyzowany: „Maria, Maria, Maria...”

Po rozmowie z don Salvatore Eliaz postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia. Tak czy owak, nie miał wyboru. Nie spał. z nikim nie rozmawiał. Wiedział, że jeśli nic się nie zmieni, wystarczy miesiąc, a oszaleje zupełnie i skoczy z wysokości falez do morza, które nie oddaje ciała. Nie miał pojęcia, co zrobić, jak znaleźć się z Marią sam na sam. Nie mógł się do niej zbliżyć, ani na plaży, ani w kawiarni, zawsze była w towarzystwie. Postąpił więc tak, jak postępują zabójcy czy ludzie zdesperowani, któregoś dnia zaczął ją śledzić, kiedy wracała z zakupów. A gdy znalazła się w wąskiej uliczce starej części wioski, gdzie tu i ówdzie snuły się tylko ospałe koty, zbliżył się szybko jak cień, chwycił ją za ramię i powiedział z obłędem w oku, jakby miał gorączkę:

– Mario...

– Czego chcesz? – ucięła krótko i nawet nie zadrżała, jak gdyby wyczuła jego obecność za plecami.

Oschły ton jej głosu sprawił, że całkiem stracił głowę. Patrzył w ziemię, potem podniósł na nią oczy. Była piękna jak na obrazku. Poczuł, że się czerwieni, to go rozwścieczyło. Była tak blisko. Mógł jej dotknąć. Objąć. Lecz patrzyła tak, że czerwienił się i nie mógł wykrztusić słowa. Muszę zacząć, powtarzał sobie w duchu. Przełam się. Trzeba wszystko powiedzieć. Jeśli zacnie drwić ze mnie i przekomarzać się jak kot z myszą, trudno.

– Mario. Dzisiaj chcę porozmawiać z tobą, nie z twoim ojcem. Masz rację. Byłem idiotą. Powiedziałaś mi, że bierzesz wszystko. Pamiętasz? Tak właśnie powiedziałaś. Biorę wszystko. Cóż, przyszedłem ci powiedzieć, że wszystko należy do ciebie. Daję ci wszystko. Choćby ostatni grosz. Ale i to za mało. Inni mogą ci oferować więcej, bo nie jestem najbogatszy, ale nikt jak ja nie da ci wszystkiego, co posiada. Nie chcę niczego dla siebie. Możesz wziąć wszystko.

Mówiąc to, zapalał się, a jego oczy się śmiały, lśniły chorym blaskiem, który czynił go brzydkim. Maria stała wyprostowana. z niewzruszoną twarzą. Patrzyła na Eliasza, jakby chciała przejrzeć go na wylot.

– Rzeczywiście jesteś synem sklepikarzy – powiedziała z pogardliwym uśmiechem. – Pieniądze. To wszystko, co masz do zaoferowania. Czy wyglądam na paczkę papierosów, że próbujesz mnie kupić? Chcesz sobie kupić żonę. Tylko kurwy i kobiety z Mediolanu kupuje się

za złotą biżuterię. Ale nic innego nie potrafisz. Tylko kupować. Odejdź, daj mi przejść. Poszukaj sobie żony na bydlęcym targu, zapłać, ile trzeba, tak czy owak, jestem dla ciebie za droga.

Po tych słowach ruszyła swoją drogą. Gwałtownym, bezwiednym gestem Eliazs chwycił ją za ramię. Zbladł. Wargi mu drżały. Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił. Ale trzymał ją mocno. Dwie myśli walczyły w jego głowie. Jedna mówiła mu, że trzeba ją zaraz puścić. Że to wszystko jest śmieszne. Puścić i przeprosić. Lecz jakiś ślepy instynkt kazał mu mocno trzymać ramię. „Mógłbym ją zgwałcić – powtarzał w duchu. – Tu. Na ulicy. Teraz. Zgwałcić. Nieważne, co stanie się potem. Jest tak blisko. Jej ramię. Tu. Wyrywa się. Ale nie ma dość siły. Mógłbym ją pojąć. Tylko tak będzie moja, nigdy nie wyjdzie za mnie za męż...”

– Puść mnie – ten rozkaz zabrzmiał w uszach jak strzał z bicia. Natychmiast zwolnił uścisk. I nim zdołał dojść do siebie, nim zdążył się uśmiechnąć, prosić o wybaczenie, zniknęła. Jej głos zabrzmiał tak stanowczo, tak władczo, że usłuchał od razu. Ich spojrzenia spotkały się po raz ostatni. Oczy Eliazsa były puste jak oczy narkomana czy lunatyka. Gdyby panował nad sobą, musiałby zauważyć, że oczy Marii się śmieją, przecząc chłodnemu tonowi głosu. W tym spojrzeniu rodziło się pożądanie, jak gdyby kontakt dłoni z jej ramieniem przekonywał ją bardziej niż jakiegokolwiek słowa. Ale Eliazs nic takiego nie zobaczył. Stał na uliczce bezsilny. Zmieszany, że w ten sposób skończyła się rozmowa, której tak bardzo pragnął.

Gdy wszedł do kościoła, don Salvatore palił właśnie papierosa, co zdarzało mu się nader rzadko, choć zawsze znajdował w tym wielkie upodobanie. Dym przypominał mu życie w Kalabrii, jeszcze przed seminarium, gdy w wieku dwunastu lat wraz z przyjaciółmi popalali papierosy, które udało się podkraść starszym.

– Co się stało? – Don Salvatore wystraszył się nie na żarty, gdy ujrzał twarz Eliazsa.

– Jestem skończony – odpowiedział Eliazs i przełamując wstyd, po raz pierwszy zaczął zwierzać się komuś ze swej miłości. Opowiedział o nocach, które spędzał, myśląc tylko o niej. Prawdziwa obsesja. Mówił, jak na jej widok traci rezon. Proboszcz słuchał przez chwilę, po czym, gdy wydawało mu się, że wie już dosyć, unióś dłoń, by przerwać Eliazsowi, i powiedział:

– Posłuchaj mnie, Eliazsu. Pomagam ludziom, gdy umrze ktoś bliski, bo znam się na modlitwach. Pomagam ludziom w wychowaniu dzieci, bo sam po śmierci brata opiekowałem się bratanicami, ale jeśli idzie o kobiety, nie, tu nic nie mogę poradzić.

– Jak to? – zawołał zrozpaczony Eliazs.

– Cóż, pochodzę z Kalabrii – ciągnął don Salvatore. – w Kalabrii zaś, gdy ktoś cierpi z miłości, zaczyna tańczyć tarantelę. Coś zawsze z tego wynika. Szczęście albo tragedia.

Don Salvatore nie tylko podsunął Eliaszowi myśl o taranteli, dał mu też nazwisko pewnej kobiety, mieszkającej w starej wiosce, kobiety z Kalabrii, która się nim zajmie, gdy stanie u jej drzwi o północy, z puszką oliwy w dłoni.

Tak też uczynił Eliasz. Pewnego wieczoru zapukał do drzwi domku. Czekał w nieskończoność, nim się otworzyły. Ujrzał małą staruszkę o twarzy pomarszczonej jak ziemiak. O świdrującym spojrzeniu. Wiotkich wargach. Eliasz pomyślał, że nigdy jej tu nie widział. Wymamrotała parę słów, których nie zrozumiał. Nie był to ani włoski, ani dialekt z okolic Montepuccio. Może kalabryjska gwara. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Eliasz podał jej puszkę oliwy. Oblicze starej rozjaśniło się. Przenikliwie pisnęła: „Tarantela”, jakby to słowo wprawiało ją w zachwyty, po czym otworzyła drzwi.

W domu była tylko jedna izba – jak często w starych domach. Słomiana mata. Piec. Wiadro. Za podłogę służyła ubita ziemia. Wszystko wyglądało tak, jak w domu Raffaela, w porcie, gdzie Scortowie mieszkali po powrocie z Nowego Jorku. Staruszka bez słowa postawiła na stole butelkę likieru, kazała mu się obsłużyć i wyszła. Eliasz usłuchał. Siadł do stołu i napełnił kieliszek. Sądził, że pije grappę albo limoncino, lecz smak alkoholu nie miał nic wspólnego z tym, co znał. Wypił kieliszek i nalał sobie drugi, z nadzieją że uda mu się rozpoznać trunk. Likier spływał po gardle gorący niczym lawa. Miał smak kamieni. „Gdyby skały Południa można było pić, musiałyby smakować tak samo” – powtarzał w duchu Eliasz przy trzecim kieliszku. Jak wycisnąć głązy leżące na wzgórzach, by otrzymać taki nektar? Poddał się działaniu gęstego, mocnego trunku. Nie myślał o niczym. Wtedy w drzwiach ukazała się mała staruszka w towarzystwie mężczyzny, ślepego, jeszcze starszego od niej. Jego także Eliasz nigdy nie widział. Był żylasty i chudy. Równie niski, jak kobieta. Siadł w kącie, ujął w dłoń tamburyn i naraz dwoje starców zaczęło śpiewać pradawną tarantelę, zrodzoną z tej słonecznej ziemi. A Eliasz chłonał przedwieczne strofy, mówiące o szaleństwie mężczyzn i żądłach miłości. Głos staruszki się zmienił. Miała głos dziewicy, nosowy i wysoki, od którego drżały mury. Starzec uderzał stopą w ziemię, a palce jak szalone waliły w tamburyn. Jego głos zmieszał się z głosem starej. Eliasz nalał sobie kolejny kieliszek. Zdawało mu się, że smak likieru się zmienił. Nie był to już kamień wyciśnięty pod prasą, raczej odpryski słońca. *Solleone*, „lew słońce”, tyran letnich

miesiący. Likier czuć było potem, spływającym po plecach ludzi pracujących w polu. Czuć go było pospiesznym sercem jaszczurki, bijącym tuż przy skale. Czuć było spękaną ziemią, która błaga o kroplę wody. *Solleone*, cała moc niewzruszonej gwiazdy, oto co Eliasza miał w ustach.

Mała staruszka znalazła się nagle na środku izby i zaczęła tańczyć. Zapraszała Eliasza. Wypił piąty kieliszek i wstał. W rytm ich śpiewów ruszyli do pajęczego tańca. Eliasza miał głowę pełną muzyki. Zdawało mu się, że w izbie jest dziesięciu muzykantów. Czuł całym ciałem, jak melodia wznosi się i opada. I pojmował jej głęboki sens. Kręciło mu się w głowie. Pot ściekał po plecach. Miał wrażenie, że całe jego życie spływa mu do stóp. Staruszka, której ruchy jeszcze przed chwilą wydawały się powolne i zmęczone, skakała teraz wokół niego. Wszędzie jej było pełno. Obiegała go wkoło. Nigdy nie tracąc go z oczu. Słała mu brzydki uśmiech zwiędłego owocu. Już rozumiał. Tak. Teraz rozumiał wszystko. Poczł w żyłach gorącą krew. Ta stara, wykrzywająca bezzębne usta, była obliczem losu, który tak często naigrawał się z niego. Przytupywała w gorączkowym szale. Zamknął oczy. Nie patrzył na ruchy starej, tańczył. Muzyka, rytmiczna i odurzająca, napełniała go szczęściem. W tych odwiecznych skargach słyszał jedyną głęboką prawdę. Tarantela zawiadnęła nim, jak opanowuje wszystkie zagubione dusze. Czuł w sobie siłę olbrzyma. Świat był na wyciągnięcie ręki. Czuł się jak Wulkan w gorącej jaskini. Każdy krok miotał iskry. Naraz usłyszał jakiś głos. Głos staruchy. A może samej muzyki. Albo głos wypitego likieru. Ale mówił to samo. Powtarzał w nieskończoność, w rwanym rytmie muzyki:

– Idź, idź naprzód, tarantela pójdzie z tobą, zrób, co masz zrobić.

Eliasza obrócił się ku drzwiom. Zdziwił się, że są otwarte. Nie spojrzł w stronę starców. Niósł tę muzykę w sobie. Rozbrzmiewała z całą mocą starożytnych procesji.

Wyszedł z domu i krążył po labiryncie uliczek jak szaleniec. Była czwarta rano i nawet nietoperze spały.

Szedł bez celu, aż znalazł się przed trafiką, na korso. Czuł w sobie gorącą krew. Pocił się cały. Ziemia wirowała pod stopami, a uszy łaskotał śmiech starej kobiety. Słuchając taranteli, która ukłuła go w serce i wysysała krew, wszedł do trafiki, otworzył składzik i podłożył ogień pod skrzynkę z papierosami. Po czym, zostawiając za plecami strzelające w górę płomienie, wyszedł i usiadł na chodniku naprzeciwko, by podziwiać spektakl. Ogień rozprzestrzenił się szybko. z magazynu zaczął wydobywać się gęsty dym. Wkrótce płomienie zaatakowały ładę.

z miejsca, w którym siedział Eliasz, w pierwszej chwili można było odnieść wrażenie, że w środku ktoś zapalił światło. Później to światło stało się bardziej pomarańczowe i pokazały się płomienie, liżące ściany i tańczące na znak zwycięstwa. Eliasz zaczął krzyczeć jak wariat i śmiać się w głos. Miał w sobie ducha rodu Mascalone i ten śmiech był śmiechem zniszczenia i nienawiści, przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Tak. Niech wszystko spłonie. Do diabła z tym. Papierosy i pieniądze. Jego życie i dusza. Wszystko może się spalić. Śmiał się na całe gardło i tańczył w blasku pożaru w szalonym rytmie taranteli.

Trzaskający ogień i zapach płomieni zbudziły wkrótce sąsiadów, którzy wybiegli na ulicę. Pytali, co się stało, a że Eliasz nie odpowiadał, tylko patrzył pustym wzrokiem szaleńca czy głupca, uznali, że to wypadek. Jak można było sobie wyobrazić, że on sam podpalił trafikę? Ludzie zaczęli się organizować, biegli po gaśnice. Na ulicy gromadził się gęsty tłum. Wtedy właśnie zjawiła się Carmela, z bladą twarzą, z włosami w nieładzie. Była jak nieprzytomna i nie mogła oderwać oczu od spektaklu płomieni. Widząc, jak biedna kobieta chwieje się na nogach, wszyscy zrozumieli, że to nie sklep płonie, ale całe jej życie, dziedzictwo całego rodu. Na twarze ludzi padł smutek, jak w dzień kataklizmu. Później litościwi sąsiedzi odprowadzili Carmelę do domu, by oszczędzić jej przygnębiającego widowiska. Nie było żadnej potrzeby, żeby tu została. Była to dla niej zbyt ciężka tortura.

Na widok matki Eliasz nagle otrzeźwiał. Euforia ustąpiła miejsca głębokiemu przygnębieniu. Wołał w stronę tłumu:

– Czujecie? Czujecie ten dym? To pot mojej matki. Nie czujecie? i pot jej braci.

W końcu mieszkańcy Montepuccio ugasiли ogień. Pożar nie rozprzestrzenił się na sąsiednie domy, ale z trafiki nie pozostało nic. Eliasz był załamany. Teraz widowisko nie miało już w sobie nic z hipnotycznego piękna płomieni. Było odrażające i przykre. Spośród kamieni wydobywał się dym, czarny i duszący. Usiadł na chodniku. Tarantela ucichła. Już się nie śmiał. Wzrokiem szaleńca kontemlował kłęby dymu.

Mieszkańcy Montepuccio zaczęli się już rozchodzić, kiedy zjawiła się Maria Carminella. Miała na sobie biały szlafrok. Czarne włosy opadały jej na ramiona. Widział ją, jak pojawia się niczym duch. Szła w jego kierunku. Wykrzesał z siebie resztkę sił, by wstać. Nie

miął pojęcia, jak się zachować. Wskazał tylko palcem dogasającą trafikę. Uśmiechnęła się do niego, jak nigdy przedtem, i spytała szeptem:

– Co się stało?

Eliasz nie odpowiedział.

– Wszystko poszło z dymem?

– Wszystko – potwierdził.

– Co teraz możesz mi ofiarować?

– Nic.

– To dobrze – powiedziała Maria. – Jeśli tego chcesz, jestem twoja.

Dni, które nastąpiły po pożarze, były pełne mozołu. Należało uprzątnąć zgliszcza, uporządkować lokal, ocalić to, co można było ocalić. Najdzielniejsi z ludzi woleliby nie podejmować się tego niewdzięcznego zadania. Było to beznadziejne. Czarne ściany, gruz na podłodze, spalone skrzynki, wszystko sprawiało, że sklep wyglądał niczym miasto zniszczone w wojennej pożodze. Lecz Eliasz dzielnie przetrzymał tę próbę i najwyraźniej zbytnio się nie przejął. Prawda była taka, że miłość do Marii odsunęła wszystko na drugi plan. Myślał tylko o niej. Trafika była mniej ważna. Miał u boku kobietę, której pragnął, reszta nie miała znaczenia.

Maria zrobiła dokładnie tak, jak obiecała. Zamieszkała w domu Eliasza. Nazajutrz po pożarze, przy kawie, Eliasz oświadczył:

– Nie spałem całą noc, Mario. Ale to nie pożar nie pozwalał mi zasnąć. Musimy się pobrać. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że nigdy nie będę bogaczem jak twój ojciec. Wiesz, co ludzie powiedzą? Że poślubiłem cię dla pieniędzy twojego ojca.

– Drwię sobie z tego, co powiedzą – odpowiedziała ze spokojem Maria.

– Ja też. Ale najbardziej boję się samego siebie. Maria, niespokojna, podniosła oczy na swego mężczyznę. Nie rozumiała, do czego zmierza.

– Wiem, jak to się skończy – ciągnął. – Ożenię się z tobą. Twój ojciec zaproponuje, bym zarządzał hotelem „Tramontane”. Zgodzę się. I będę spędzał popołudnia z przyjaciółmi, grając w karty przy basenie. To nie dla mnie. Scortowie nie są do tego stworzeni.

– Ale nie jesteś Scortą.

– Owszem, Mario. Bardziej Scortą niż Manuziem. Czuję to. Tak już jest. Odziedziczyłem po matce czarną krew Mascalzone. Jestem Scorta. Który musi spalić to, co kocha. I zobaczysz, że podpalę hotel „Tramontane”, jeśli któregoś dnia wejdę w jego posiadanie.

– To ty podпалиłeś trafikę?

– Tak.

Maria milczała przez chwilę. Potem powiedziała cicho:

– Do czego stworzeni są Scortowie?

– Do wylewania potu – odpowiedział Eliasz.

Płynął czas. Maria zastanawiała się, co to wszystko znaczy. Próbowała wyobrazić sobie przyszłe lata. Ogarnąć myślą życie, jakie proponował jej Elias, potem uśmiechnęła się łagodnie i z wyższością pełną dumy odpowiedziała:

– Niech będzie i pot.

Eliasz patrzył na nią poważnie. Dodał jeszcze, jakby chciał się upewnić, czy przyszła żona dobrze go zrozumiała:

– O nic nikogo nie będziemy prosić. Niczego nie przyjmujemy. Będziemy żyć sami. Tylko ty i ja. Nie mam ci nic do zaoferowania. Jestem łapserdakiem.

– Po pierwsze musimy uprzętnąć trafikę, żeby było przynajmniej gdzie postawić skrzynki – powiedziała.

– Nie – uśmiechnął się Elias. – Po pierwsze musimy się pobrać.

Ślub odbył się kilka tygodni później. Don Salvatore pobłogosławił związek. Potem Eliasz zaprosił gości na wielki festyn na *trabucco*. Michele, syn Raffaella, umieścił długi stół pośród sieci i krząków linowych. Zjawiła się cała rodzina. Uroczystość była prosta i radosna. Jedzenia w bród. Pod koniec posiłku Donato wstał, uśmiechając się pod nosem, poprosił o ciszę i zaczął mówić:

– Ożeniłeś się dziś, mój bracie – stwierdził. – Siedzisz tu, wystrojony w garnitur. Nachylasz się do ucha żony, by jej szepnąć słówko. Wznosisz toast za zdrowie gości i wszystko to bardzo piękne. Piękne są proste radości. Jakże bym chciał, żeby życie pozwoliło wam pozostać takimi, jakimi jesteście teraz, niewinni, młodzi, pełni pragnień i sił. Byście mogli iść przez lata, nie zmieniając się. By życie oszczędziło wam swoich grymasów. Dziś mogę patrzeć na was. Przyglądać się wam z nadzieją. I gdy nadejdą ciężkie chwile, gdy zapłacę nad własnym losem, gdy przeklnę to pieszkie życie, przypomnę sobie tę chwilę, wasze twarze, które rozjaśnia radość, i powiem sobie: Nigdy nie przeklinaj życia, nie narzekaj na los, wspomnij na Eliasza i Marię, którzy byli szczęśliwi, przynajmniej ten jeden dzień w życiu, a ty tego dnia siedziałeś u ich boku.

Wzruszony Eliasz objął brata. Wówczas dwie kuzynki, Lucrezia i Nicoletta, zanuciły ludową pieśń Apulii, której refren wszystkie kobiety zaśpiewały chórem: *Aïe aïe aïe, Domani non mi importa per niente. Questa notte devi morire con me!*¹⁰

Zgromadzeni wybuchnęli śmiechem. Scortowie poddali się urokowi chwili i letni wieczór ciągnął się jeszcze długo przy szklance chłodnego wina.

Parę miesięcy później mieszkańcy Montepuccio mogli obserwować niezwykle zjawisko. Od końca lat pięćdziesiątych w miasteczku były dwa sklepy z tytoniem: obok trafiki Scortów powstała jeszcze jedna. Obie rodziny szanowały się. Pracy starczało dla wszystkich, a duch konkurencji nigdy ich nie poróżnił. Nie dało się tego powiedzieć o niezliczonych punktach sprzedaży, jakie powstały na kempingach, w hotelach, w letnich rezydencjach i w nocnych klubach. Oficjalnie sprzedawano tam ledwie parę paczek, by wspomóc klienta w potrzebie, lecz w niektórych przypadkach były to w istocie nielegalne punkty sprzedaży.

Eliasz i Maria nie mieli dość pieniędzy, by przeprowadzić niezbędne prace i na nowo otworzyć lokal. Początkowo handlowali tytoniem niczym uliczni sprzedawcy.

Najdziwniejsze było to, że ludzie z miasteczka nie chcieli kupować papierosów gdzie indziej. W niedzielę turyści ze zdumieniem przyglądali się długiej kolejce przed najbardziej zaniedbanym, najbrzydszym sklepem na korso. Nie było szyldu, nie było lady, nawet kasy. Tylko cztery ściany. Dwa krzesła i skrzynki z tytoniem, stojące wprost na podłodze, w których Eliasz zanurzał rękę. W letnie wieczory sprzedawał wręcz na chodniku, podczas gdy Maria myła ściany w środku. A mimo to mieszkańcy Montepuccio wystawali w kolejce. I nawet gdy Eliasz stwierdzał, że tej marki akurat nie ma (nie mogąc za wiele kupować, ograniczał się do kilku najbardziej znanych), zdarzało się, że klient mówił z uśmiechem: „Wezmę, co masz!” i wyciągał portfel. Za tym odruchem solidarności czuło się rękę don Salvatore. To on, dzień po dniu, podczas mszy, nakłaniał parafian do sąsiedzkiej pomocy. Rezultat przerósł jego oczekiwania.

Stwierdził z głęboką radością, że jego apele o braterstwo zostały wysłuchane, a gdy pewnego dnia przechodził przed trafiką i zobaczył, że szyld króluje znowu nad drzwiami, bąknął:

– Te świńskie łby może i nie wszystkie muszą trafić do piekła.

Właśnie tego dnia z Foggii przyjechał podświetlony szyld, na którym można było przeczytać: *Tabaccheria Scorta Mascalzone Rivendita n° 1*. Na pierwszy rzut oka nie różnił się od tego, który tu wisiał kiedyś. Od szyldu, który Carmela, Domenico, Giuseppe i Raffaele zawiesili tu z dumą w latach swej młodości. Wiedzieli to także mieszkańcy Montepuccio, przyglądający się

z satysfakcją witrynie, świadomi, że oni też w jakiś sposób przyczynili się do tego nieoczekiwanego odrodzenia.

W umyśle Eliasza dokonana się wielka przemiana. Po raz pierwszy czuł się szczęśliwy, pracował z zapałem. Nigdy jeszcze nie było tak ciężko. Wszystko było do zrobienia. A jednak coś się zmieniło. Teraz już nie dziedziczył, budował. Nie zarządzał dobrem, zostawionym przez matkę, z całych sił walczył, by życie jego żony było nieco lepsze, szczęśliwsze. Praca w trafice darzyła go szczęściem, które dobrze znała jego matka. Teraz rozumiał jej obsesję, tę nutę szaleństwa, z jaką opowiadała o sklepie. Wszystko było do zrobienia. Ale by do tego dojść, musiał zdobyć się na wysiłek. Tak. Życie nigdy dotąd nie zdawało mu się równie bogate i cenne.

Często rozmyślam o życiu, don Salvatore. Jaki to wszystko ma sens? Poświęciłam całe lata, żeby otworzyć trafikę. Dnie i noce. A gdy wreszcie wszystko było gotowe, kiedy mogłam spokojnie przekazać ją synom, zniknęła z powierzchni ziemi. Pamięta ksiądz pożar? Wszystko spłonęło. Płakałam z wściekłości. Wszystkie moje wysiłki całe noce pracy. Zwykły wypadek i wszystko poszło z dymem. Myślałam, że tego nie przeżyję. Wiem, że tego właśnie spodziewało się całe miasto. Stara Carmela nie przeżyje utraty sklepu. A jednak wytrzymałam. Dałam radę. Eliasz postanowił wszystko odbudować. Cierpliwie. To dobrze. Nie była to już tak do końca moja własna trafika, ale dobrze się stało. Moi synowie. Przywiązałam się do moich synów. Ale znów wszystko przewróciło się do góry nogami. Donato zniknął. Co dzień przeklinam morze, że mi go zabrało. Donato. Jaki to wszystko ma sens? Życie, które budujemy powoli, cierpliwie, z uporem, zapominając o sobie, całe to nasze życie może zmieść jeden podmuch niepomyślnego wiatru, wszystkie nadzieje na szczęście, marzenia giną w mgnieniu oka. Wie ksiądz, co jest w tym najdziwniejsze? Powiem księdzu. To, że ani pożar, ani zniknięcie Donata mnie nie pokonały. Każda matka by oszalała. Albo wolała umrzeć. Nie wiem, z jakiej gliny mnie ulepiono. Jestem twarda. Przetrzymałam to, don Salvatore. Wcale tego nie chcąc. Nie myśląc. To silniejsze ode mnie. Jest we mnie coś takiego, co chwyta się życia i przetrzyma wszystko. Tak. Jestem twarda.

Po pogrzebie Giuseppe zapadłam w milczenie. Siedziałam w ciszy całymi godzinami potem całymi dniami. Ksiądz to wie, był już wtedy ksiądz wśród nas. Z początku ludzie z zaciekawieniem komentowali tę dziwną niemotę. Snuli domysły. Później przywykli i bardzo szybko wszystkim zaczęło się wydawać, że Carmela Scorta nigdy nie mówiła. Żyłam na uboczu. Nie miałam już sił. Wszystko wydawało mi się takie jałowe. Całe miasteczko uznało, że Carmela jest bez Scortów niczym, że woli uciec przed życiem, niż żyć dalej bez braci. Mylili się, don Salvatore. Tak jak myślą się dzisiaj. Coś innego kazało mi milczeć przez wszystkie te lata. Coś, o czym nigdy nie opowiadałam.

W kilka dni po pogrzebie Giuseppe zjawił się u mnie Raffaele. Był ładny dzień. Od razu zwróciłam uwagę na jego czyste spojrzenie, jakby obmył oczy klarowną wodą. Pokrywał

uśmiechem mocne postanowienie. Wysłuchałam go. Mówił długo. Ani na chwilę nie spuszczał oczu. Mówił długo i pamiętam każde jego słowo. Powiedział, że jest Scorta i że z dumą przyjął to nazwisko. Nie rozumiałam, do czego zmierza, ale czułam, że po tej rozmowie wszystko ulegnie zmianie. Siedziałam bez ruchu. Słuchałam. Wziął głęboki oddech i powiedział wszystko za jednym zamachem. Zje w dniu, w którym pochowaliśmy Niemowę, płakał dwa razy. Pierwszy raz na cmentarzu, w naszej obecności. Płakał, bo, jak mi powiedział, okazaliśmy mu szacunek, prosząc, by został jednym z nas. Drugi raz wieczorem, w swoim łóżku. Płakał, gryząc poduszkę, żeby nikt nie słyszał. Płakał, ponieważ zgadzając się na to, zostając członkiem rodziny, stawał się moim bratem. A przecież nie o tym marzył. Po tym wyznaniu milczał długo. Pamiętam, że się modliłam, by nie powiedział nic więcej. Nie chciałam o niczym słyszeć. Chciałam wstać i odejść. Ale on mówił dalej: „Zawsze cię kochałem”. Właśnie to powiedział. Tego dnia. Spokojnie patrząc mi w oczy. Więc kiedy stał się moim bratem, przysiągł sobie, że będzie zachowywał się jak brat. Powiedział mi, że dzięki temu miał szczęście spędzić całe życie blisko mnie. Nie wiedziałam, jak zareagować. Mąciło mi się w głowie. Wciąż mówił. Powiedział, że czasem przeklina sam siebie, że wtedy na cmentarzu nie powiedział nie. Że nie wyrzekł się braterstwa i na grobie mej matki nie poprosił mnie raczej o rękę. Ale nie śmiał. Wyraził zgodę. Wziął łopate, którą mu ktoś podał. Stał się członkiem rodziny. „Tak bardzo chciałem powiedzieć wam tak” – stwierdził. I dodał: „Jestem Scortą, Carmelo, i nie potrafię powiedzieć, czy tego żałuję, czy nie”.

Mówił, nie spuszczał mnie z oczu. A kiedy skończył, czułam, że czeka na moje słowa. Milczałam. Wiedziałałam, że czeka. Nawet nie zadrżałam. Czułam w środku pustkę. Nie mogłam nic powiedzieć. Ani słowa. Nie czułam nic. Patrzyłam na niego. Czas upływał. Siedzieliśmy twarzą w twarz. Zrozumiał, że nie odpowiem. Poczekał jeszcze trochę. Miał nadzieję. Potem wstał powoli i rozstaliśmy się. Nie odezwał się już słowem i pozwoliłam mu odejść

Właśnie tego dnia zamilkłam na zawsze. Nazajutrz widzieliśmy się znowu i zachowywaliśmy się tak, jakby nic się nie stało. Życie toczyło się dalej. Ale już nie mówiłam. Coś się we mnie złamało. Cóż mogłam mu powiedzieć, don Salvatore? Życie minęło. Byliśmy starzy. Cóż mogłam mu odpowiedzieć? Należałoby zacząć wszystko od nowa, don Salvatore. Stchórzyłam. Należałoby zacząć od nowa, ale minęło tyle lat.

VIII

Zanurzone słońce

Kiedy Raffaele poczuł, że śmierć się zbliża, wezwał swego siostrzeńca. Donato zjawiał się niebawem i przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Stary mężczyzna nie mógł się zdecydować, by zacząć rozmowę. Nalał Donatowi kieliszek campari i patrzył, jak ten spokojnie popija. Omal nie zmienił zdania, lecz w końcu, pomimo obaw, że może z oczu siostrzeńca wyczytać niechęć czy oburzenie, zaczął mówić:

– Donato, wiesz, jak to się stało, że jestem twoim wujkiem?

– Tak, *zio* – odparł Donato.

– Opowiadano ci, jak zostaliśmy rodziną w dniu, w którym pomogłem wujom Mimi i Peppe pochować Niemowę.

– Tak, *zìo* – powtórzył Donato.

– i jak wyrzekłem się własnego nazwiska, które niewiele było warte, by przyjąć nazwisko Scortów.

– Tak, *zio*. Słyszałem o wszystkim.

Raffaele zamilkł. Jego chwila nadeszła. Przestał się bać. Spieszno mu było zrzucić kamień z serca.

– Muszę coś wyznać. Popełniłem zbrodnię.

– Jaką zbrodnię? – zapytał młody człowiek.

– Wiele lat temu zabiłem przedstawiciela Kościoła. Don Carlo Bozzoniego. Proboszcza z Montepuccio. Był to okropny człowiek, lecz zabijając go, zgubiłem własną duszę.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Donato, przerażony wyznaniem człowieka, którego uważał za najłagodniejszego z wujów.

– Sam nie wiem – wymamrotał Raffaele. – Stało się to tak nagle. Długo tłumiliłem wściekłość. Aż wreszcie wybuchła.

– Dlaczego wpadłeś we wściekłość?

– Jestem tchórzem, Donato. Nie patrz tak na mnie. Wierz mi, jestem zwykłym tchórzem. Nie śmiałem prosić o to, czego bardzo pragnąłem. I wzbierała we mnie złość. Dlatego nie wytrzymałem w zetknięciu z tym idiotą, proboszcz był niewart złamanego grosza.

– O czym ty mówisz?

– O twojej matce.

– O mojej matce?

– Nigdy nie ośmieliłem się poprosić, by została moją żoną.

Donato szeroko otworzył usta.

– Dlaczego mi to mówisz, ziół – zapytał.

– Ponieważ wkrótce umrę i zabiorę tę tajemnicę do grobu. Chcę, by choć jedna osoba wiedziała, co nosiłem w głębi serca przez całe moje życie.

Raffaele umilkł. Donato nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Przez jakiś czas zadawał sobie pytanie, czy powinien jakoś pocieszyć wuja, czy okazać dystans. Czuł tylko zdziwienie i pustkę. Nie miał nic do dodania. Ale wuj nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. Mówił, żeby wszystko zostało powiedziane, nie po to, by poznać opinię drugiego. Donato miał wrażenie, że ta rozmowa zmieni go bardziej, niż mógł się spodziewać. Wstał, nieco zakłopotany. Wuj przyglądał mu się długo i Donato czuł, że starzec niemal prosi go o wybaczenie, że uczynił z niego swego powiernika. Jak gdyby wolał zabrać te stare historie ze sobą. Objęli się czule i pożegnali.

Raffaele zmarł w kilka dni później pośród swych sieci, na *trabucco*, słysząc w dole szum morza. z lekkim sercem. W dniu pogrzebu trumnę niósł jego syn Michele, bratanek Vittorio i dwóch siostrzeńców, Eliaz i Donato. Była Carmela. Ze skupioną twarzą. Nie płakała. Stała wyprostowana. Gdy zobaczyła trumnę, dotknęła ust palcami i w ten sposób złożyła pocałunek na drewnie – a martwy Raffaele uśmiechnął się.

Na widok niesionej trumny wszyscy mieszkańcy poczuli, że są świadkami końca pewnej epoki. Nie był to pogrzeb Raffaella, lecz wszystkich Scortów Mascalzone. Grzebano właśnie stary świat. Świat, który zaznał malarii i dwóch wojen. Świat, który wiedział, co to emigracja i nędza. Grzebano stare wspomnienia. Ludzie są niczym. I nie pozostawiają po sobie śladów. Raffaele opuszczał Montepuccio i na widok pogrzebowego orszaku wszyscy mężczyźni zdjęli kapelusze i pochylili głowy, świadomi, że wkrótce na nich przyjdzie kolej i że drzewa oliwne po nich nie zapłaczą.

Wyznanie wuja zburzyło cały świat Donata. Odtąd patrzył na życie wokół zmęczonym spojrzeniem. Wszystko było nie tak. Dzieje rodziny układały się w łańcuch biednych, sfrustrowanych istnień. Ci mężczyźni i kobiety nie żyli tak, jakby chcieli. Wuj nigdy nie ośmielił się wyznać uczuć. Ileż innych skrytych zawodów kryło się w rodzinnej historii? Ogarnął go wielki smutek. Relacje między ludźmi wydały mu się nieznośne. Pozostał tylko przemyt. Poświęcił mu się ciałem i duszą. Zaczął niemal mieszkać na łodzi. Nie umiał być kimś innym: tylko przemytnikiem. Nie przywiązywał wagi do papierosów, równie dobrze mogła to być biżuteria, alkohol czy worki pełne bezwartościowych papierów, ważne były te nocne wyprawy, chwile nieskończonej ciszy i morska włóczęga.

Gdy zapadał wieczór, rzucał cumy i zaczynała się noc. Płynął na wyspę Montefusco, maleńką wysepkę u wybrzeży Włoch, na której krzyżowały się wszystkie przemytnicze szlaki. To tu Albańczycy wyładowywali kradziony ładunek i dokonywano wymiany. W drodze powrotnej jego łódź była ciężka od skrzynek z kartonami papierosów. Nocą bawił się w chowanego ze strażą przybrzeżną i śmieszyło go to, bo wiedział, że jest najlepszy i że nikt nigdy go nie złapie.

Zdarzało mu się pływać nawet do Albanii. Wówczas wynajmował kuter. Ale w głębi duszy nie lubił tych dalekich podróży. Nie, lubił wsiąść do swej rybackiej łodzi i płynąć wzdłuż wybrzeża, od zatoczki do zatoczki, niczym kot skradający się wzdłuż muru, w ciemności i tajemnicy.

Sunął po falach. W ciszy. Leżąc na dnie łodzi, poznawał drogę po gwiazdach. W owych chwilach był niczym. Zapominał o sobie. Nikt go nie znał. Nikt się nie odzywał. Był zagubionym w wodzie punktem. Maleńka drewniana łódź kołysała się na falach. Był niczym i pozwalał, by świat przenikał jego duszę. Nauczył się rozumieć mowę morza, nakazy wiatru, szum fal.

Tylko przemyt był ważny. Potrzebował całego nieba, pełnego świetlistych gwiazd, by poddać się melancholii. O nic nie prosił. Jedynie o to, by wolno mu było ślizgać się po wodzie, zostawiając za plecami całą ludzką wrzawę.

Coś było nie tak. Donato przybił do małej zatoczki na wyspie Montefusco. Była pierwsza nad ranem. Pod figowcem, gdzie zwykle czekał na niego Raminuccio ze skrzyniami pełnymi papierosów, nie było nikogo.

Głos Raminuccia rozległ się w ciemności, ni to krzyk, ni szept: „Donato, tędy!”

Coś było nie tak. Wolno wdrapywał się po szutrowym zboczach, mijając opuncje, aż dotarł do niewielkiej groty. Raminuccio stał u wejścia z latarką w dłoni. Za jego plecami widać było dwie siedzące na głazie sylwetki, nieruchome i milczące. Donato badawczo spojrzał na współnika, ten zaś pośpiesznie wyjaśnił:

– Bez obaw. Wszystko gra. Dziś nie mam papierosów, mam coś lepszego. Sam zobaczysz. Umowa jest taka sama. Zostawisz ich w zwykłym miejscu. Matteo po nich przyjedzie, taka jest umowa. Zgoda?

Donato skinął głową. Raminuccio wcisnął mu w dłoń gruby plik banknotów i szepnął z uśmiechem: Zobaczysz, to się opłaca bardziej niż papierosy.

Donato nie przeliczył, ale czuł po ciężarze, że suma jest trzy, może cztery razy większa niż zwykle.

Pasażerowie cicho zajęli miejsca w łodzi. Donato nie przywitał się z nimi. Zaczął wiosłować, by wypłynąć z zatoki. Była to kobieta, około dwudziestu pięciu lat, w towarzystwie syna, który mógł mieć jakieś osiem czy dziesięć. z początku Donato, zajęty wiosłowaniem, nie miał czasu im się przyjrzeć, ale wkrótce brzeg wyspy zniknął. Byli na pełnym morzu. Wtedy Donato włączył silnik i nie miał już nic innego do roboty, tylko przyglądać się swym pasażerom. Dzieciak położył głowę na kolanach matki i patrzył w niebo. Kobieta siedziała sztywno. Miała schludny wygląd. Po jej ubraniu i po silnych, spracowanych dłoniach widać było, że jest biedna, lecz jej twarz zachowała jakąś surową godność. Donato nie wiedział, jak się odezwać. Obecność kobiety na łodzi sprawiała, że był onieśmielony jak sztubak.

– Papierosa? – zapytał, wyciągając paczkę.

Kobieta uśmiechnęła się i pokazała ręką, że nie.

Donato ugryzł się w język. Papieros. Jasne, że nie chce. Zapalił, chwilę podumał, po czym powiedział znowu, wskazując na siebie palcem:

– Donato. A ty?

Kobieta odpowiedziała łagodnym głosem, który rozbrzmiał w nocnej ciszy.

– Alba.

Uśmiechnął się, kilka razy powtórzył słowo „Alba”, by pokazać, że rozumie i że podoba mu się to imię, potem nie wiedział już, co powiedzieć, i zamilkł.

Przez całą drogę przyglądał się ujmującej twarzy dzieciaka i czułym gestom jego matki, która przytulała syna do siebie, by się nie przeziębził. Najbardziej podobało mu się milczenie tej kobiety. Rozpierała go duma, choć nie bardzo wiedział czemu. Kierował się pewnie ku wybrzeżom Gargano. Żadna łódź straży nigdy ich nie znajdzie. Był najbardziej nieuchwytnym z przemytników. Nabierał chęci, by już tak pozostać, na łodzi, z kobietą i jej dzieckiem. Nigdy więcej nie przybijać do brzegu. Tej nocy po raz pierwszy poczuł tę pokusę. By już nigdy nie wrócić. Zostać tu. Pośród fal. Byle tylko noc nigdy się nie kończyła. Niezmierzona noc, przez całe życie, pod gwiazdami, ze skórą słoną od mżawki. Żyć w nocy, wożąc tę kobietę i jej syna po kolei do wszystkich kryjówek na wybrzeżu.

Niebo zaczęło się przejaśniać. Wkrótce było już widać wybrzeże Italii. Była czwarta rano. Donato przybił do brzegu wbrew samemu sobie. Pomógł kobiecie wysiąść, wziął dziecko w ramiona, potem, spoglądając na nią po raz ostatni, z pogodnym obliczem powiedział jej ciao i to słowo znaczyło dla niego wiele więcej. Chciał jej życzyć powodzenia. Powiedzieć, jak bardzo spodobała mu się ta podróż. Chciał powiedzieć, że jest piękna i że polubił jej milczenie. Że jej syn to dobry chłopak. Chciał powiedzieć, że pragnąłby znów ją zobaczyć, że będzie ją woził, kiedy tylko zechce. Lecz zdołał wymówić tylko ciao, z oczyma promieniującymi szczęściem i nadzieją. Był pewien, że rozumie, co kryje się za tym jednym słowem, lecz ona odpowiedziała tylko na to pozdrowienie i wsiadła do samochodu, który na nią czekał. Matteo wyłączył silnik i wysiadł, by przywitać się z Donatem, zostawiając dwójkę pasażerów na tylnym siedzeniu.

– Wszystko dobrze poszło? – zapytał Matteo.

– Tak – szepnął Donato.

Spojrzał na Mattea i poczuł, że może zadać mu pytania, których nie zdążył postawić Raminucciowi.

– Kim są ci ludzie? – zapytał.

– Uciekinierzy z Albanii.

– Gdzie jadą?

– Najpierw tu, później zabieramy ich ciężarówką do Rzymu. Stamtąd jadą wszędzie. Niemcy. Francja. Anglia.

– Ona też? – spytał Donato, który nie mógł pojąć, co ta kobieta może mieć wspólnego z siatką, o której mówi Matteo.

– To lepsze niż papierosy, co? – zapytał mężczyzna, nie odpowiadając na jego pytanie. – Gotowi są wypruć sobie żyły, byle opłacić podróż. Można żądać prawie tyle, ile się chce. Zaśmiał się, poklepał Donata po ramieniu, pożegnał się z nim, wszedł do samochodu i ruszył, aż spod opon prysnęły kamienie.

Donato stał na plaży jak zamurowany. Słońce majestatycznie wznosiło się do góry. Po wodzie tańczyły różowe iskry. Wyciągnął z kieszeni gruby plik pieniędzy i przeliczył. Dwa miliony lirów. Pomięte banknoty stanowiły ekwiwalent dwóch milionów lirów. Jeśli dodać do tego działkę Raminuccia, działkę Mattea oraz szefa całej siatki, młoda kobieta musiała zapłacić co najmniej osiem milionów. Donato poczuł wielki wstyd. I wybuchnął drapieżnym śmiechem, niczym Rocco Mascalone. Śmiał się jak opętany, bo nagle zrozumiał, że pozbawił tę kobietę jej ostatnich groszy. Śmiał się i myślał: „Jestem potworem. Dwa miliony. Zabrałem jej i jej synowi dwa miliony. Uśmiechałem się do niej, pytałem o imię, myślałem, że podoba się jej ta podróż. Jestem najędzniejszym z ludzi. Okraść kobietę, zabrać jej wszystko i ośmielić się później bawić ją rozmową. Tak, jestem nieodrodnym wnukiem Rocca. Bez czci i wiary. Niewart więcej niż inni. Jestem nawet gorszy. Znacznie gorszy. A teraz w dodatku bogaty. Trzymam w kieszeni pot czyjegoś życia i pójde do kawiarni, żeby to uczcić, i postawić kolejkę. Jej syn szeroko otwierał oczy i już widziałem, jak opowiadam mu o gwiazdach, o morzu. Hańba, dla mnie i całego rodu degeneratów, którzy noszą nazwisko złodzieja”.

Tego dnia Donato przestał być tym, kim był kiedyś. Jego oczy przesłonił cień, który zachowa aż do śmierci, jak inni bliznę na twarzy.

Donato znikał coraz częściej. Jego podróże trwały coraz dłużej. Bez słowa, bez wahania pogrążał się w samotności. Zachodził jeszcze czasem do kuzyna Michela, syna Raffaela, który spędzał często noce w małej drewnianej budce na *trabucco*. Michele miał syna: Emilia Scortę. To jemu Donato przekazał swe ostatnie słowa. Kiedy chłopak skończył osiem lat, Donato zabrał go ze sobą na łódź, jak uczynił to kiedyś dla niego wuj Giuseppe, i popłynęli na przejażdżkę w spokojnym rytmie wiosel. Słońce zanurzało się w morzu, prześwietlając grzbiety fal pięknym różowym blaskiem. Przez całą podróż chłopak milczał. Bardzo lubił wuja Donata, ale nie śmiał go o nic pytać.

W końcu Donato spojrzał na malca i powiedział łagodnym, poważnym głosem:

– Oczy kobiet są większe niż gwiazdy.

Chłopak przytaknął, nic nie rozumiejąc. Lecz nigdy nie zapomniał tego zdania. Donato chciał wypełnić przyrzeczenie Scortów. Przekazać swą wiedzę któremuś z członków rodziny. Długo się zastanawiał. Zadawał sobie pytanie, co właściwie wie, czego nauczył się w życiu. Jedyną rzeczą, jaka przychodziła mu do głowy, była owa noc spędzona z Albą i jej synem. Wielkie, czarne oczy Alby, w których zanurzał się z rozkoszą. Tak, gwiazdy wydały mu się maleńkie w porównaniu ze źrenicami kobiety, które hipnotyzowały nawet księżyc.

Były to ostatnie wymówione przez niego słowa. Scortowie nigdy go już nie zobaczyli. Nigdy więcej nie przybił do brzegu. Stał się ruchomym punktem między dwoma brzegami, łodzią płynącą przez noc. Przestał przewozić papierosy. Zaczął przemycić ludzi. z albańskiego wybrzeża na wybrzeże Apulii, bez ustanku, zabierał i wysadzał na brzeg obcokrajowców, przybywających w poszukiwaniu szczęścia: młodych, wychudłych ludzi, którzy patrzyli na włoskie wybrzeże łakomymi oczami. Młodych ludzi, których ręce nie mogły doczekać się pierwszej pracy. Dotrą do nowej ziemi. Będą wynajmować się do pracy, zginać grzbiet przy zbiorze pomidorów na wielkich plantacjach Foggii czy schylając głowę pod lampą w nielegalnych warsztatach Neapolu. Będą pracować jak zwierzęta pociągowe, godząc się, że wycisną tu z nich ostatnią kroplę potu, godząc się na jarzmo wyzysku i nieludzką władzę pieniądza. Wiedzieli to wszystko. Że ich młode ciała na zawsze naznaczą lata pracy zbyt ciężkiej,

by człowiek mógł ją udźwignąć, ale było im spieszno. I Donato widział w ich oczach zawsze ten sam niecierpliwy, zachłanny błysk na widok zbliżającego się włoskiego wybrzeża.

Cały świat podróżował jego łodzią. Ludzie ze wszystkich stron, niczym kolejne pory roku. Przychodzili do niego mieszkańcy wyniszczonych krajów. Zdawało mu się, że trzyma rękę na pulsie planety. Pochodzili z Albanii, Iranu, Chin, Nigerii. Wszyscy znaleźli miejsce na jego wąskiej łodzi. Zabierał ich z jednego brzegu na drugi i wracał. Nigdy nie zatrzymała go włoska straż. Sunął po falach niczym statek widmo, nakazując ludziom milczeć, gdy słyszał w oddali głos silnika. Do jego łodzi wsiadło wiele kobiet. Albanki, które znajdą miejsce w hotelach na wybrzeżu jako pokojówki lub we włoskich rodzinach jako opieka dla starców. Nigeryjki, które sprzedawały swe ciało na skraju drogi między Foggia i Bari, stojąc pod kolorową parasolką, by chronić się przed słońcem. Wycieńczone Iranki, dla których podróż dopiero się zaczynała, bo jechały o wiele dalej, do Francji albo do Anglii. Donato przyglądał im się. W milczeniu. Gdy któraś z tych kobiet podróżowała sama, starał się zawsze dać jej trochę pieniędzy, zanim wysiadła z łodzi. I za każdym razem gdy kobieta podnosiła na niego wielkie, zdumione oczy, szepcząc podziękowanie czy nawet całując w rękę, mówił: „To dla Alby”, i kreślił znak krzyża. Alba była jego obsesją. z początku myślał, że dowie się czegoś o niej od przewożonych Albańczyków, ale wiedział, że to na nic. Milczał. Wciskał w ręce samotnych kobiet pliki banknotów, które one same dały mu parę godzin wcześniej. To dla Alby. Dla Alby, powtarzał. I myślał: „Dla Alby, której odebrałem wszystko. Dla Alby, którą pozostawiłem w kraju, gdzie pewnie zrobiono z niej niewolnicę”. Zdarzało się, że któraś z tych kobiet muskała go palcem po policzku. By mu błogosławić i polecić niebu. Robiły to delikatnie, jakby miały do czynienia z dzieckiem, bo przecież czuły, że ten milczący mężczyzna, ten nocny przemytnik, tak naprawdę jest tylko dzieckiem, które rozmawia z gwiazdami.

Pewnego dnia Donato zniknął na dobre. Na początku Eliasz się nie niepokoił. Dwaj znajomi rybacy widzieli Donata. Słyszeli, jak śpiewa, nocą, jak to miał w zwyczaju, wracając ze swych tajemniczych wypraw. Dowodziło to, że Donato jest jeszcze gdzieś na morzu. Tylko zwleka z powrotem. Ale mijały tygodnie, później miesiące, wreszcie i Eliasz musiał się z tym pogodzić: jego brat zniknął.

To zniknięcie zostawiło w jego sercu żywą ranę. Czasem w bezsenne noce modlił się, by brata nie zabrała z sobą morska burza. Nie mógł znieść takiej myśli. Wyobrażał sobie ostatnie chwile wśród rozszalałych fal. Krzyki rozpacz. Zdarzało się, że płakał na myśl o tak żałosnej, samotnej śmierci, śmierci rozbitka, któremu pozostaje tylko przeżegnać się przed niezgłębionym brzuchem morza.

Donato nie zginął w burzy. W ostatnim dniu swego życia spokojnie sunął po wodzie. Fale łagodnie kołysały łódź. Słońce świeciło mocno i odbijało się w bezmiarze morza, paląc mu skórę na twarzy. „Byłoby dziwne spłonąć pośród wody – pomyślał. – Czuję sól. Wszędzie. Na powiekach. Na wargach. W gardle. Wkrótce na dnie łodzi zostanie tylko białe, pokurczone ciało. Sól wyciągnie ze mnie wodę, przeżre mięso, zakonserwuje jak rybę na straganie. Zjedzony przez sól, właśnie tak umrę. Lecz to powolna śmierć, mam dużo czasu. Ta woda wokół mnie może jeszcze płynąć”.

Popatrzył na wybrzeże, w dali, i pomyślał, że z łatwością mógłby tam jeszcze wrócić. Trzeba by sił, rzecz jasna, bo ciało miał słabe po tylu dniach bez pożywienia, ale jeszcze mógł. Wkrótce już nie. Wkrótce, choćby nie wiem co, wybrzeże będzie już tylko niedosięglą Unią i wtedy próba powrotu stałaby się koszmarem. To jak z ludźmi, którzy topią się w kilku centymetrach wody: głębokość nic nie znaczy, trzeba mieć siłę, by utrzymać głowę nad powierzchnią. Wkrótce nie będzie już w stanie. Na razie obserwował poszarpany brzeg swego kraju, który tańczył na horyzoncie, jak gdyby chciał się z nim pożegnać.

Krzyknął z całych sił. Nie po to, by wzywać pomocy, jedynie by zobaczyć, czy go jeszcze słychać. Pejzaż pozostał niezmienny. Nie zapaliło się żadne światło, żaden statek się nie

zbliżał. Nie odpowiedział mu głos brata. Nawet z oddali. Choćby przytłumiony. „Jestem daleko – pomyślał. – Ludzie już mnie nie słyszą. Czy mój brat ucieszyłby się, wiedząc, że to jego wzywałem, żegnając się ze światem?”

Czuł, że nie ma już sił, by wrócić. Przekroczył próg. Nawet gdyby ogarnęły go nagle wyrzuty sumienia, nie zdołałby zawrócić. Zadawał sobie pytanie, ile czasu upłynie, nim straci świadomość. Dwie godziny? Może więcej. A potem, by przejść z omdlenia do śmierci? Gdyby zapadła noc, wszystko potoczyłoby się znacznie szybciej. Lecz słońce wciąż stało na niebie i chroniło go. Obrócił łódź, by mieć je wprost przed sobą. Wybrzeże zostało za plecami. Już go nie widział. Musiała być piąta czy szósta po południu. Słońce zachodziło. Zniżało się nad morzem, by zasnąć. Słońce zostawiało na falach długi różowy i pomarańczowy ślad, w którym migotały grzbiety ryb. Wyglądało to jak droga, wiodąca przez wodę. Ustawił łódź na osi słońca, na środku świetlistej drogi. Teraz trzeba było już tylko płynąć naprzód. Do końca. Słońce wypaliło mu mózg, ale aż do końca nie przestawał mówić.

„Płynę. W eskorcie wielkiej ławicy ośmiornic. Ryby otaczają łódź, unosząc ją na łuskowa tych grzbietach. Oddalam się. Słońce wskazuje mi drogę. Muszę tylko iść za jego ciepłem i wytrzymać jego spojrzenie. Już mnie tak nie oślepia. Poznaje mnie. Jestem jednym z jego synów. Czeka na mnie. Razem zanurzymy się w wodzie. Jego wielka postrzępiona płomieniami głowa poruszy morze. Wielkie kłęby pary oznajmią tym, których opuszczam, że Donato nie żyje. Jestem słońcem... Towarzyszą mi ośmiornice... Jestem słońcem... Aż po kres morza...”

Wiem, jak skończę, don Salvatore. Domyślam się, jak będą wyglądały me ostatnie lata. Stracę pamięć. Proszę nic nie mówić. Już to księdzu wyjaśniałam, to się już zaczęło. Stracę rozeznanie. Pomylą mi się twarze i nazwiska. Wszystko się pomiesza. Wiem, że moja pamięć będzie jak czysta kartka i że już wkrótce niczego nie będę w stanie rozpoznać. Będę małą, wysuszoną staruszką bez wspomnień. Starą kobietą bez przeszłości. Wiem, jak to wygląda. Kiedy byliśmy dziećmi, jedna z sąsiadek popadła w starcze zdziecinnienie. Nie pamiętała imienia własnego syna. Patrzyła na niego i nie poznawała go. Bała się wszystkiego, co ją otaczało. Zapominała o całych połaciach swego życia. Ludzie patrzyli, jak włóczy się po ulicach niczym bezpański pies. Traciła kontakt ze światem. Żyła pośród fantomów. To właśnie mnie czeka. Zapomnę o otoczeniu i w myślach będę żyła w towarzystwie mych braci. Wspomnienia się zatrą. To dobrze. Ten sposób odejścia nawet mi odpowiada. Zapomnę o własnym życiu. Będę szła ku śmierci bez obaw i bez wahania. Nie będę miała czego oplakiwać. Osiągnę spokój. Zapomnienie uwolni mnie od trosk. Zapomnę, że miałam dwóch synów i że jednego mi zabrano. Zapomnę, że Donato nie żyje i że morze zatrzymało jego ciało. Zapomnę o wszystkim. Tak będzie mi łatwiej. Będę jak dziecko. Tak. To mi odpowiada. Rozpuszczę się powoli. Będę umierała każdego dnia po trochu. Przestaną być Carmelą Scortą, nawet o tym nie myśląc w dniu śmierci nie będę pamiętała, kim byłam. Nie będzie mi smutno opuszczać bliskich, staną się dla mnie obcymi.

Trzeba tylko czekać. To już jest we mnie. Powoli wszystko się zatrze.

Nigdy nie porozmawiam z wnuczką. Umrę, zanim dorośnie, a jeśli pożyje jeszcze trochę, zapomnę, co chciałam jej powiedzieć. Jest tego tyle. Wszystko się pomiesza. Wszystko mi się pomyli. Będę bełkotać. Będzie się mnie bała. Raffaele miał rację, trzeba powiedzieć wszystko. Ksiądz już wie. Proszę jej to przekazać, don Salvatore. Kiedy umrę lub gdy stanę się lalką, która zapomniła, jak się mówi, opowie jej ksiądz wszystko, zamiast mnie. Annie. Nie wiem, jaka będzie z niej kobieta, ale chciałabym, by miała coś ze mnie.

Proszę jej powiedzieć, don Salvatore, że jej babka była do pewnego stopnia córką starego Polaka o nazwisku Korní. Powie jej ksiądz, że postanowiliśmy pozostać Scortami i skupić się jak przy ogniu wokół tego nazwiska, żeby się ogrzać.

Wiatr unosi moje słowa. Nie wiem, gdzie je zanieśie. Rozrzuca je po wzgórzach. Ale proszę księdza, żeby zadbał o to, by przynajmniej niektóre z nich dotarły do niej.

Jestem taka stara, don Salvatore. Już skończyłam. Dziękuję, że ksiądz zechciał dotrzymać mi towarzystwa. Chce ksiądz wracać? Czuję się zmęczona. Proszę wracać do domu. Proszę się o mnie nie kłopotać. Zostanę tu jeszcze trochę, po raz ostatni przemyślę to wszystko. Dziękuję, don Salvatore. Do widzenia księdzu. Kto wie, czy księdza rozpoznam, kiedy się znów spotkamy? Noc jest ciepła. Przyjemna. Zostanę tutaj. Tak bym chciała, by wiatr zabrał mnie ze sobą.

IX

Trzęsienie ziemi

Jeszcze minutę wcześniej nie działo się nic, a życie toczyło się leniwie i powoli. Minutę wcześniej w trafice było pełno ludzi, jak w każdy dzień od początku lata 1980 roku. W miasteczku było mnóstwo turystów. Kempingi na wybrzeżu pękały w szwach od ludzi, ściągających tu całymi rodzinami. Przez trzy miesiące lata Montepuccio zarabiała na cały rok. Liczba mieszkańców trzykrotnie wzrosła. Wszystko się zmieniło. Przyjeżdżały ładne, swobodne dziewczęta, prezentując najnowsze trendy mody z Północy. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Przez trzy miesiące życie w Montepuccio toczyło się w szalonym rytmie.

Jeszcze przed minutą na korso kłębił się radosny tłum, opalone ciała, eleganckie kobiety i roześmiane dzieci. Tarasy były przepełnione. Carmela patrzyła na nieprzerwany nurt turystów na korso. Była to teraz stara kobieta o zwiędłym ciele, z lukami w pamięci, spędzająca całe dni na małym wyplatany krzeselku pod ścianą trafiki. Stała się cieniem, jak to przeczuwała. Straciła pamięć i umysł ją zawodził. Była jak noworodek w pomarszczonym ciele. Zajmował się nią Elias. Zatrudnił do pomocy kobietę z miasteczka, która pomagała jej jeść i ubierać się. Nikt nie był w stanie z nią rozmawiać. Patrzyła na świat z niepokojem. Wszystko było dla niej zagrożeniem. Czasem jęczała, jakby ktoś wykręcał jej nadgarstki. Czasem ni stąd, ni zowąd ogarniało ją przerażenie. Zaczynała wówczas krążyć po ulicy. Na cały głos wołała swoich braci. Trzeba ją było cierpliwie uspokajać i przekonywać, by wróciła do domu. Zdarzało się, że nie rozpoznawała syna. Coraz częściej. Przyglądała mu się i mówiła: „Mój syn, Elias, zaraz po mnie przyjdzie”. W takich chwilach zaciskał zęby, żeby się nie rozpłakać. Nic nie można było zrobić. Potwierdzili to wszyscy lekarze, z którymi się konsultował. Można było jedynie towarzyszyć jej na powolnej drodze starczego niedołęstwa. Czas zjadał ją powoli i rozpoczął swą ucztę od głowy. Była jałowym ciałem, wstrząsanym spazmami myśli. Czasem jakieś nazwisko, jakieś wspomnienie świtało jej w głowie. Pytała wówczas, tym samym głosem, co kiedyś, o nowiny z miasteczka. Czy nie zapomniano podziękować don Salvatore, że przysłał owoce? Ile lat ma Anna? Elias przyzwyczał się do tych złudnych nawrotów przytomności. Były to tylko spazmy. Zaraz potem znów zanurzała się w głęboką ciszę. Nigdzie nie wychodziła bez opieki. Jeśli tylko została sama, gubiła się w miasteczku i zaczynała płakać w tej płątanie uliczek, których nie poznawała.

Nigdy nie wróciła na plac za kościołem, gdzie królował stary konfesjonał, zniszczony przez czas. Mijając don Salvatore, nie pozdrawiała go. Nie znała wszystkich tych twarzy.

Zdawało jej się, że otaczający świat wyrósł nagle nie wiadomo skąd. Nie była już jego częścią. Siedziała na wyplatanej krześle, szepcząc coś sama do siebie, wykręcając palce w stawach czy jedząc z radością dziecka prażone migdały, które dawał jej syn.

Jeszcze przed minutą tu była, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Słyszała wewnątrz trafiki głos Eliasza, który dyskutował z klientami, i ten głos wystarczał, by wiedziała, że jest na swoim miejscu.

Nagle miasteczko przeszedł dreszcz. Ludzie na ulicach stanęli w miejscu. Rozległ się głęboki pomruk. Nie wiadomo skąd. Słyszać go było wszędzie. Jak tramwaj, dudniący pod asfaltem. Kobiety pobladły, czując, jak ziemia się porusza pod ich letnimi pantoflami. Mury zadygotały. Szkło dzwięczało w szafkach. Lampy spadały wprost na stoły. Ściany falowały jak papierowe przepierzenia. Mieszkańcy Montepuccio mieli wrażenie, że zbudowali osadę na grzbiecie zwierzęcia, które budzi się i otrząsa po całych wiekach snu. Zaskoczeni turyści patrzyli w oczy miejscowym, z niemym pytaniem na ustach: „Co się dzieje?”

Nagle na ulicy rozległo się wołanie, do którego wkrótce dołączyły dziesiątki innych głosów: *Terremoto! Terremoto!*¹¹ Wówczas miejsce niedowierzania zastąpiła panika. Głośny pomruk zagłuszał wszystko. To ziemia drżała, tworząc wyrwy w asfalcie, zrywając elektryczność, rysując wielkie pęknięcia na ścianach domów, przewracając krzesła, zasypując ulicę gruzem i pyłem. Ziemia drżała z taką siłą, że wydawało się, iż nic nie jest w stanie tego powstrzymać. A ludzie byli znów niczym maleńkie owady, które biegają po powierzchni globu, modląc się, by ziemia ich nie pochłonięła.

Ale już pomruk zaczął słabnąć, a ściany przestały wibrować. Ledwie ludzie zdążyli nadać nazwę dziwnemu szaleństwu ziemi, a już wszystko ucichło. Spokój powrócił z zadziwiającą prostotą, niczym koniec burzy.

Całe Montepuccio wyległo na ulice. Jakiś instynkt kazał wszystkim wyjść z domów, jak najszybciej, z obawy, by nie stać się więźniami gruzów, gdyby ściany zawaliły się nagle w tumanie pyłu. Stali jak lunatycy. Spoglądali na niebo, nic nie rozumiejąc. Kobiety wybuchnęły płaczem, z ulgi czy ze strachu. Dzieci zaczęły krzyczeć. Wielki tłum na ulicach Montepuccio nie wiedział, co począć. Wszyscy przyglądali się sobie nawzajem, szczęśliwi, że żyją, ale wciąż

odczuwając wewnętrzne drżenie. To nie ziemia grzmiała tym razem w ich wnętrzach, lecz strach, który się obudził i sprawiał, że szczękali zębami.

Nim na ulicach rozbrzmiały krzyki i wołania – nim każdy policzył bliskich, nim zaczęto komentować owo zrządzenie losu w ogólnym rozgardiaszu – Eliaz wyszedł z trafiki. Podczas wstrząsu był w środku. Nie miał czasu pomyśleć o niczym, nawet o rychłej śmierci. Wybiegł na ulicę. Rozejrzał się po chodniku i zaczął wołać: „Miuccia! Miuccia!” Ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Bo w tym samym czasie całe korso napełniło się wrzawą i nawoływaniem. I głos Eliasza zginął w gwarze tłumu, który na nowo rodził się do życia.

Carmela szła powoli ulicami pokrytymi pyłem. Szła wytrwale, co nie zdarzyło się jej już od dawna. Wstąpiły w nią nowe siły. Torowała sobie drogę między ludźmi, omijała pęknięcia w jezdni. Mówiła cicho sama do siebie. Wszystko jej się mieszało. Trzęsienie ziemi. Bracia. Stary Korn i na łożu śmierci. Przeszłość wypływała na powierzchnię niczym gorąca lava. Przeskakiwała z jednego wspomnienia na drugie. Ni stąd, ni zowąd w jej głowie pojawiał się cały tłum twarzy. Przestała zwracać uwagę na otoczenie. Na ulicy kobiety wołały ją po imieniu, pytały, czy wszystko w porządku, czy kataklizm niczego u nich nie uszkodził, ale nie odpowiadała. Szła naprzód z uporem, pogrążona w myślach. Szła w górę via dei Suplicii. Ulica była stroma i Carmela parę razy musiała się zatrzymać, by zaczerpnąć tchu. Podczas tych pauz kontemplowała miasteczko. Widziała mężczyzn stojących na ulicy z podkasanymi rękawami, którzy badawczo przyglądali się murom, szacując rozmiar szkód. Widziała dzieci, zadające pytania, na które nikt nie potrafił odpowiedzieć. Dlaczego ziemia zadrżała? Czy znowu zadrży? a że matki nie odpowiadały, zrobiła to za nie, ona, która nie mówiła już od tak dawna. „Tak, ziemia znów zadrży. Ziemia zadrży. Bo martwi odczuwają głód” – powiedziała cicho.

Po czym ruszyła dalej, zostawiając za plecami miasteczko i wrzawę. Dotarła do końca via dei Suplicii i skręciła w prawo, na drogę do San Giocondo, by dojść do bramy cmentarza. Właśnie tu zmierzała. Podniosła się z krzesła z jedną myślą w głowie: pójść na cmentarz. Wydawała się spokojna, kiedy pchnęła kratę. Na pomarszczonej twarzy pojawił się ostatni paniński uśmiech.

W chwili gdy Carmela szła cmentarną alejką, nad Montepuccio zaległa wielka cisza. Jak gdyby wszyscy mieszkańcy wpadli nagle na tę samą myśl. Jakby ten sam strach ogarnął umysły i jedno słowo było na wszystkich ustach. „Wtórny wstrząs”. Po każdym trzęsieniu następuje drugie. To nieuniknione. Będzie wtórny wstrząs. Wkrótce. Nie ma się co cieszyć, nie warto wracać do domu, póki to się nie stanie. Toteż mieszkańcy Montepuccio trzymali się razem, na placu, na korso, w wąskich uliczkach. Niektórzy poszli po koce, po parę cennych przedmiotów, na wypadek gdyby ich dom nie przetrwał kolejnego ataku. I nastąpiło pełne niepokoju oczekiwanie.

Tylko Eliasz biegał tu i tam, gestykulował, przedzierał się przez tłum i na widok znajomych twarzy wołał: „Moja matka? Widzieliście moją matkę?” By zamiast odpowiedzi usłyszeć: „Siadaj. Zostań tu. Zaczekaj. Będzie drugi wstrząs. Zostań z nami”. Ale nie słuchał i kontynuował poszukiwania, jak zgubione w tłumie dziecko. Na placu usłyszał krzyk: „Widziałem twoją matkę. Szła na cmentarz”. I nie zastanawiając się nawet, kto przyszedł mu z pomocą, pobiegł we wskazanym kierunku.

Wtórny wstrząs był tak nagły, że Eliasz znalazł się z twarzą na ziemi. Leżał tak na środku ulicy. Czuł, jak ziemia drży. Kamienie przesuwają się pod jego brzuchem, pod nogami, czuł je pod dłońmi. Ziemia rozciągała się, kurczyła i wyczuwał każde jej drgnienie. Huk rezonował w jego kościach. Leżał tak przez kilka sekund, z czołem w pyłe, potem drżenie ustało. Było jak odległe echo minionej furii. Tym drugim ostrzeżeniem ziemia przypominała ludziom o swej obecności. Cały czas tu jest. Żyje pod ich stopami. I może pewnego dnia, z nudów czy wściekłości, wszystkich ich pochłoniąć.

Czując, że wrzawa cichnie, Eliasz wstał. Strużka krwi spływała mu po policzku. Upadając, rozbił sobie łuk brwiowy. Nawet nie ocierając krwi, ruszył biegiem w stronę cmentarza.

Kuta brama leżała na ziemi. Przeskoczył ją i ruszył główną aleją. Widział wszędzie dokoła uszkodzone nagrobki. Wzdłuż ziemi biegły długie szczeliny, niczym blizny na ciele śpiącego człowieka. Posągi pokruszyły się. Gdzieś w trawie leżały marmurowe krzyże. Przez cmentarz przeszedł wstrząs. Wyglądało to tak, jakby tabun wściekłych koni przemknął alejami, tratując posągi, wywracając urny i wysokie bukiety zasuszonych kwiatów. Cmentarz zapadł się niczym pałac postawiony na ruchomych piaskach. Eliasz dotarł do wielkiej szczeliny w ziemi, która przecinała w poprzek alejkę. Przyglądał się jej w ciszy. W tym miejscu ziemia jeszcze się nie zamknęła. Naraz uświadomił sobie, że nie ma już po co wołać matki. Wiedział, że już nigdy jej nie zobaczy. Pochłonięła ją ziemia. I nigdy jej nie odda. Przez chwilę jeszcze w gorącym powietrzu szukał zapachu matki.

Ziemia zadrżała i zabrała głęboko do swojego wnętrza stare, zmęczone ciało Carmeli. Cóż można było powiedzieć. Przeżegnał się i stał jeszcze długo z pochyloną głową, na cmentarzu Montepuccio, pośród rozbitych waz i otwartych grobów, czując pieszczotę ciepłego wiatru, który osuszał krew na policzku.

Anno, posłuchaj, to ja, stara Carmela, to ja do ciebie szepczę... Nie znasz mnie... Tak długo byłam niedołączoną staruszką, od której trzymałaś się z daleka... Nigdy się nie odzywałam... Nie rozpoznawałam nikogo... Anno, posłuchaj, tym razem wszystko ci opowiem... Jestem Carmela Scorta... Rodziłam się wiele razy, w różnych okresach mojego życia... Najpierw zrodziła mnie dłoń Rocca, gładząca moje włosy... Później, znacznie później, na pokładzie statku, którym wracaliśmy do naszej ubogiej ziemi, zrodziły mnie na nowo spojrzenia moich braci... Poczucie wstydu, które ogarnęło mnie w chwili, gdy wyciągnięto mnie z kolejki na Ellis Island, by postawie z boku...

Ziemia się otworzyła... Wiem, że zrobiła to dla mnie... Słyszę wołanie moich bliskich. Nie boję się... Ziemia się rozstąpiła... Wystarczy skoczyć w tę szczelinę... Dostanę się do środka ziemi, by do nich dotrzeć... Co za sobą zostawiam?... Anno... Chciałabym, by ktoś opowiedział ci o mnie... Posłuchaj... Zbliź się... Moje życie to nieudana podróż na kraniec świata... Moje życie to smutek u stóp największego z miast... Byłam wściekła, byłam przerażona, ale byłam też dzielna... Moje życie to ziemia wyschnięta od słońca i pragnienie morza.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć Raffaelowi, i wciąż płaczę... Anno... W moim życiu, do końca, pozostałam na zawsze tylko jednym, siostrą Scortów... Nie śmiałam związać się z Raffaelem... Jestem Carmela Scorta... Odchodzę... Niech mnie pochłonie ziemia...

X

Procesja świętego Eliasza

Eliasz obudził się późno, z ociężałą głową. Spał niespokojnie, gdyż nocą upał nie zelżał. Maria zrobiła mu kawę i poszła otworzyć trafikę. Wstał, z ciężką głową i spoconym karkiem. Nie myślał o niczym, jedynie że dziś znów będzie długi dzień: dzień świętego Eliasza, patrona Montepuccio. Chłodna woda dobrze mu zrobiła, ale ledwie wyszedł spod prysznica, ledwie zdążył włożyć białą koszulę, a już upał i wilgoć dawały się we znaki. Była dopiero dziesiąta rano. Zapowiadał się duszny dzień.

O tej porze taras przed domem był jeszcze w cieniu. Eliasz ustawił tam krzesło, by wypić kawę, z nadzieją na lekki przeciąg. Mieszkał w niewielkim białym domku, zwieńczonym kopułą z czerwonej dachówki. Typowym domu z Montepuccio. Taras był na parterze: ciągnął się aż do chodnika, oddzielony od niego barierką. Eliasz usiadł, sącząc kawę i próbując uporządkować myśli.

Na ulicy bawiły się dzieci. Mały Giuseppe, syn sąsiadki, dwaj bracia Mariotti i inne, które Eliasz znał z widzenia. Bawili się, strzelając na niby do bezpańskich psów, staczając bitwy z niewidzialnym wrogiem lub uganiając się za sobą. Krzyczeli. Nawzajem brali się w niewolę. To znów gdzieś się chowali. Nagle coś przykuło jego uwagę. Zdanie, które jeden z dzieciaków wykrzyknął do kolegów: „Można się chować tylko do *vecchietto*¹²”. Eliasz podniósł głowę, obserwował ulicę. Dzieci rozbiegły się i ukrywały za zderzakami zaparkowanych wzdłuż chodnika samochodów. Rozglądał się za jakimś staruszkiem, by stwierdzić, w którym miejscu przebiega granica zabawy, ale na ulicy nie było nikogo. „Nie dalej niż do *vecchietto*” – krzyknęło znów jedno z dzieci. Wtedy zrozumiał. I aż się uśmiechnął. *Vecchietto* to był on sam. Siedząc na krześle przed domem, sam był owym staruszkiem, dalej nie można się już było bawić w chowanego. Jego myśli pobiegły gdzieś daleko i zapomniał o dzieciach, krzykach i wymaganych salwach. Przypomniał sobie, że jego wujowie przesiadywali tak samo, jak on dzisiaj, przed swymi domami. I że wtedy wydawali mu się starzy. Ze jego matka przed śmiercią siadała na tym samym wyplatany krześle i całymi popołudniami kontemlowała uliczkę, chłonąc odgłosy dzielnicy. Teraz przyszła kolej na niego. Był stary. Życie upłynęło. Córka miała dwadzieścia lat. Anna. Na którą mógł patrzeć w nieskończoność. Tak. Czas minął.

I przyszła jego kolej, by wysiadywać na krześle, na rogu ulicy i patrzeć, jak młodzi idą dziarskim krokiem.

Czy był szczęśliwy? Przebiegł w myślach wszystkie minione lata. Na jakiej szali ważyć życie człowieka? Było jak wszystkie inne. Pełne radości i łez, na zmianę. Stracił tych, których kochał. Wujów. Matkę. Brata. Poznał ten ból. Uczucie, że został sam, że stał się niepotrzebny. Choć odczuwał wciąż tę samą radość, że ma u boku Marię i Annę, to wynagradzało wszystko. Czy był szczęśliwy? Myślał o latach, jakie nastąpiły po pożarze trafiki i po ślubie. Wydały mu się szalenie odległe, jakby to nie było jego życie. Myślał o wszystkich tych latach i wydało mu się, że nie miał nawet sekundy, by zaczerpnąć tchu. Gonił za pieniędzmi. Pracował tak dużo, że noce nie były dłuższe od sjęsty. Ależ tak, był szczęśliwy. Wuj miał rację, stary wuj Faelucc', kiedy powiedział mu pewnego dnia: „Trzeba doceniać pot”. Tak właśnie czynił. Był szczęśliwy i zmęczony. Jego szczęście rodziło się z tego zmęczenia. Zmagał się. Był uparty. A teraz, gdy stał się starcem przesiadującym na krześle, teraz, gdy zdołał odbudować sklep i zapewnić żonie i córce dostatnie życie, teraz, gdy mógł być wreszcie szczęśliwy, bo nic mu nie zagrażało, bo wymknął się nędzy, nic takiego nie czuł. Żył dość wygodnie, w spokoju, to już było coś. Miał pieniądze, ale to przemożne uczucie szczęścia, które gwałtownie wrywamy życiu, zostało gdzieś za plecami.

Matka zawołała małego Giuseppe. Ciepły matczyzny głos wyrwał Eliasza z zamyślenia. Uniósł głowę. Dzieci rozbiegły się jak chmara szarańczy. Wstał. Dzień się zaczynał. Dzień świętego Eliasza. Było ciepło. Miał jeszcze tyle do zrobienia.

Wyszedł z domu i ruszył w górę korso. Miasteczko zmieniło się. Usiłował sobie przypomnieć, jak wyglądało pięćdziesiąt lat temu. Ile sklepików, kawiarni, które znał jako dziecko, nadal istniało? z upływem czasu wszystko uległo zmianie. Synowie przejęli interesy ojców. Wisiały inne szyldy. Powiększono tarasy. Eliasz szedł ulicami udekorowanymi na święto i była to jedyna rzecz, która się nie zmieniła. Dziś, tak jak wczoraj, blask rozjaśniał fasady. Girlandy żarówek wisiały nad ulicą. Przeszedł obok straganu pełnego słodczy. Dwa wózki na wielkich kołach ze stosami karmelków, cukierków z lukrecji, lizaków i najróżniejszych łakoci przyprawiały dziatwę o zawrót głowy. Nieco dalej wiejski chłopak proponował przejażdżkę na mule. Niestrudzenie szedł w górę, potem schodził w dół korso. Dzieci garnęły się do zwierzęcia, najpierw z obawą, później błagały rodziców, by zafundowali im przejażdżkę. Eliasz przystanął. Pomyślał o starym osle Murattim. O osle, który palił. Ileż to razy z bratem Donatem dosiadali go z dumą zdobywców? Ile razy pytali *zio Mimi* czy *zio Peppe*, czy mogą się przejechać? Uwielbiali stare zwierzę. Parskali śmiechem, widząc, jak pali długie wiechcie trawy. A gdy osioł, łypiąc chytrym okiem, wypluwał w końcu niedopałek z obojętnością starego wielbłąda na pustyni, z całych sił bili mu brawo. Kochali go. Osioł *Mu ratti* padł na raka płuc – co musiało przekonać niedowiarków, że naprawdę palił, zaciągając się dymem jak człowiek. Gdyby stary osioł *Muratti* żył dłużej, Eliasz otoczyłby go troskliwą opieką. Córka na pewno by go uwielbiała. Wyobraził sobie małą Annę, wybuchającą śmiechem na widok poczciwego osiołka. Mógłby posadzić córkę na grzbiecie i wozić ją po ulicach Montepuccio, a dzieciarnia otwierałaby usta ze zdumienia. Ale *Muratti* już nie żył. Należał do minionego czasu, który, jak się zdaje, tylko Eliasz mógł jeszcze pamiętać. Myślał o tym wszystkim i lzy stanęły mu w oczach. Nie z powodu osła, ale dlatego, że przypomniał sobie *Donata*. Dziwnego, zamkniętego w sobie chłopca, który dzielił z nim zabawy i znał wszystkie jego tajemnice. Tak, miał kiedyś brata. *Donato* był jedyną osobą, której Eliasz mógłby opowiedzieć o dzieciństwie, wiedząc, że zostanie zrozumiany. Zapach suszonych pomidorów u ciotki *Mattei*. Faszzerowane bakłażany ciotki *Marii*. Bójki na kamienie z dziećmi z sąsiednich dzielnic. *Donato* przeżył to wszystko, tak jak on sam. Mógłby przypomnieć sobie tak samo wyraźnie, z tą samą nostalgią owe odległe lata. Ale Eliasz był teraz

sam. Donato nigdy nie wrócił i to odejście sprawiło, że na twarzy Eliasza pojawiły się dwie długie bruzdy, braterskie zmarszczki, zmarszczki osieroconego brata.

Skóra była aż lepka od wilgoci. Najmniejszy podmuch nie owiewał spoconych ciał. Eliasz szedł powoli, by nie przepocić koszuli, starając się posuwać wzdłuż zacienionych murów. Dotarł do białego portalu cmentarza i wszedł do środka.

O tej porze, w dniu święta, nie było tu nikogo. Staruszki wstawały wcześniej rano, by przystroić kwiatami groby nieodżałowanych mężów. Teraz panowała tu pustka i cisza.

Szedł alejkami wśród białych marmurów, które lśniły od słońca. Sunął wolnym krokiem, mrużąc oczy, żeby przeczytać nazwisko wykute w kamieniu. Były tu wszystkie rody z Montepuccio. Rodzina Tavaglione, rodzina Biscottich, Esposito, De Nittis. z ojca na syna. Kuzyni i ciotki. Wszyscy. Całe pokolenia żyjące razem w marmurowym parku.

„Znam tu więcej ludzi niż w całym miasteczku – powiedział Eliasz w duchu. – Dzieciaki miały rację. Jestem stary. Leżą tu prawie wszyscy moi bliscy. To po tym można poznać, że czas nas dogonił”.

Ta myśl w dziwny sposób przyniosła mu ulgę. Mniej bał się śmierci, kiedy pomyślał o wszystkich, których znał i którzy przeszli już na drugą stronę. Jak dziecko, które drży na widok głębokiego rowu, lecz na widok przeskakujących go jednym susem towarzyszy zdobywa się na odwagę i szepcze sobie w duchu: „Jeśli oni mogą, to ja też”. Właśnie to sobie powtarzał. Jeśli oni wszyscy, którzy nie byli od niego dzielniejsi ani bardziej doświadczeni, już są martwi, on też może umrzeć.

Zbliżał się do kwatery, gdzie pogrzebani byli jego bliscy. Wujowie spoczywali w grobach wraz z żonami. Nie było rodzinnego grobowca, który mógłby pomieścić wszystkich Scortów. Ale postarali się nie być od siebie zbyt daleko. Eliasz zatrzymał się. Usiadł na ławce. z tego miejsca widział ich wszystkich. Wuja Mimi, *va fan'culo*. Wuja Peppe, *pancia piena*. Wuja Faelucc'a. Siedział tak długo. W pełnym słońcu. Zapominając o upale. Nie zwracając uwagi na pot spływający po plecach. Wspominał wujów, jakich znał. Myślał o historiach, które mu opowiadano. Całym dziecięcym sercem kochał tych trzech mężczyzn. Znacznie bardziej niż własnego ojca – który często wydawał mu się obcym człowiekiem, który nie czuł się dobrze w czasie rodzinnych spotkań i nie potrafił przekazać swym synom niczego od siebie, a przecież trzej wujowie stale czuwali nad nim i Donatem, okazując jeszcze niewinnym, pozbawionym

doświadczenia dzieciom wspaniałomyślność dojrzałych ludzi, nieco znużonych światem. Nie potrafiłby sporządzić pełnej listy tego wszystkiego, co otrzymał od nich w darze. Słowa. Gesty. A także życiowa mądrość. Zdał sobie z tego sprawę teraz, kiedy sam był ojcem i jego dorosła córka besztła go czasem za sposób myślenia, który uznawała za archaiczny. Ze nie należy mówić o pieniądzach, że trzeba dotrzymać raz danego słowa. Okazywać gościnność. I długo żywić urazę. Wszystko to dostał w spadku po wujach. Wiedział o tym.

Eliasz siedział na ławce, pośród kotów, które nagle wyszły jak spod ziemi. W jego głowie myśli mieszały się ze wspomnieniami, i uśmiechnął się. Czyżby słoneczny żar, lejący się na głowę, sprawił, że miał halucynacje? Czy naprawdę groby otworzyły się, by na krótką chwilę uwolnić swych lokatorów? Czy wzrok go zawodził, czy naprawdę widział wujów przed sobą, ledwie o dwieście metrów. Ujrzał ich. Domenica, Giuseppe i Raffaela, wszystkich trzech, siedzących przy drewnianym stole, grających w karty, tak jak późnym popołudniem robili to na korso. Siedział jak zamurowany. Widział ich tak dobrze. Byli może trochę starsi, ale tylko trochę. Mieli te same miny, te same ruchy, niezapomnianą postawę. Śmiali się. Cały cmentarz zdawał się należeć do nich, a w pustych alejkach rozbrzmiewał tylko dźwięk kart z rozmachem rzucanych na blat stołu.

Carmela stała z boku. Obserwując grę. Przekomarzała się z bratem, który źle zagrał. Broniała tego, z którego naigrawali się inni.

Kropla potu kapnęła z rzęs Eliasza i przymknął oczy. Zdał sobie sprawę, jak mocno pali słońce. Wstał. I nie spuszczać z oczu swoich bliskich, oddalił się tyłem. Wkrótce nie słyszał już ich głosów. Przeżegnał się i polecił ich dusze Bogu, pokornie prosząc o to, by pozwolił im grać w karty tak długo, jak ten świat będzie jeszcze światem. Po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Odczuł przemożną chęć, by pomówić z don Salvatore. Nie jak wierny z proboszczem – Eliasz rzadko zaglądał do kościoła – lecz jak mężczyzna z mężczyzną. Stary Kalabryczyk jeszcze żył, w powolnym rytmie starości. W Montepuccio zjawił się nowy ksiądz. Młody człowiek z Bari o nazwisku don Lino. Który podobał się kobietom. Uwielbiały go i powtarzały, że nadszedł czas, by także w Montepuccio proboszczem był nowoczesny ksiądz, który rozumie dzisiejsze problemy i umie rozmawiać z młodzieżą. I rzeczywiście don Lino potrafił dotrzeć do serca młodych. Stał się ich powiernikiem. W długie letnie wieczory siedzieli razem na plaży i ksiądz grał na gitarze. Matki nie żywiły obaw. Zajadał się ich ciastem, a gdy opowiadały o małżeńskich problemach, uśmiechał się uprzejmie, pełen rezerwy i skupienia. Montepuccio było dumne ze swego proboszcza. Całe Montepuccio, z wyjątkiem starych, którzy uważali go za galanta. Ponad wszystko cenili szczerłość i chłopską szorstkość don Salvatore, a *Barese*¹³ nie dorastał poprzednikowi do pięt.

Don Salvatore nie zamierzał opuszczać Montepuccio. Chciał dożyć swych dni tu, pośród swoich owieczek, w swoim kościele. Nie sposób było określić wieku Kalabryczyka. Był to chudy, żyłasty starzec o spojrzeniu jastrzębia. Zbliżał się do osiemdziesiątki i miało się wrażenie, że czas o nim zapomniał. Śmierć nie nadchodziła.

Eliasz znalazł go w ogródku, z bosymi stopami wprost na trawie i z filiżanką kawy w dłoni. Don Salvatore wskazał mu miejsce. Mężczyźni bardzo się lubili. Wymienili parę nieistotnych uwag, po czym Eliasz zwierzył się przyjacielowi z tego, co go gryzie:

– Mijają pokolenia, don Salvatore. I ostatecznie jaki to wszystko ma sens? Czy dochodzimy do czegoś? Proszę spojrzeć na moją rodzinę. Na Scortów. Każdy na swój sposób zmagął się z życiem. I każdy na swój sposób przekroczył samego siebie. By dojść do czego? Do mnie? w czym jestem lepszy od moich wujów? Nie. Po co te wszystkie wysiłki? Po nic. Don Salvatore. Po nic. Można się tylko rozpłakać.

– Tak – odpowiedział don Salvatore. – Pokolenia następują jedno po drugim. Trzeba postępować najlepiej, jak umiemy, potem przekazać pałeczkę i zostawić miejsce innym.

Eliasz milczał przez chwilę. Lubił księdza za to, że nie próbował niczego upraszczać i nie widział wszędzie tylko dobrych stron. Wielu ludzi Kościoła ma tę właśnie wadę. Sprzedają swym owieczkom bilety do raju, co sprawia, że ich kazania muszą być nijakie, pełne taniej pociechy. Ale nie don Salvatore. Można by sądzić, że jego wiara nie przynosi mu ulgi.

– Właśnie myślałem, nim się tu zjawiłeś, co stało się z tą wioską – ciągnął proboszcz. – To jest ten sam problem. Tylko w innej skali. Powiedz, czym stało się Montepuccio?

– Workiem pieniędzy na kupie kamieni – powiedział Eliasz z goryczą.

– Właśnie. Oszaleli na widok pieniędzy. Tak chcą je posiadać. Tak boją się żyć bez nich. Pieniądze są ich obsesją.

– Może – ciągnął Eliasz. – Ale trzeba przyznać, że w Montepuccio nikt już nie zdycha z głodu. Dzieci nie chorują na malarię i we wszystkich domach jest bieżąca woda.

– Tak – potwierdził don Salvatore. – Staliśmy się bogaci, ale kto zmierzy rozmiar ubóstwa, które idzie w parze z całą tą ewolucją? Życie miasteczka jest ubogie. Ci durnie nawet tego nie zauważyli.

Eliasz pomyślał, że don Salvatore przesadza, ale przypomniał sobie wujów. Czy zrobił tyle dla brata Donata, ile wujowie dla siebie nawzajem?

– Nasza kolej, by umrzeć, Eliasz – proboszcz wypowiedział te słowa z wielką łagodnością.

– Tak – odpowiedział Eliasz. – Mam już życie za sobą. Życie wśród papierosów. Wszystkie sprzedane paczki, które były niczym. Dym na wietrze. Moja matka wylewała pot, moja żona i ja sam wlewaliśmy pot dla paczek suchego zielska, które ulatniało się w wargach klientów. Tytoń, który poszedł z dymem. Oto czym było moje życie. Kłęby dymu rozwiane na wietrze. Wszystko to marność. Dziwne życie, którym ludzie zaciągali się szybko i nerwowo albo głęboko i spokojnie w długie letnie wieczory.

– Nie bój się. Odejdę przed tobą. Masz jeszcze trochę czasu.

– Tak.

– Jaka szkoda – dodał proboszcz. – Tak ich lubiłem, tych kmiotków. Tak trudno mi od nich odejść.

Eliasz uśmiechnął się. Uznał, że to przedziwna uwaga w ustach przedstawiciela Kościoła. A co z wiecznym odpoczywaniem, z radością zasiadania po prawicy Boga? Chciał już nawet zwrócić przyjacielowi uwagę na tę sprzeczność, ale się nie odważył.

– Czasem wydaje mi się, że ojciec wcale nie jest księdzem – powiedział tylko z uśmiechem.

– Nie zawsze nim byłem.

– A teraz?

– Teraz myślę o życiu i wściekam się, że muszę je porzucić. Myślę o Panu i nawet jego dobroć nie wystarcza, by ukoić mój żal. Sądzę, że zbyt kochałem ludzi, by pogodzić się, że ich opuszczam. Gdybym przynajmniej miał pewność, że od czasu do czasu dotrą do mnie wieści z Montepuccio.

– Trzeba przekazać pałeczkę – powiedział Eliasz, powtarzając słowa księdza.

– Tak.

Mężczyźni zamilkli, później oblicze don Salvatore rozjaśniło się i dodał:

– Drzewa oliwne są wieczne. Ale oliwki żyją krótko. Dojrzewają i psują się. Jednakże rodzą się rok po roku, regularnie, w nieskończoność. Każda z nich jest inna, ale ich łańcuch nie ma końca. Mają ten sam kształt, barwę, dojrzewają w tym samym słońcu i mają ten sam smak. Tak, oliwki są wieczne. Tak jak ludzie. To samo nieskończone następstwo życia i śmierci. Długi łańcuch ludzki nigdy się nie przerywa. Wkrótce nadejdzie moja kolej. Życie się kończy. Lecz wszystko będzie trwało, dla innych.

Mężczyźni siedzieli w ciszy. Po pewnym czasie Eliasz stwierdził, że spóźni się do trafiki i pożegnał starego przyjaciela. W chwili gdy mocno ścisnął jego rękę, wydało mu się, że don Salvatore pragnie coś dorzucić, ale nie zrobił tego i mężczyźni się rozstali.

– Co się z nią dzieje?

Eliasz stał w drzwiach trafiki. Blask wieczornego nieba pieścił fasady domów. Była ósma wieczorem i dla Eliasza ta chwila była święta. Światła miasteczka zapaliły się. Czarny tłum gromadził się na chodnikach korso Garibaldi. Tłum nieruchomy i gwarny. Czekali na procesję. Eliasz stał przed trafiką i też chciał to zobaczyć. Jak zawsze. Jak przed nim robiła to jego matka. Czekał. Wokół niego cisnęli się ludzie.

– Co się z nią dzieje?

Czekał na córkę. Powiedział jej rano: „Przyjdź do trafiki, zobaczymy procesję”, a że przytaknęła machinalnie, jakby wcale go nie usłyszała, powtórzył: „Nie zapomnij. O ósmej. W sklepie”. A ona zaśmiała się, pogłaskała go po policzku i prychnęła: „Tak, tato, jak co roku, nie zapomnę”.

Procesja się zbliżała, a jej ciągle nie było. Eliasz zaczął kłąć w duchu. Czy to aż tak skomplikowane? Miasteczko jest zbyt małe, by można się było zgubić. No cóż, trudno. Jeśli nie przyszła, to znaczy, że nic nie rozumie. Obejrzy procesję sam. Anna była piękną, młodą dziewczyną. W wieku osiemnastu lat opuściła Montepuccio, by studiować medycynę w Bolonii. Długie studia, do których wzięła się z zapałem. To Eliasz nakłonił ją, by wybrała Bolonię. Dziewczyna chętnie widziałaby się w Neapolu, ale Eliasz szukał dla córki czegoś lepszego, a neapolitańskie życie budziło w nim obawy. Była pierwszą ze Scortów, która wyjechała z miasteczka, by szukać szczęścia na Północy. Nie było mowy, by kiedyś miała przejąć trafikę. Eliasz i Maria byli temu zdecydowanie przeciwni, a i sama dziewczyna nie miała na to ochoty. Póki co, nie posiadała się z radości, że studiuje w pięknym mieście, pełnym chłopców o słodkich oczach. Odkrywała świat. Eliasz był z niej dumny. Córka zrobiła to, na co on sam się nie odważył, kiedy proponował mu to wuj Domenico. Jako pierwsza zdołała wyrwać się z tej wyschniętej ziemi, która nie miała nic do zaoferowania. Był to prawdopodobnie wyjazd ostateczny. Eliasz często rozmawiał o tym z Marią: były duże szanse, że znajdzie tam chłopca, że tam zamieszka, może wyjdzie za mąż. Wkrótce stanie się jedną z tych pięknych, eleganckich, obwieszonych biżuterią kobiet, które przyjeżdżają na miesiąc na plażę Gargano.

Rozmyślał o tym wszystkim, stojąc na progu trafiki, nieruchomo, gdy dojrzał na rogu ulicy wielką chorągiew świętego Eliasza, która kołysała się wolno nad głowami ludzi i w hipnotyczny sposób przyciągała wzrok. Zbliżała się procesja. Na czele samotny mężczyzna, silny, zaprawiony, dzierżył drewniane drzewce, na którym wisiała długa chorągiew w barwach miasta. Szedł powolnym krokiem, dźwigając ciężar aksamitnej materii i uważając, by drzewcem nie zaczepić kabli rozwieszonych między latarniami. Za nim szła cała procesja. Było ją teraz widać. Eliasz stał sztywno. Poprawił kołnierzyk. Założył ręce do tyłu i czekał. Już miał przeklinać tę niewdzięcznicę, tę panienkę z Mediolanu, gdy poczuł, jak jakaś młoda nerwowa dłoń chwyta go za rękę. Odwrócił się. Ujrzał Annę. Uśmiechniętą. Nie mógł oderwać oczu. Była piękną kobietą, pełną beztroskiej radości, właściwej jej wiekowi. Eliasz ucałował ją i zrobił miejsce obok siebie. Trzymając ją wciąż za rękę.

Anna przyszła spóźniona, ponieważ don Salvatore zaprowadził ją tego dnia do starego konfesjonału. Rozmawiali przez wiele godzin i wszystko jej opowiedział. I było tak, jakby to stary, łamiący się głos Carmeli pieścił trawy na wzgórzach. Wizerunek babci, jaki zachowała w myślach Anna – dziecienniejszej staruszki, zmęczonej i brzydkiej – rozwiął się w mgnieniu oka. Carmela przemówiła ustami proboszcza. I od tej chwili Anna nosiła w sobie tajemnicę Nowego Jorku i Raffaela. Postanowiła niczego nie mówić ojcu. Nie chciała, by odebrano Scortom Nowy Jork. Nie wiedziała zbyt dobrze dlaczego, ale te tajemnice dały jej wielką, nieskończoną siłę.

Procesja stanęła w miejscu. Wszyscy zamarli. Tłum umilkł na tę chwilę skupienia. Potem orszak ruszył dalej przy przenikliwych, donośnych dźwiękach instrumentów dętych. Przejście procesji było chwilą łaski. Muzyka przepęłniła dusze. Eliasz poczuł, że jest częścią tego wszystkiego. Niesiona przez ośmiu złanych potem mężczyzn figura świętego Eliasza zbliżała się powoli. Zdawało się, że tańczy ponad tłumem, kołysząc się miarowo, niczym łódź na falach, w rytmie posuwistych męskich kroków. Mieszkańcy Montepuccio zegnali się na jej widok. W tym momencie spojrzenie Eliasza napotkało wzrok don Salvatore. Stary proboszcz kiwnął mu głową z uśmiechem i pobłogosławił. Eliasz pomyślał o minionych dniach, kiedy to ukradł medaliki świętego Michała i gdy cała wioska tropiła go, by mu odpłacić za ten bezbożny czyn. Przeżegnał się powolnym ruchem i czuł, jak jego wnętrze przepęłnia ciepły uśmiech starego księdza.

Kiedy figura świętego znalazła się przed trafiką, a Anna trochę mocniej ścisnęła dłoń ojca, Eliaz pomyślał, że się pomylił. Jego córka będzie pierwszą, która opuści miasteczko, ale pozostanie mieszkanką Montepuccio. Należy do tej ziemi. Ma spojrzenie i dumę ludzi stąd. Wtedy wyszeptała mu na ucho: „Nic nie nasyci Scortów”. Eliaz nie odpowiedział. Zdziwiło go to zdanie, a zwłaszcza spokojny, zdecydowany ton, jakim wypowiedziała je córka. Co miała na myśli? Czyżby chciała dać mu do zrozumienia, że właśnie dowiedziała się o ich dziedzicznej wadzie? a może chciała powiedzieć, że zna i podziela odwieczne pragnienie Scortów, pragnienie, które było ich siłą i przekleństwem? Rozmyślał nad tym i nagle zrozumiał, że sens tego zdania był prostszy. Anna była Scortą. Właśnie nią się stała. Mimo że nosiła nazwisko Manuzio. Tak. Właśnie tak. Wybrała Scortów. Spojrzał na nią. I ona patrzyła mu głęboko w oczy. Anna. Najmłodsza ze Scortów. Wybrała to nazwisko. Wybrała rodzinę zjadaczy słońca. Ów nienasycony apetyt uczyniła swym własnym. Nic nie nasyci Scortów. Odwieczne pragnienie, by zjeść całe niebo i wypić gwiazdy. Chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie muzyka rozbrzmiała na nowo, zagłuszając ludzki gwar. Nic nie powiedział. Mocno ścisnął rękę córki.

Właśnie w tym momencie dołączyła do nich Maria. Ona także się postarzała, lecz w jej spojrzeniu wciąż można było dojrzeć ów dziki błysk, na którego widok Eliaz tracił zmysły. Stali przytuleni do siebie, otoczeni przez tłum. Ogarnęło ich ogromne wzruszenie. Procesja przesuwiała się przed ich oczami. Upajali się głośnie muzyką. Całe miasto wyległo na ulicę. Dzieci miały pełne garście cukierków. Kobiety pachniały perfumami. Było tak jak zawsze. Stali przed trafiką, z dumą. Nie była to buńczuczna duma parweniuszy, po prostu duma, bo poczuli, że wszystko jest tak, jak być powinno.

Eliaz przeżegnał się. Ucałował zawieszony na szyi medalik z Madonną, który dała mu matka. Tu było jego miejsce. Tak. Co do tego nie miał wątpliwości. Tu było jego miejsce. Nie mogło być inaczej. Na progu trafiki. Pomyślał o wiecznym trwaniu tych gestów, modlitw, wszystkich ludzkich nadziei i znalazł w tej myśli głębokie pocieszenie. „Jestem człowiekiem – pomyślał. – Po prostu człowiekiem”. I wszystko było dobre. Don Salvatore miał rację. Ludzie, tak jak oliwki w słońcu Montepuccio, są wieczni.

Podziękowania

W chwili gdy kończę tę książkę, kieruję myśli ku ludziom, którzy otwierając przede mną drzwi tej ziemi, pozwolili mi pisać. Ku rodzicom za to, że przelali na mnie swą miłość do Włoch. Ku Aleksandrze za to, że zabrała mnie ze sobą i pozwoliła odkryć Południe, które miałem przyjemność i zaszczyt oglądać jej zakochanymi, pełnymi słońca oczami. W mej pamięci pozostaną Renato, Franca, Nonna Miuccia, Zia Sina, Zia Graziella, Domenico, Carmela, Lino, Mariella, Antonio, Federica, Emilia, Antonio i Angelo. Ich gościnność i ciepło. Historie, jakie mi opowiedzieli. Potrawy, których mogłem spróbować. Jestem wdzięczny za godziny spędzone u ich boku na smakowaniu letnich dni. Za wszystko, czego nauczyli mnie, nawet tego nie dostrzegając, o tym podejściu do życia, które odnajduję tylko tutaj i które niezmiennie mnie porusza. Oddaję jedynie sprawiedliwość: towarzyszyli mi godzinami, gdy zmagiałem się samotnie z czystą kartką. Te linijki zostały napisane dla nich. Chciałbym, żeby mówiły tylko jedno: jak bardzo cenne były dla mnie chwile, które przeżyłem pod słońcem Apulii.

Przypisy

(Wszystkie przypisy pochodzą od autora)

-
- ¹ – Masyw w regionie Apulii na południu Włoch.
- ² – *Daj się wypchać!*
- ³ – Instytucja zajmująca się przyznawaniem koncesji na handel tytoniem.
- ⁴ – Tradycyjne sery z Apulii, w kształcie gruszki.
- ⁵ – Napój alkoholowy z cytryny.
- ⁶ – Trafika Scorta Mascalzone, sklep nr 1.
- ⁷ – *Przybył palący osioł! Palący osioł!*
- ⁸ – Dosłownie „miłość wuja”, pieszczotliwe określenie siostrzeńca
- ⁹ – Pieszczotliwy skrót od fratello, brat.
- ¹⁰ – *Aj aj aj, nie dbam o jutro, tej nocy masz umrzeć ze mną.*
- ¹¹ – *Trzęsienie ziemi! Trzęsienie ziemi!*
- ¹² – Staruszek.
- ¹³ – Mieszkaniec Bari, w Apulii.